

SEKRET WILHELMA STORITZA

I

„I przybądź najspieszniej jak będziesz mógł, mój drogi Henryku. Oczekuję cię z niecierpliwością. Poza tym kraj to cudowny, a region Dolnych Węgier jest w stanie zainteresować inżyniera. Choćby z tego punktu widzenia nie będziesz żałował swej podróży.

*Całym sercem z tobą
Marc Vidal"*

Tak kończył się list, który otrzymałem od brata 4 kwietnia 1757.

Żaden zwiastun nieszczęścia nie poprzedził nadejścia tego listu. Dotarł do mnie zwykłym sposobem, to znaczy za pośrednictwem kolejno listonosza, oddźwiernego i mego służącego. Tenże, doceniając wagę gestu, podał mi go ze spokojem na tacy.

Ja także byłem spokojny, gdy otwierałem kopertę i czytałem

list aż do końca, do ostatniej linijki, a zawierał przecież w sobie zarodek nadzwyczajnych wydarzeń, w jakie zostałem później zamieszany.

Takie jest zaślepienie ludzi! W ten sposób snuje się bez przerwy, bez udziału ich świadomości, przedziwna nić przeznaczenia!

Mój brat mówił prawdę. Nie żałuję tej podróży. Lecz czy mam rację, chcąc o niej opowiedzieć? Czy nie są to sprawy, o których lepiej milczeć? Kto da wiarę historii tak dziwnej, że najbardziej zuchwali poeci nie odważyliby się zapewne jej opisać?

Więc dobrze, niech będzie! Podejmę ryzyko. Bez względu na to, czy będę wiarygodny, odczuwam nieodpartą potrzebę ponownego przeżycia tej serii przedziwnych wydarzeń, których zapowiedź stanowił w pewnym sensie list brata.

Marc, mający w owym czasie dwadzieścia osiem lat, osiągnął już budzące nadzieję sukcesy jako portrecista. Łączyły nas najczulsze, najgłębsze uczucia. Ja darzyłem go miłością trochę ojcowską, gdyż byłem od niego starszy o osiem lat. Byliśmy jeszcze mali, gdy straciliśmy ojca, a potem matkę, i to ja, starszy brat, musiałem się zająć edukacją Marka. Kiedy ujawnił zadziwiające zdolności malarskie, nakłoniłem go do tej kariery, mającej przynieść mu sukcesy tak znaczne i tak zasłużone.

Lecz oto Marc był w przededniu swego ślubu. Już od jakiegoś czasu przebywał w Ragz, znaczącym mieście południowych Węgier. Wiele tygodni spędzonych w Buda-

portretowych węgla. Wiele tygodni spędzonych w Buda-Peszcze, stolicy, gdzie wykonał pewną ilość bardzo udanych portretów, szczerze opłaconych, pozwoliło mu docenić przyjęcie, z jakim spotykają się artyści na Węgrzech. Następnie, zakończywszy swój pobyt tutaj, popłynął Dunajem z Buda-Pesztu do Ragz.

Pośród pierwszych rodzin tego miasta wymieniano rodzinę doktora Rodericha, jednego z najznakomitszych lekarzy w całym Węgrzech. Dziedzic znacznej fortuny, powiększył ją niebagatelnie dzięki uprawianiu swej profesji. Podczas wakacji, których udzielał sobie co roku i które przeznaczał na podróże zapuszczając się czasami aż do Francji, Włoch lub Niemiec, bogaci pacjenci bardzo narzekali na jego nieobecność. Biedni także, gdyż nigdy nie odmawiał im pomocy, a jego miłosierdzie nie pogardzało najuboższymi, co przysparzało mu u wszystkich szacunku.

Rodzina Roderichów składała się z doktora, jego żony, syna — kapitana Haralana, i córki Myry. Marc odwiedzając ten gościnny dom, nie mógł pozostać nieczułym na wdzięk i urodę młodej dziewczyny, co przedłużało w nieskończoność jego pobyt w Ragz. Lecz jeśli Myra Roderich podobała się jemu, nie będzie przesady również w stwierdzeniu, że i on podobał się Myrze Roderich. Należy się zgodzić ze mną, że zasługiwał na to, gdyż Marc był — i jest jeszcze, Bogu niech będą dzięki! — dzielnym i czarującym chłopcem, wzrostu powyżej średniego, o bardzo żywych niebieskich oczach, kasztanowych włosach, twarzy poety, szczęśliwej fizjonomii człowieka, którego los

obdarza radosną powierzchownością, kryjąc pod nią charakter swobodny i temperament artysty — entuzjasty rzeczy pięknych.

Jeśli chodzi o Myrę Roderich, znałem ją jedynie z pełnych uniesienia listów Marka i płałem chęcią jej ujżenia. Mój brat życzył sobie jeszcze bardziej ochoczo mi ją przedstawić. Prosił, bym przybył do Ragzu jako głowa rodziny, i oczekiwał, że mój pobyt nie będzie trwał krócej niż miesiąc. Jego narzeczona — nieustannie przypominał mi o tym — oczekuje mnie z niecierpliwością. Po moim przybyciu ustala datę ślubu. Myra przedtem chciałaby zobaczyć na własne oczy przyszłego szwagra, o którym opowiadano jej tyle dobrego pod każdym względem — przynajmniej tak się wyrażała!... Wydaje się, że jest to minimum, jakiego można spodziewać się po członkach rodziny, do której ma się zamiar wejść. Oczywiście nie powie „tak”, zanim Henryk nie będzie jej przedstawiony...

Wszystko to mój brat relacjonował mi w swych listach z wielkim entuzjazmem. Czulem, że jest nieprzytomnie zakochany w Myrze Roderich.

Powiedziałem, że znałem ją tylko z żarliwych słów Marka. Jednakże, skoro brat mój był malarzem, byłoby mu dość łatwo wziąć ją za modelkę i przenieść na płótno lub co najmniej na papier, w pozie pełnej gracji, ubraną w najładniejszą suknię. Mógłbym podziwiać ją, można by rzec, naocznie... Lecz Myra nie wyraziła na to zgody. Chciała się osobiście ukazać moim olśnionym oczom — twierdził Marc, który, jak myślę, nie nalegał, aby zmieniła zdanie. Oboje chcieli uzyskać to, że inżynier Henryk Vidal pozostawi swe zajęcia i zjawi się w salonach

rezydencji Roderichów, gdzie będzie najznakomitszym gościem.

Czyż trzeba więcej powodów, aby się zdecydować na wyjazd? Na pewno nie, i nie mogłem przecież pozwolić, aby brat ożenił się bez mej obecności na ślubie. Nie zwlekając więc, stawię się przed Myrą Roderich, i to zanim zostanie moja szwagierką — z francuską „piękną siostrą”.

Poza tym, co zresztą zaznaczył brat w liście, doznam dużej przyjemności i korzyści zwiedzając ten region Węgier. To kraj w pełnym tego słowa znaczeniu madziarski, którego przeszłość jest bogata w tyle wydarzeń heroiczych i który, oporny na jakiegokolwiek mieszanie się z rasami germańskimi, zajmuje znaczące miejsce w historii centralnej Europy.

Jeśli chodzi o podróż, oto jakimi środkami postanowiłem ją odbyć: połowę dylizanssem pocztowym, połowę popłynąć Dunajem w dół, a powrót wyłącznie pocztą. Wszystko wskazuje na to, że spływ tą wspaniałą rzeką rozpocznę w Wiedniu. Mimo że nie przepłynę całych jej siedmuset mil długości, to zobaczę jednak część najbardziej interesującą, biegnącą przez Austrię i Węgry aż do Raguzu przy granicy serbskiej. Tam będzie koniec mej podróży. Zabraknie mi czasu, aby odwiedzić miasta, które dalej opływa Dunaj swymi bogatymi wodami, tam gdzie oddziela Wołoszczyznę i Mołdawię od Turcji, po przekroczeniu sławnych Żelaznych Wrót: Vidin, Nikopol, Ruse, Silistrę, Braile, Gałac — aż do potrójnego ujścia do Morza Czarnego.

Wydawało mi się, że na tak projektowaną podróż powinno wystarczyć trzech miesięcy. Miesiąc wykorzystam na podróż między Parwzem a Raaz. Myra Roderich powinna zdobyć się na

nieco cierpliwości i pozwolić na taką zwłokę podróżnemu. Po tak samo długim pobycie w nowej ojczyźnie mego brata, resztę czasu poświęcę na powrót do Francji.

Porządkując kilka pilnych spraw i przygotowując dokumenty potrzebne Markowi, szykowałem się więc do odjazdu.

Moje przygotowania, bardzo proste, wymagały niewiele czasu i nie miałem również zamiaru przeładowania bagaży. Zabiorę tylko jedną walizkę, bardzo małą, zawierającą strój konieczny do uroczystej ceremonii, która wzywa mnie na Węgry.

Nie musiałem się wcale niepokoić o języki mijanych krajów; niemiecki poznałem w czasie podróży przez prowincje na Północy. Nie napotkam pewno zbyt dużo trudności ze zrozumieniem języka węgierskiego, zwłaszcza że francuski jest powszechnie używany na Węgrzech, przynajmniej w wyższych sferach; mój brat nie miał nigdy kłopotów poza granicami austriackimi w tej materii.

„Pan jest Francuzem, ale ma pan prawa obywatelskie na Węgrzech” — powiedział kiedyś pewien *hospodar* do jednego z naszych rodaków i w tym serdecznym zdaniu przejawilo się całe uczucie narodu madziarskiego wobec Francji.

W odpowiedzi na ostatni list Marka poprosilem go, by przekazał Myrze Roderich, że moja niecierpliwość dorównuje jej niecierpliwości i że przyszły szwagier płonie chęcią poznania swej przyszłej szwagierki. Dodałem, że wyjadę niebawem, lecz

nie mogę określić dokładnie dnia mego przybycia do Ragzu, gdyż zależy to od przypadków w podróży. Zapewniłem jednakże brata, że nie będę jej opóźniał. Jeśli więc rodzina Roderichów zechciałaby, może już bez dalszej zwłoki ustalić na ostatnie dni maja datę ślubu. „Proszę nie rzucać na mnie klątw — zakończyłem w formie konkluzji — jeśli nie z każdego etapu podróży wyślę list oznaczający mą obecność w takim to a takim mieście. Napiszę jednakże kilkakrotnie, aby pozwoliło to Mile Myrze ustalić ilość mil, jakie będą jeszcze mnie dzielić od jej rodzinnego miasta. W każdym razie uprzedzę we właściwym czasie o swoim przyjeździe z dokładnością co do godziny, a jeśli będzie to możliwe, nawet co do minuty”.

W przeddzień wyjazdu, 13 kwietnia, poszedłem do biura porucznika policji, z którym pozostawałem w przyjacielskich stosunkach — by go pożegnać i odebrać paszport. Wręczając dokument, przekazał moc pozdrowień dla mego brata, którego znał zarówno z otaczającej go sławy, jak i osobiście, i o którego zamiarach małżeńskich już był powiadomiony.

— Ponadto wiem — dodał — że rodzina doktora Rodericha, do której wejdzie pana brat, jest jedną z najzaczniejszych w Ragz.

— Czyżby mówiono panu o niej? — zapytałem.

— Tak, a dokładnie wczoraj, na przyjęciu w ambasadzie austriackiej.

— I od kogo otrzymał pan takie informacje?

— Od pewnego oficera z garnizonu w Buda-Peszcie, który zaprzyjaźnił się z pana bratem w czasie jego pobytu w stolicy

węgierskiej i który nie mógł się go nachwalić. Pański brat odniósł tam wielki sukces, a przyjęcie, z jakim spotkał się w Budapeszcie, potwierdziło się również w Ragz, co nie powinno pana dziwić, mój drogi Vidal.

— A — nalegałem — czy ten oficer był również zachwycony rodziną Roderichów?

— Oczywiście. Doktor jest uczonym w pełnym tego słowa znaczeniu. Cieszy się powszechnym uznaniem w całym cesarstwie austro-węgierskim. Otrzymał wszystkie możliwe godności i w ogóle to dobrą partię robi pański brat, gdyż jak się wydaje, Mile Myra Roderich jest bardzo piękną osobą.

— Nie zaskoczę więc pana, drogi przyjacielu — odrzekłem — potwierdzając panu, że Marc taką ją znajduje, i jak sądzę, jest bardzo w niej zakochany.

— Tym lepiej, mój drogi Vidal. Zechce pan przekazać gratulacje i życzenia bratu, którego szczęście osiągnie takie wyżyny, że przysporzy mu to zawistników... Lecz — z wahaniem powstrzymał się mój rozmówca — nie wiem, czy nie popełniłem niedyskrecji, mówiąc to panu...

— Niedyskrecji? — zdziwiłem się.

— Pański brat pisał do pana dopiero kilka miesięcy przed swym przybyciem do Ragzu...

— Przed swym przybyciem? — powtórzyłem.

— Tak... Mile Myra Roderich... Przede wszystkim, mój drogi Vidal, to możliwe, że brat o niczym nie wiedział.

— Proszę wyjaśnić, drogi przyjacielu, gdyż absolutnie nie noimuje. do czego czyni nan aluzie.

— No dobrze, wydaje się, co nie będzie niespodzianką, że Mile Roderich uwielbiało wielu, a szczególnie pewna osobistość, która nie była wcale pierwszą lepszą. To właśnie opowiedział mi mój kolega, ów oficer z ambasady, który jeszcze przed pięcioma tygodniami przebywał w Buda-Peszcie.

— A ten rywal?

— Został odprawiony przez doktora Rodericha.

— Zatem nie ma potrzeby tym się zajmować. Zresztą, gdyby Marc znał rywala, na pewno wspomniałby o nim w swych listach. Skoro nie pisał ani słowa, rzecz jest bez znaczenia.

— Zapewne, mój drogi Vidal, wszelkie starania tego osobnika o rękę Mile Roderich wywołały sporo szumu w Ragzu i w sumie będzie lepiej, aby pan był poinformowany.

— Na pewno, i słusznie pan mnie uprzedził, gdyż nie jest to zwykła plotka...

— Oczywiście, że nie, informacja całkowicie pewna...

— Lecz na szczęście jest już po sprawie — odpowiedziałem. — To najważniejsze.

A ponieważ chciałem już wyjść — zapytałem:

— A propos, drogi przyjacielu, czy pański oficer wymienił nazwisko tego odrzuconego zalotnika?

— Tak.

— I on się nazywa?...

— Wilhelm Storitz.

— Wilhelm Storitz?... Syn tego chemika czy raczej alchemika?

Właśnie tego

— właśnie tego.

— Ach tak! To sławne nazwisko!... Uczony, którego odkrycia uczyniły sławnym.

— I z którego Niemcy są słusznie bardzo dumni, mój drogi Vidal.

— Czyż on nie zmarł?

— Tak, przed kilku laty, lecz żyje jego syn, a według mojego rozmówcy ten Wilhelm Storitz jest człowiekiem niepokojącym.

— Niepokojącym?... Co pan przez to rozumie, drogi przyjacielu?

— Jak by tu rzec... Jeśli wierzyć memu oficerowi z ambasady, to Wilhelm Storitz jest niepodobny do innych.

— Do kroćset! — wykrzyknąłem rozbawiony. — Oto kto staje się wzruszającym oryginałem! Czyż nasz zakochany posiada trzy nogi albo cztery ręce, lub może szósty zmysł?

— Tego mi nie wyjaśniono — odrzekł śmiejąc się mój rozmówca. — W każdym razie mam podstawy przypuszczać, że ten osąd dotyczy raczej strony moralnej niż fizycznej Wilhelma Storitza, którego, jeśli dobrze zrozumiałem, należałoby się wystrzegać...

— Będziemy się go wystrzegać, drogi przyjacielu, co najmniej do dnia, gdy Mademoiselle Myra Roderich zostanie Madame Vidal.

Skończywszy na tym i nie przejmując się zbytnio informacją, uściśnięciem serdecznie rękę porucznika i wróciłem do siebie, by dokończyć przygotowania do podróży.

II

Opuściłem Paryż 14 kwietnia, o siódmej rano, pocztową berlinką. Za jakieś dziesięć dni powinienem dotrzeć do stolicy Austrii.

Prześlizgnę się szybko po tej pierwszej części podróży. Nie zaznaczyła się żadnym wydarzeniem, a przebyte okolice zaczęły już być zbyt znane, by zasługiwały na dokładniejszy opis.

Strasburg był pierwszym poważniejszym postojem. Przy wyjeździe z tego miasta pochyliłem się ku oknu. Wysoka iglica Katedry zdawała mi się cała skąpana w promieniach słońca, świecącego z południowego wschodu.

Spędziłem wiele nocy kołysany muzyką kół miażdżących żwir na drodze, tym monotonnym szumem, który usypia lepiej niż cisza. Przebyłem kolejno Oos, Bade, Karlsruhe i kilka innych miast. Następnie zostały za mną Stuttgart i Ulm w Wirtembergii, a w Bawarii Augsburg i Monachium. Przed granicą austriacką nieco dłuższy postój zatrzymał mnie w Salzburgu i w końcu 25 kwietnia, o szóstej trzydzieści pięć wieczorem, parujące konie zajęchały na podwórzu najlepszej gospody w Wiedniu.

W stolicy spędziłem zaledwie trzydzieści sześć godzin, w tym dwie noce. Zamierzałem zwiedzić ją dokładniej w czasie powrotu.

Dunaj ani nie przepływa przez Wiedeń, ani go nie opływa. Musiałem przebyć prawie milę nowozem by dostać się na brzo-

musiałem przesyłać prawie całą powozem, by dostać się na brzeg rzeki, której usłużne wody poniosą mnie do Ragzu.

W przeddzień zapewniłem sobie miejsce na galarze „Dorota”, przystosowanym do przewozu pasażerów. Na pokładzie galaru było wszystkiego po trosze, słyszało się przedstawicieli różnych narodowości: Niemców, Austriaków, Węgrów, Rosjan, Anglików. Pasażerowie zajmowali tył statku, gdyż przód wypełniały towary i nikt tam już by się nie zmieścił.

Mą podstawową troską było otrzymać koję na noc we wspólnej sali. Ale o wniesieniu walizki do tej sypialni nie było nawet co marzyć. Musiałem więc pozostawić ją na zewnątrz obok ławki, na której zamierzałem spędzić znaczną część podróży, rzucając od czasu do czasu okiem na swoją własność.

Dzięki podwójnemu impulsowi — prądu i dość porywczego wiatru — galar płynął żwawo, tnąc swym dziobem żółtawe wody pięknej rzeki, gdyż wydawały się one raczej zabarwione ochrą niż lazurytem, o czym mówi legenda. Mijaliśmy liczne statki — z żaglami napiętymi przez wiatr, przewożące produkty wsi, rozciągających się jak okiem sięgnąć po obu brzegach. Przepływaliśmy również obok ogromnych tratw, drewnianych pociągów utworzonych chyba z całego lasu, na których postawiono pływające wioski budowane na początku spławu, a rozbierane na końcu, które przypominały olbrzymie jangady brazylijskie na Amazonce. Następnie jedne po drugich wyspy, kapryśnie rozsiane, duże lub małe, w większości ledwie wynurzone i czasami tak niskie, że przybór wody na kilka palców je zatapiał. Radowało się serce, gdy patrzyłeś na nie, tak

zeleniejące, tak świeże, z szeregiem wierzb, topoli, osik, wilgotną trawą przetykaną kwiatami w żywych kolorach.

Mijałismy również wioski nawodne, zbudowane przy samym brzegu rzeki. Zdawało się, że fala, wzburzona przez statki, kołysze palami, na których się wspierają. Często-kroć przepływaliśmy także pod liną zawieszoną między jednym a drugim brzegiem, ryzykując zaczepieniem o nią naszym masztem, pod liną promu, na którym dwie tyczki unosiły banderę narodową.

W ciągu tego dnia straciliśmy z oczu Fischamend, Rigelsbrun, a wieczorem „Dorota” zawinęła do ujścia Marchu, lewego dopływu, płynącego z Moraw graniczących z królestwem węgierskim. Tu spędziliśmy noc z 27 na 28 kwietnia i wyruszyliśmy rankiem, o świcie, pchani wiatrem, przez tereny, gdzie w XVI-ym wieku Francuzi i Turcy bili się z taką zaciętością. Następnie po zawinięciu do Petronelu, do Altenburga, Hainburga, po przebyciu przełomu Węgierskich Wrót, po otwarciu się mostu zwodzonego galar przybił do nabrzeży Preszburga.

Postój dwudziestoczerogodzinny, potrzebny do przeładowania towarów, pozwolił mi zwiedzić miasto, zasługujące na uwagę podróżnych. Sprawia wrażenie zbudowanego na prawdziwym przylądku. To morze powinno rozpościerać się u jego stóp i fale winny obmywać jego fundamenty, zamiast spokojnych wód rzeki nie kryjących w sobie żadnych niespodzianek. Powyżej linii cudownych bulwarów rysowały się sylwetki domów zbudowanych z widoczną symetrią, w pięknym

stylu.

Podziwiałem katedrę z kopułą zwieńczoną złotą koroną, liczne hotele, kilka pałaców należących do arystokracji węgierskiej. Później wspiąłem się na wzgórze, do którego przylepił się zamek, i zwiedziłem tę rozległą czworoboczną budowlę flankowaną na swych rogach przez wieże, jak ruiny średniowieczne. Można by żałować tej wspinaczki, gdyby nie rozciągała się stąd szeroka panorama na wspaniałe winnice w pobliżu i nieskończoną równinę, po której płynie Dunaj.

Poniżej Preszburga, rankiem 30 kwietnia, „Dorota” zagłębiła się w pusztę. Puszcza to połączenie rosyjskich stepów i amerykańskiej sawanny. Jej niezmierzone równiny rozciągają się przez całe środkowe Węgry. Nadzwyczaj ciekawy teren z nie kończącymi się pastwiskami, na których czasami można dostrzec w dzikim galopie niezliczone tabuny koni, a które żywią również tysięczne stada wołów i bawołów.

Stąd zaczyna się swymi licznymi zygzakami prawdziwy Dunaj węgierski. Zasilony już potężnymi dopływami zdużającymi z Małych Karpat i Alp Styryjskich, nabiera odtąd wyglądu wielkiej rzeki i nie sprawia już więcej wrażenia zwykłego dopływu, jak to było na terenie Austrii.

W wyobraźni cofałem się wzdłuż jego biegu, aż do odległego źródła, tuż przy granicy francuskiej w Wielkim Księstwie Badenii, graniczącym z Alzacją, i sądzę, że to właśnie deszcze z Francji zasilają pierwsze wody.

Wieczorem galar przybył do Raab i zacumował przy nabrzeżu na noc. nastennv dzień i koleina noc. Wwstarczłó mi

dwanaście godzin, by zwiedzić tę miejscowość, bardziej fortecę niż miasto, którą Madziarzy zwą Győr.

Nazajutrz, kilka mil poniżej Raabu, dostrzegliśmy nie zatrzymując się, sławną cytadelę w Kromorn, zbudowaną całkowicie w XV wieku przez Mathiasa Corvina, tam rozegrał się ostatni akt powstania.

Nie mogłem nic lepszego uczynić w tej części terytorium węgierskiego, jak tylko poddać się prądowi Dunaju. Wciąż kapryśne meandry, ostre zakola, które urozmaicają krajobraz, niskie wyspy wpółzatopione, a ponad nimi wzlatające żurawie i bociany. Wokół puszcza w całej okazałości, już to jako bujna łąka, już to jako falujące na horyzoncie wzgórze. Tu uzyskuje się najlepsze na Węgrzech zbiory z winnic. Produkcję tego kraju, znajdującego się na liście regionów uprawy winorośli tuż za Francją, a przed Włochami i Hiszpanią, ocenia się na ponad milion beczek — nie licząc tokaju. Ten plon, jak mówią, jest prawie całkowicie spożywany na miejscu. Nie będę ukrywał, że pozwoliłem sobie opróżnić kilka butelek w przybrzeżnych oberzach. O tyle mniej pozostało dla gardeł madziarskich.

Trzeba zaznaczyć, że sposoby uprawy roli w puszczie poprawiają się z roku na rok. Jest jeszcze jednak dużo do zrobienia. Należałoby zbudować sieć kanałów irygacyjnych, które zapewniłyby tej ziemi nadzwyczajną urodzajność, zasadzić tysiące drzew tworzących długie i szerokie pasy obronne jako bariery przeciwko szkodliwym wiatrom. Wtedy plony zbóż mogłyby się podwoić lub potroić.

Niestety, na Węgrzech istnieje zbyt dużo miast. Dobra

Niestety, na węgreczn istnieją zbyt duże majątki. Dobra leżące odłogiem są znaczne, bo jak właściciel może eksploatować w pełnym zakresie ziemię o powierzchni dwudziestu pięciu mil kwadratowych? Drobnicy rolnicy są posiadaczami nawet nie czwartej części tego rozległego terytorium.

Taki stan rzeczy, szkodliwy dla kraju, zmieni się stopniowo i jedynie ta nieunikniona logika posiada przyszłość. Chłop węgierski nie wzdryga się wcale przed postępem. Ma wiele dobrych chęci, dużo odwagi i inteligencji. Być może, że jest trochę zbyt zadowolony z siebie, w każdym razie dużo mniej niż chłop germański. Między nimi istnieje taka różnica, iż jeśli pierwszy sądzi, że może wszystkiego się nauczyć, to drugiemu wydaje się, że już wszystko wie.

Było to na wysokości Gran, gdy zauważyłem zasadniczą zmianę krajobrazu. Równinna puszcza zaczęła ustępować długim i szerokim wzgórzom, końcowym partiom Karpat i Alp Noryckich, ściskającym rzekę i zmuszającym ją do przeciskania się wąskimi przełomami.

Gran jest siedzibą arcybiskubstwa i prymasa Węgier i bez wątpienia najbardziej godnym pozazdroszczenia ze wszystkich biskupstw na całym globie, jeśli dobra tego świata mają jakikolwiek powab dla katolickiego purpurata. Rzeczywiście, właściciel tej siedziby — kardynał, prymas, legat, Książę Cesarstwa — uzyskuje dochód mogący przekroczyć nawet milion funtów.

Poniżej Granu wraca ponownie puszcza. Trzeba stwierdzić, że

natura jest wielkim artystą. Stosuje ona prawo kontrastów we wszystkim, co czyni. Tutaj właśnie zechciała, by krajobraz, po tak zmiennych widokach między Preszburgiem i Granem, stał się smutny, przygnębiający, monotony.

W tym miejscu „Dorota” musiała wybrać jedno z dwóch ramion okalających wyspę Świętego Andrzeja, oba zresztą żaglowne. Obraliśmy lewe, co pozwoliło mi zobaczyć miasto Waitzen, nad którym górowało z pół tuzina dzwonnicy, a kościół, zbudowany wśród masy zieleni nad samym brzegiem, przegłądał się w wodzie.

Jeszcze dalej pejzaż zaczął znowu się zmieniać. Na równinie ukazały się uprawy warzyw, po rzece sunęły liczne łodzie. Spokój ustąpił miejsca ożywieniu. Było widoczne, że zbliżamy się do stolicy. I to jakiej stolicy! Podwójnej jak niektóre gwiazdy, a jeśli te gwiazdy nie są nawet pierwszej wielkości, to niemniej w konstelacji węgierskiej błyszczą przepychem.

Galar okrążył ostatnią zadrzewioną wyspę. Najpierw ukazała się Buda, następnie Peszt. To właśnie w tych dwóch miastach, nierozłącznych jak bliźnięta syjamskie, od 3 do 6 maja spożyję kilka posiłków i zmęczone się ponad wszelką miarę, zwiedzając je sumiennie.

Między Budą i Pesztem, między miastem tureckim i miastem węgierskim, kursują flotylle barek zapewniających przewóz między nimi. Jest to rodzaj galeot — na przodzie z masztem flagowym, wyposażonych w potężny ster z niezmiernie wydłużonym drągiem. Obie strony rzeki przekształcone są w nabrzeża, otoczone budynkami o ciekawej architekturze, ponad

którymi wystrzelają smukłe wieżyczki i dzwonnice.

Buda, miasto tureckie, leży na prawym brzegu, Peszt na lewym, a Dunaj, usiany zieleniejącymi wyspami, tworzy z nich półokrągły sznur należący do miasta węgierskiego. Z tej strony jest to równina, na której miasto mogło dotąd i będzie mogło rozwijać się łatwo w przyszłości. Od strony Budy natomiast opadają wzgórza pokryte bastionami wieńczącymi cytadelę.

Z tureckiej Buda stara się przekształcić w węgierską i jak można łatwo zaobserwować, również w austriacką. Bardziej wojskowa niż handlowa; brakuje jej ruchu w interesach. Nie dziwi więc, że na jej ulicach rośnie i okala chodniki trawa. Mieszkańcy to przeważnie żołnierze. Mówi się tu, że żyją oni w mieście będącym w stanie oblężenia. W wielu miejscach powiewa narodowa flaga, której jedwab rozwija się na wietrze.

Jest to więc, biorąc wszystko pod uwagę, miasto nieco martwe, któremu przeciwstawia się tak żywy Peszt. Można by rzec, że Dunaj płynie tutaj między przyszłością i przeszłością.

Mimo że Buda posiada arsenał, że wiele jest koszar, można tu również zwiedzać liczne pałace o dostojnym wyglądzie. Odczuwałem jakieś wzruszenie stojąc przed starymi kościołami, przed katedrą, zamienioną na meczet pod panowaniem dynastii otomańskiej. Podziwiałem rozległe widoki na domy z tarasami jak na Wschodzie, otoczone kratami. Przebiegałem sale Ratusza otoczonego barierami w kolorze żółto-czarnym. Rozmyślałem nad grobowcem Gull-Baby, odwiedzanym przez pielgrzymów tureckich.

Jednakże to widzenie Peszt ziało mi, jak również większości

Jednakże to właśnie i eszi zajęli III, jak również większości cudzoziemców, najwięcej czasu. I nie był to wcale czas stracony, można mi wierzyć, gdyż doprawdy dwa dni nie wystarczą do zwiedzenia stolicy węgierskiej, imponującego centrum uniwersyteckiego.

Należy najpierw wdrapać się na wzgórze leżące na południe od Budy, na krańcu przedmieścia Taban, by mieć pełny widok na oba miasta. Z tego punktu można dostrzec nabrzeża Pesztu oraz place otoczone pałacami i hotelami o pięknym układzie architektonicznym, tu i ówdzie kopuły o złożonych żebrach, wieże zuchwale wznoszące się ku niebu. Wygląd Pesztu jest niewątpliwie wspaniały i nie bez racji czasami przekłada się go nad Wiedeń.

Podmiejska wieś, usiana willami, rozprzestrzeniła się w ogromną równinę Rakosz, gdzie dawniej rycerze węgierscy uczestniczyli w wielkim zgielku, w narodowych sejmach.

Nie można także zaniedbać starannego zwiedzania Muzeum i oglądania tego, co zawiera: obrazów i rzeźb, sal historii przyrody i zabytków prehistorycznych, napisów, monet, kolekcji etnograficznych o dużej wartości. Następnie trzeba zobaczyć wyspę Małgorzaty z jej zagajnikami, łąkami, kąpieliskami zasilanymi gorącymi źródłami, a także ogród publiczny Stadtwaldchen, oblewany małą rzeczką, po której pływają lekkie łódki, jego cieniste aleje, namioty rozrywki, którym oddaje się żwawy, zuchowaty tłum, gdzie spotyka się moc godnych uwagi typów mężczyzn i kobiet.

W przeddzień odjazdu wstąpiłem do jednej z głównych

restauracji w mieście, by chwilę odpocząć. Ulubiony napój Madziarów, białe wino zmieszane z żelazistą wodą, przyjemnie mnie odświeżył. Poszedłem dalej zwiedzać miasto, gdy nagle wzrok mój zatrzymał się na rozpostartej gazecie. Wziąłem ją odruchowo i wkrótce moją uwagę przyciągnął tytuł napisany dużymi gotyckimi literami: „Rocznica śmierci Storitza”.

Było to nazwisko, które wymienił porucznik policji. Nazwisko sławnego alchemika niemieckiego, a także odepchniętego pretendenta do ręki Myry Roderich. Nie można mieć w tym względzie wątpliwości.

Oto co przeczytałem:

„Za dwadzieścia dni, 25 maja, będzie obchodzona w Sprembergu rocznica śmierci Ottona Storitza. Można spodziewać się, że ludność zjawi się tłumnie na cmentarzu w rodzinnym mieście sławnego uczonego.

Jak wiadomo, ten niezwykle człowiek okrył sławą Niemcy dzięki swym wspaniałym dziełom, zadziwiającym odkryciom, dzięki wynalazkom, które przyczyniły się do rozwoju nauk fizycznych”.

Autor artykułu wcale nie przesadzał. Otto Storitz był rzeczywiście sławny w świecie nauki. Najwięcej do myślenia dał mi dalszy ciąg artykułu:

„Nikt nie zaprzecza, że za życia, dla pewnych umysłów skłonnych do wiary w rzeczy nadprzyrodzone, Otto Storitz stał się czaroksiężnikiem. Nie ma wątpliwości, że wiek lub

siał się czarownikami. Nie ma wątpliwości, że wien ten dwa wcześniej byłby pojmany, osadzony i spalony na oczach gawiedzi. Dodajmy, że po jego śmierci wielu ludzi, oczywiście skłonnych do łatwowierności, uznawało go tym bardziej za sprawcę czarów i zaklęć, za posiadającego moc nadludzką. Uspokajała ich myśl, że swe sekrety zabrał do grobu. Nie można liczyć na to, że tym poczciwym ludziom otworzą się kiedykolwiek oczy. Dla nich Otto Storitz zostanie przede wszystkim kabalistą, magiem, istotą opętaną przez demony".

Niech będzie, czym chce, myślałem sobie, lecz najważniejsze jest to, że jego syn został ostatecznie odprawiony przez doktora Rodericha. Jeśli chodzi o resztę, mało mnie obchodzi!

Gazeta kończyła tymi słowami:

„Należy więc przypuszczać, że na ceremonii rocznicowej będzie wielki tłum, tak jak w latach poprzednich, nie licząc przyjaciół wiernych pamięci Ottona Storitza. Nie będzie przesadą sądzić, że bardziej zabobonna ludność Sprembergu oczekuje na jakiś cud i chce być tego świadkiem. Według tego, co powtarza się powszechnie na mieście, cmentarz może być sceną najbardziej nieprawdopodobnych i zadziwiających zjawisk. Nikt nie byłby zaskoczony, gdyby wśród ogólnego przerażenia podniósł się kamień na grobie i niezwykle uczony zmartwychwstał w pełni swej chwały.

Według opinii niektórych z nich Otto Storitz wcale nie umarł i urządzono fałszywą ceremonię w dniu pogrzebu.

Nie omieszkałmy przypomnieć nadobnym ludziom, że

nie omieszkamy zaprzeczyc poaobnym dreamiom. Lecz jak każdy wie, logika nie ma czego szukać w przesądach i dużo lat upłynie, zanim zdrowy rozsądek zwycięży te śmieszne legendy".

Lektura ta wcale nie kojarzyła mi się z jakimiś pesymistycznymi refleksjami. Że Otto Storitz zmarł i został pochowany, to zupełnie pewne; że grób jego może się otworzyć 25 maja, a on ukaże się tłumowi jako nowy Łazarz — nie warto nad tym zatrzymywać się ani chwili. Lecz jeśli zgon ojca był faktem niezaprzeczalnym, tym bardziej pewne było to, że jego syn Wilhelm Storitz, odrzucony przez rodzinę Roderichów, żył i to całkiem nieźle. Czy nie należało się obawiać, że znenawidził Marka, że będzie starał się przeszkodzić jego ślubowi?

W porządku! — powiedziałem do siebie odrzucając gazetę — ja chyba bredzę. Wilhelm Storitz prosił o rękę Myry... odmówiono mu... A potem? Nie widziano go więcej, a ponieważ Marc nie napisał mi nigdy ani słowa o tej sprawie, nie wiem, dlaczego miałbym do niej przywiązywać jakąkolwiek uwagę.

Poprosiłem o papier, pióro, atrament i napisałem do brata, anonsując mu, że nazajutrz opuszczę Peszt i przybędę 11 maja po południu, gdyż jestem najwyżej o siedemdziesiąt pięć mil od Ragzu. Dodałem również, że jak dotąd podróż przebiega bez zakłóceń i opóźnień i nie widzę żadnego powodu, aby nie zakończyła się tak samo. Nie zapomniałem także dołączyć pozdrowień dla państwa Roderichów, a dla Myry zapewnień o

mej serdecznej sympatii, które Marc zechce jej przekazać.

Nazajutrz o ósmej „Dorota” odbiła od pomostu zbudowanego wzdłuż nabrzeża, a żagle wypełniły się wiatrem.

Rozumie się samo przez się, że do Wiednia na każdym postoju zmieniał się skład pasażerów. Jedni wysiadali w Preszburgu, w Raab, w Gren, w Buda-Peszcie, drudzy wsiadali przed odplynięciem z tychże miast. Było zaledwie pięciu lub sześciu, którzy płynęli statkiem od stolicy austriackiej, między innymi Anglicy, płynący aż do Morza Czarnego.

W Peszcie, podobnie jak w innych portach, „Dorota” wzięła również nowych pasażerów. Jeden z nich przyciągał szczególnie moją uwagę, gdyż jego wygląd wydawał mi się dość dziwny.

Był to mężczyzna około trzydziestopięcioletni, wysoki, o włosach ognistorudych, o surowej twarzy, władczym spojrzeniu, a ogólnie niezbyt sympatyczny. Jego postawa wskazywała, że jest człowiekiem nieprzystępnym, okazującym pogardę dla otoczenia. Wiele razy zwracał się do załogi, co pozwoliło mi usłyszeć jego oschły głos i zauważyć nieprzyjemnie ostry ton brzmiały w zadawanych pytaniach.

Pasażer ten, jak się wydawało, nie chciał z nikim przestawać. Nic mnie to nie obchodziło, gdyż dotąd odnosiłem się z wielką rezerwą wobec towarzyszy podróży. Właściciel „Doroty” był jedynym, do którego zwracałem się o informacje.

Oceniając tego osobnika, miałem podstawy sądzić, że był to Niemiec, pochodzący najprawdopodobniej z Prus. To się czuło, jak zwykle się mawiać. Wszystko u niego nosiło piętno teutońskie. Rzeczą niemożliwą byłoby pomylić go z dzielnymi

Węgry, tymi sympatycznymi Madziarami, prawdziwymi przyjaciółmi Francji.

Galar, opuściwszy Buda-Peszt, nie płynął już szybciej niż prąd rzeki. Bardzo lekka bryza nadawała mu jedynie niewielką szybkość własną. Stwarzało to możliwość obserwowania w szczegółach krajobrazu przesuwanego się przed naszymi oczami. Gdy podwójne miasto zostało już z tyłu, „Dorota” dotarła do wyspy Czepel, dzielącej Dunaj na dwie odnogi, i wpłynęła do tej lewej.

Być może czytelnik zdziwi się — przyjmując, że będę miał czytelników! — całkowitą banalnością podróży, którą rozpocząłem chwając jej niezwykłość. Jeśli tak jest, proszę go o cierpliwość. W niedługim czasie będzie miał tyle dziwnych rzeczy, ile tylko może sobie życzyć.

Pierwsze zdarzenie, które zachowuję w pamięci, miało miejsce dokładnie w momencie, gdy „Dorota” opływała wyspę Czepel. Incydent w zasadzie nic nie znaczący. Czy mam prawo nazywania „incydentem” faktu o tak małym znaczeniu, i co więcej, całkowicie urojonego, czego dowód miałem natychmiast? Cokolwiek by to było, oto jak się rzecz miała.

Stałem na tyle statku, obok mej małej walizki, na której znajdowała się nalepka, gdzie każdy, kto chciał, mógł odczytać moje imię, nazwisko, adres i zawód. Oparty o poręcz, pozwalałem błędzić błogo oczom po puszczie, rozciągającej się poniżej Pesztu, i przyznaję, że nie myślałem o niczym.

Nagle doznałem dziwnego wrażenia, że ktoś znajduje się za mną. Każdy doświadczył zapewne tego tłumionego

skrępowania, jakie odczuwamy, gdy jesteśmy oglądani bez naszej wiedzy przez kogoś, kogo obecności nie jesteśmy świadomi. Jest to zjawisko słabo lub w ogóle niewytłumaczalne i dość tajemnicze. Właśnie w tym momencie doznałem tego rodzaju skrępowania.

Odwrociłem się gwałtownie. W pobliżu nie było nikogo.

Wrażenie było tak dojmujące, że przez kilka minut stałem z otwartymi ustami po stwierdzeniu, iż jestem sam. W końcu jednak musiałem wrócić do rzeczywistości i uznać, że od najbliższych pasażerów dzieli mnie co najmniej dziesięć sążni.

Karcąc się za tę nedorzeczną nerwowość, wróciłem do poprzedniej pozycji. Na pewno nie zachowałbym w pamięci nic z tego błędnego incydentu, gdyby wydarzenia, których wcale nie oczekiwałem, nie kazały mi przywołać go z pamięci.

W każdym razie przestałem o tym myśleć, przykułem wzrok do puszy, która roztaczała się wokoło, ze swymi ciekawymi efektami mirażu, ze swymi rozległymi równinami, zieleniejącymi pastwiskami, uprawami bardziej skupionymi, bardziej obfitymi w sąsiedztwie dużego miasta. Na rzece nadal przesuwwały się jak paciorki różańca płaskie wysepki ze sterczącymi wierzbami, których czuby wylaniały się jak pękate kępy w kolorze bladej szarości.

Tegoż dnia, 7 maja, zrobiliśmy prawie dwadzieścia mil, płynąc wzdłuż licznych meandrów rzeki, pod niebem zamglonym, dającym więcej niepogody niż słońca. Z nadejściem wieczora zatrzymaliśmy się między Duna Pentele i Duna Foldvar. Dzień

następny był całkiem podobny, a postoj wypacił na piasznej równinie, kilkanaście mil powyżej Batty.

9 maja roz pogodziło się, wyruszyliśmy z zamiarem dotarcia przed wieczorem do Mohacza.

Okolo godziny dziewiątej, w chwili, gdy wchodziłem na rufę, niemiecki pasażer stamtąd schodził. Potrąciłem go lekko i byłem zaskoczony osobliwym spojrzeniem, jakim mnie obrzucił. Mimo że to jedynie przypadek zbliżył nas do siebie po raz pierwszy, w jego spojrzeniu była nie tylko impertynencja, lecz również — nie miałem co do tego wątpliwości — nienawiść.

Czegóż mógł chcieć ode mnie ten typ? Nienawidził mnie jedynie dlatego, że jestem Francuzem? Pomyślałem, że mógł on przeczytać moje nazwisko na pokrywie walizki lub na nalepce mego sakwojażu, leżącym na jednej z ławek na rufie. Prawdopodobnie w taki sposób zostałem rozszyfrowany.

No dobrze! Znał moje nazwisko, lecz ja postanowiłem go zignorować, gdyż osobnik ów wcale mnie nie interesował.

„Dorota” zawinęła do Mohacza dość późno, i z tego stosunkowo ważnego ośrodka dostrzegłem jedynie dwie spiczaste wieże, wznoszące się nad pogrążoną w cieniu bryłą miasta. Jednakże zszedłem na ląd i po godzinnej przechadzce wróciłem na pokład.

O świcie, 10 maja, zabraliśmy kilku pasażerów i odbiliśmy od brzegu.

Tego dnia spotkałem się wielokrotnie na pokładzie z tymże indywiduum, uporczywie spoglądającym na mnie z miną, która zdecydowanie mi się nie podobała. Nie lubię szukać zaczepki z

ludźmi, lecz tym bardziej nie lubię, gdy obserwuje się mnie z taką arogancką natarczywością. Jeśli ten impertynent miał mi coś do powiedzenia, dlaczego tego nie uczynił? Nie było przecież konieczności mówienia oczyma, nawet jeśli nie znał francuskiego, gdyż mogłem mu odpowiedzieć w jego języku ojczystym.

W każdym razie, jeśli będę musiał zażądać wyjaśnień od Teutona, będzie lepiej postarać się wcześniej o trochę informacji na jego temat.

Zapytałem właściciela galaru, czy zna tego pasażera.

— Widzę go po raz pierwszy — odpowiedział.

— Pewno jest Niemcem?

— Niewątpliwie, monsieur Vidal, i sędzę, że jest nim nawet dwa razy, gdyż musi to być i Niemiec, i Prusak.

— A to jest już o jednego za dużo! — zawołałem. Przyznaję, był to okrzyk niezbyt dobrze brzmiący w ustach człowieka kulturalnego, lecz spodobał się on kapitanowi, który był z pochodzenia Węgrem.

Po południu statek *znalazł* się na wysokości Samboru, zbyt oddalonego od lewego brzegu rzeki, by można go było dostrzec. Jest to miejscowość bardzo ważna, usytuowana, tak jak Szeged, na rozległym półwyspie utworzonym przez Dunaj i Cisę.

Nazajutrz, zostawiając za sobą liczne zakręty, „Dorota” skierowała się ku Vukovarowi, zbudowanemu na prawym brzegu. Płynęliśmy więc wzdłuż granicy ze Sławonią, gdzie rzeka zmieniała swój kierunek północno-południowy na wschodni. Stąd rozpoczynało się terytorium Pogranicza Wojskowego. W

pewnych odstępach widać było, nieco oddalone od brzegu, liczne posterunki połączone ze sobą chodzącymi w tę i z powrotem wartownikami. Zajmowali oni szałas z drewna i budki wartownicze z gałęzi.

Terytorium to pozostaje pod administracją wojskową. Wszyscy mieszkańcy, nazywani tu *grenzer*, są żołnierzami. Prowincje, dystrykty, parafie zostały skreślone i ustąpiły miejsca regimentom, kompaniom tej specjalnej armii. Pod nazwą *Pogranicze Wojskowe* rozumie się, od brzegów Adriatyku aż do gór Transylwanii, powierzchnię sześciuset dziesięciu mil kwadratowych, której ludność — ponad milion sto tysięcy dusz — poddana jest surowej dyscyplinie. Ta organizacja datuje się jeszcze sprzed panowania obecnej królowej Marii-Teresy i ma swoje uzasadnienie nie tylko jako obrona przed Turkami, lecz także jako kordon sanitarny przeciwko dżumie. Jedno nie lepsze od drugiego.

Począwszy od Vukovaru nie widziałem już Niemca na pokładzie. Bez wątpienia wysiadł w tym mieście. Pozbyłem się więc jego obecności, co oszczędziło mi nieprzyjemnych wyjaśnień.

Zresztą obecnie inne myśli zajmowały mój umysł. Za kilka godzin statek przybędzie do Ragzu. Co za radość z ponownego ujżenia brata, z którym byłem rozdzielony od ponad roku, z uściskania go, z opowiedzenia sobie o rzeczach tak nas interesujących, z poznania nowej rodziny!

Okolo piątej po południu na lewym brzegu, między wierzhami, za zasłona tonól, ukazało się kilka kościołów, jedna

wieźlowani, za zasłoną wopoi, ukazało się kilka kosciółków, jedne zwieńczone kopułami, inne z górującymi nad nimi wieżami, odcinającymi się od nieba, po którym pędziły obłoki.

Były to pierwsze zarysy dużego miasta, było to Ragz. Za ostatnim zakrętem rzeki ukazało się całkowicie, malowniczo położone u stóp wysokich pagórków. Na jednym z nich stał stary feudalny zamek, zwyczajowy akropol starych miast na Węgrzech.

Popchnięty podmuchem wiatru galar zbliżył się do przystani. Przybił do brzegu. Dokładnie w tej właśnie chwili nastąpił drugi incydent mej podróży. Czy zasługuje, aby opowiedzieć o nim?... Osądźcie sami.

Stałem obok poręczy bakburty, rozglądając się wzdłuż linii nabrzeża, podczas gdy większość pasażerów pozostawała w kabinach. Na zejściu z pomostu znajdowało się wielu oczekujących, i nie wątpiłem, że wśród nich jest Marc.

I gdy wypatrywałem go pilnie, usłyszałem tuż obok siebie, wyskandowane wyraźnie po niemiecku, te mianowicie słowa:

„Jeśli Marc Vidal poślubi Myrę Roderich, spotka ich nieszczęście!”

Odwrociłem się raptownie... Byłem sam. Jednakże ktoś mówił do mnie przed chwilą! Tak, mówiono do mnie i, powiem więcej, głos nie był mi obcy!...

Mimo to nie było nikogo, powtarzam, nikogo!... Oczywiście, musiałem się pomylić sądząc, że słyszałem te słowa groźby... Rodzaj halucynacji, nic więcej... Moje nerwy musiały być w fatalnym stanie, skoro miałem podobne omamy w ciągu dwóch

kolejnych dni!... Oglupiał, rozejrzałem się ponownie dookoła siebie... Nie, nie było nikogo... Cóż mógłbym zrobić innego, jak tylko wzruszyć ramionami i wysiąść zwyczajnie i po prostu?

I to właśnie uczyniłem, torując sobie z trudem przejście wśród głośniego tłumu zapełniającego pomost.

III

Tak jak przypuszczałem, Marc oczekiwał mnie na nabrzeżu z wyciągniętymi ramionami. Uściskaliśmy się serdecznie.

— Henryku... mój drogi Henryku! — powtarzał wzruszony, z wilgotnymi oczyma, mimo że cała twarz promieniała szczęściem.

— Mój drogi Marc — powtarzałem ze swej strony — niech cię jeszcze uściskam!

Następnie, po tych wylewnościach, wykrzyknąłem:

— Jedźmy! W drogę! Myślę, że zabierzesz mnie do siebie?

— Tak, do hotelu Temesvar, o dziesięć minut stąd, na ulicy Księcia Miłosza... lecz przedstawię cię przedtem memu przyszłemu szwagrowi.

Nie dostrzegłem dotąd oficera, który trzymał się nieco z tyłu Marka. Był to kapitan. Nosił mundur piechoty Pogranicza Wojskowego. W wieku dwudziestu ośmiu lat lub nieco więcej, wzrostu powyżej średniego, pięknej postawy, wąsy i bródka kasztanowate, mina dumnego arystokraty węgierskiego, lecz snoirzenie uimuiace. twarz uśmiechnięta. w ogóle bardzo

sympatyczny.

— Kapitan Haralan Roderich — przedstawił Marc. Uścisnąłem rękę, którą wyciągnął do mnie kapitan Haralan.

— Monsieur Vidal — powiedział — jesteśmy szczęśliwi mogąc pana zobaczyć. Trudno sobie wyobrazić, jaką radość sprawił pan całej naszej rodzinie swym tak niecierpliwie oczekiwanym przybyciem.

— Czy również pannie Myrze? — zapytałem.

— Nie wątpię w to! — wykrzyknął mój brat — i to nie jest twoja wina, mój drogi Henryku, że „Dorota” nie robiła swych dziesięciu mil na godzinę od twego wyjazdu z Wiednia!

Należy zauważyć, że kapitan Haralan mówił biegle po francusku, tak samo jak jego ojciec, matka i siostra, którzy podróżowali po Francji. A ponieważ Marc i ja znaleźliśmy doskonale język niemiecki i powierzchownie węgierski, mogliśmy odtąd rozmawiać bez różnicy w tych językach, czasami je mieszając.

Powóz zabrał mój bagaż. Kapitan Haralan i Marc wsiedli również ze mną i po kilku minutach zatrzymaliśmy się przed hotelem *Temesvar*.

Moja pierwsza wizyta u rodziny Roderich była ustalona na dzień następny, a ja zostałem sam z bratem w pokoju dość komfortowym, sąsiadującym z apartamentem, który Marc zajmował od swego przyjazdu do Raguzu.

Nasza rozmowa przeciągnęła się aż do kolacji.

— Mój drogi Marku — rzekłem — oto w końcu spotykamy się obaj w jednym miejscu, nieprawdaż? Jeśli się

spotkaliśmy się obaj, w dobrym zdrowiu, nieprawdaz?... Jeśli się nie mylę, to cały długi rok trwała nasza rozłąka.

— Tak, Henryku, i czas ten bardzo mi się dłużył, mimo że towarzystwo mej drogiej Myry bardzo skracало mi go w ostatnich miesiącach... Lecz, jak widzisz, mimo twej nieobecności, nie zapomniałem, że jesteś moim starszym bratem.

— Twoim najlepszym przyjacielem, Marku.

— A także, Henryku, jak sam rozumiesz, mój ślub nie mógłby się odbyć bez twojej obecności przy mnie!... Poza tym, czy nie muszę poprosić cię o zgodę?...

— Moją zgodę?

— Tak, tak jak prosiłbym o nią naszego ojca, gdyby tu był. I co więcej, nie będziesz mógł odmówić mi jej, gdy poznasz mą narzeczoną...

— Znam ją już z listów i wiem, że jesteś szczęśliwy.

— Bardziej, niż mogę to wysłowić. Zobacysz ją, ocenisz i polubisz, jestem tego pewien! Będzie najlepszą siostrą, jaką mógłbym ci ofiarować.

— I którą zaakceptuję, mój drogi Marku, wiedząc z góry, że mogłeś zrobić tylko doskonały wybór. Lecz dlaczegoż by nie złożyć wizyty doktorowi Roderichowi tego wieczoru?

— Nie, jutro... Nie przypuszczaliśmy, że statek przyplynie tak wcześnie, i oczekiwaliśmy cię dopiero wieczorem. Haralan i ja znaleźliśmy się na nabrzeżu jedynie dzięki nadmiernej ostrożności, i dobrze się stało, gdyż mogliśmy asystować przy zawijaniu galaru do portu. Ach! gdyby moja droga Myra wiedziała o tym!... Jakże będzie żałować!... Lecz, jak już

mówiłem, jesteś oczekiwany dopiero jutro. Madame Roderich i jej córka zadysponowały już ten wieczór, a jutro na pewno będą tego żałowały i przepraszały cię najmocniej.

— Rozumiem to, Marku — odrzekłem — a ponieważ będziemy mieli dzisiaj kilka godzin dla siebie, użyjmy je na rozmowę o przeszłości i przyszłości, na opowiedzenie sobie wszystkiego, co dwaj bracia mogą pamiętać po roku rozłąki.

Marc opowiedział mi więc o swej wędrówce od momentu, kiedy opuścił Paryż, o wszystkich etapach znaczących sukcesami, o swym pobycie w Wiedniu, w Preszburgu, gdzie otworzyły się przed nim szeroko wrota artystycznego świata. W sumie nie dowiedziałem się niczego nowego. Portret sygnowany przez Marka Vidala był poszukiwany, dyskutowany, i to z takim samym entuzjazmem przez bogatych Austriaków, co i bogatych Madziarów.

— Nie mogłem podolać, mój drogi Henryku. Zamówienia i podbijanie cen ze wszystkich stron! Cóż chcesz, jak powiedział jeden z pocziwych mieszczan Preszburga: „Marc Vidal maluje bardziej podobnym, niż się jest w rzeczywistości”. Wydaje mi się całkiem prawdopodobne — dodał mój brat śmiejąc się — że pewnego dnia zostanę portrecistą całego wiedeńskiego dworu!

— Uważaj, Marku, uważaj! Czy wiesz, ile sprawiłbyś kłopotów, gdybyś musiał opuścić teraz Ragz, by udać się na dwór!

— Odpowiedziałbym odmownie na zaproszenie najbardziej zaszczytne w świecie, mój przyjacielu. Teraz nie pora na portrety... a właściwie dopiero co skończyłem ostatni.

— Jej portret, nieprawdaż?

— Jej, i wydaje mi się, że udał się nie najgorzej.

— Kto wie? — zawołałem — Gdy malarz zajęty jest bardziej modelem niż portretem...

— Przecież go zobaczysz, Henryku!... Powtarzam ci, bardziej podobna niż w rzeczywistości!... To mój styl, jak się wydaje. Przez cały czas, gdy moja kochana Myra pozowała, nie mogłem od niej oderwać oczu. Lecz ona traktowała to poważnie. To nie narzeczonemu, lecz malarzowi chciała poświęcić te godziny upływające zbyt szybko... I mój pędzel szybko przebiegał po płótnie... i z jaką pasją! Czasami wydawało mi się, że portret ożyje, nabierze życia jak posąg Galatei...

— Spokojnie, Pigmalionie, spokojnie. Opowiedz mi raczej, w jaki sposób poznałeś rodzinę Roderichów.

— Pisałem ci o tym.

— Tak, lecz opowiedz dokładniej...

— Już od pierwszych dni po przybyciu do Ragzu wiele salonów przyjmowało mnie z należnym szacunkiem. Sprawiała mi ogromną przyjemność możliwość spędzania w taki sposób wieczorów, zawsze dłużących się w obcym mieście. Bywałem wytrwale w tych salonach, gdzie spotykałem się z dobrym przyjęciem, i to właśnie w jednym z nich odnowiłem znajomość z kapitanem Haralanem.

— Odnowiłeś?... — zdziwiłem się.

— Tak, Henryku, gdyż spotykałem go już wiele razy w Poczcie. Był bardzo zdolnym oficerem, któremu wrócono nieka-

1 ESZCIE. Był bardzo zdolnym oficjalem, któremu wiozono piękną przyszłość, a równocześnie najmiłszym człowiekiem, który na pewno zostałby bohaterem w czasie wojen Macieja Corvina...

— Gdyby żył w tamtej epoce! — dokończyłem śmiejąc się.

— Tak jak rzekłeś — podjął Marc tym samym tonem. — Słowem, widywaliśmy się tutaj codziennie i nasze stosunki, na początku dość luźne, zmieniły się stopniowo w szczerą przyjaźń. Zapragnął przedstawić mnie swej rodzinie, na co przystałem tym chętniej, że spotkałem już Myrę na kilku przyjęciach i...

— I — dokończyłem — siostra była nie mniej urocza niż brat, a twe wizyty w domu doktora Rodericha stawały się coraz częstsze...

— Tak, Henryku. Od trzech miesięcy każdego wieczoru tam byłem. Być może sądzisz, że przesadzam, mówiąc o mej ukochanej Myrze...

— Ależ nie, mój przyjacielu, wcale nie, nie przesadzasz! Jestem pewien, że nie można byłoby przesadzić mówiąc o niej. Również, jeśli chcesz poznać moją szczerą opinię, wyznam ci, że znajduję cię nawet zbyt powściągliwym.

— Ach! Drogi Henryku, jak ja ją kocham!

— To daje się zauważyć. Poza tym rad jestem wiedząc, że wejdiesz do jednej z najbardziej zacnych rodzin...

— I najbardziej szanowanych — dodał Marc. — Doktor Roderich jest lekarzem bardzo cenionym i to również przez swych kolegów po fachu. Jednocześnie ten wspaniały człowiek i godny ojciec...

— Swej córki — dodałem — tak samo jak Madame

Roderich zasługuje nie mniej, bez wątplenia, aby być matką.

— Jest wspaniałą kobietą! — zawołał Marc. — Uwielbianą przez wszystkich swych bliskich, pobożną, życzliwą, zajmującą się dobrymi uczynkami...

— Z taką doskonałością będzie teściową, jakiej nie znalazłoby się we Francji, czyż nie tak, Marku?

— Żarty!... Żarty!... Po pierwsze, Henryku, nie jesteśmy tutaj we Francji, lecz na Węgrzech, w tym madziarskim kraju, gdzie obyczaje zachowują coś z dawnej surowości, gdzie rodzina jest jeszcze patriarchalna...

— A więc, przyszedł patriarcho, gdyż będziesz nim, kiedy przyjdzie na ciebie kolej...

— Jest to pozycja społeczna tak samo dobra jak inne!

— Tak, rywalu Matuzalema, Noego, Abrahama, Izaaka, Jakuba! W końcu, jak mi się wydaje, twoja historia nie ma w sobie nic nadzwyczajnego. Dzięki kapitanowi Haralanowi zostałeś wprowadzony do tej rodziny, gdzie spotkałeś się z jak najlepszym przyjęciem, a znając ciebie, nie mogłeś widywać Myry i nie być oczarowany jej zaletami fizycznymi i moralnymi...

— Było tak właśnie, jak powiedziałeś, bracie!

— Zalety moralne, to dla narzeczonego. Zalety fizyczne, to dla malarza, a te nie zostaną zatarte ani na płótnie, ani w twoim sercu... Co myślisz o mej sentencji?

— Napuszona, lecz prawdziwa, drogi Henryku!

— Słuszna jest również twoja ocena, i żeby zakończyć, sądzę, że tak samo jak Marc Vidal nie mógł zobaczyć panny Myry Roderich, aby nie być porażony jej wdziękiem, również

panna Myra Roderich nie mogła zobaczyć Marka Vidala i nie być porażona .

—Ja tego nie powiedziałem, Henryku!

— Lecz ja to mówię, i to przez należyty szacunek dla faktów... I państwo Roderich dostrzegłszy, co się dzieje, wcale się tym nie zaniepokoiili. I Marc nie omieszkał zwierzyć się kapitanowi Haralanowi. I kapitan Haralan nie widział w tym nic złego. I powiedział o tej historyjce swym rodzicom, a oni porozmawiali o tym ze swą córką. Potem Marc Vidal wystąpił oficjalnie z oświadczeniami, które zostały przyjęte, a opowieść ta zakończy się jak tyle innych podobnego rodzaju...

— To, co ty nazywasz końcem, drogi Henryku — przerwał Marc — jest według mnie dopiero początkiem.

— Masz rację, Marku, widać, że nie znam prawdziwej wartości słów... A kiedy ślub?

— Czekałimy na twój przyjazd, aby ustalić ostatecznie datę.

— No więc, kiedy zechcecie... za sześć tygodni... za sześć miesięcy... za sześć lat...

— Mój drogi Henryku — wtrącił Marc — chciałbyś pewno oświadczyć doktorowi, jak sędzę, że czas inżyniera jest bardzo cenny, i jeśli przedłużysz nadmiernie swój pobyt w Ragz, funkcjonowanie układu słonecznego, pozbawione twych naukowych obliczeń, może się zachwiać...

— Oraz to, że będę odpowiedzialny za trzęsienia ziemi, powodzie, sztormy i inne kataklizmy?

— To właśnie. Czuli nie można odkładać ceremonii na

później.

— Niż na pojutrze lub dzisiejszy wieczór, nieprawdaż?...

Bądź pewien, drogi Marku, że powiem to, co należy, mimo że moje obliczenia nie będą w rzeczywistości tak potrzebne, jak przypuszczasz, dla właściwego porządku wszechświata, co mi pozwoli spędzić miły miesiąc z tobą i twoją żoną.

— Byłoby to wspaniałe.

— Lecz, drogi Marku, jakie są twoje plany? Czy zamierzasz po ślubie opuścić Ragz?

— To właśnie nie jest postanowione — odpowiedział Marc — ale na to mamy jeszcze czas. Obecnie zajmuję się jedynie terażniejszością. Cała przyszłość kończy się dla mnie na ślubie. Poza tym nic nie istnieje.

— Przeszłości już nie ma — wykrzyknąłem — przyszłość mnie nie interesuje, istnieje tylko terażniejszość! Oto włoska mądrość, którą wszyscy zakochani recytują gwiazdom.

Rozmowa w podobnym stylu trwała do kolacji. Następnie obaj z Markiem, paląc cygara, poszliśmy na spacer wzdłuż nabrzeża ciągnącego się na lewym brzegu Dunaju.

Ta pierwsza nocna przechadzka nie będzie pewno jedyną, która pozwoli mi rzucić okiem na miasto. Zapewne nazajutrz i w dni następne będę miał czas zwiedzić je dokładnie, prawdopodobnie raczej w towarzystwie kapitana Haralana niż Marka.

Rozumie się, że przedmiot naszych rozmów nie zmienił się i że Myra Roderich była bez przerwy ich obiektem.

Jakieś słowo, nie wiem już jakie, przypomniało mi to, co powiedział w Paryżu, w przeddzień mego odjazdu, porucznik policji. Ze słów Marka nie wynikało, by jego romans był kiedykolwiek zakłócony. Mimo że obecnie Marc nie miał rywala, to jednak rywal ów istniał, ponieważ syn Ottona Storitza kochał się w Myrze Roderich. Co więcej, nie było w tym nic dziwnego, że prosił był o rękę tak wspaniałej dziewczyny i dziedziczki tak pięknej fortuny. Oczywiście przypomniałem sobie słowa, które, zdawało mi się, słyszałem schodząc ze statku. Nadal wierzyłem, iż padłem ofiarą złudzenia. Jednakże zakładając, że były one wypowiedziane rzeczywiście, jakież wniosek mógłbym z nich wyciągnąć, skoro nie wiedziałem, komu je przypisać? Mógłbym posądzić o to tego antypatycznego Niemca, którego zabraliśmy w Peszcie, lecz muszę z tego zrezygnować, gdyż ów impertynent opuścił statek w Vukovarze. W takim przypadku pozostawałaby hipoteza, że był to złośliwy żart.

Nie zaznajamiając brata z tym zdarzeniem, czułem się jednak zobowiązany szepnąć słowo o tym, czego dowiedziałem się o Wilhelmie Storitzu.

Marc zrobił najprzód najbardziej charakterystyczny lekceważący gest. Następnie powiedział:

— W rzeczy samej, Haralan mówił mi o tym typie. Jest to, jak mi wiadomo, jedyny syn tego uczonego Ottona Storitza, którego w Niemczech uważano za czarnoksiężnika, niesłusznie zresztą, gdyż rzeczywiście zajmował godną szacunku pozycję w naukach przyrodniczych i poczynił ważne odkrycia w chemii i

fizyce. Niemniej oświadczyły jego syna zostały odrzucone.

— Chyba dużo wcześniej przed twoimi, które zostały przyjęte?

— Jeśli się nie mylę, cztery lub pięć miesięcy wcześniej — odpowiedział mój brat.

— Czy te dwa fakty nie miały żadnego związku?

— Żadnego.

— A panna Myra wiedziała, że Wilhelm Storitz marzył o zaszczytcie zostania jej małżonkiem, jak mawia się w poezji?

— Nie przypuszczam.

— I od tego czasu nie ponawiał zabiegów?

— Nigdy. Musiał zrozumieć, że nie ma żadnej szansy.

— A to dlaczego? Czyżby jego reputacja?...

— Nie. Wilhelm Storitz to oryginał, którego egzystencja jest dość tajemnicza i który żyje z dala od świata...

— W Ragz?

— Tak, w Ragz, w osamotnionym domu na bulwarze Tékéli, gdzie nikt nie zachodzi. Ma dziwnego służącego, to wszystko. Fakt, iż jest Niemcem, wystarczył doktorowi Roderichowi do uzasadnienia odmowy, gdyż Węgrzy wcale nie kochają przedstawicieli rasy teutońskiej.

— Czy spotkałeś go kiedyś?

— Kilkakrotnie, a pewnego dnia w Muzeum kapitan Haralan pokazał mi go, wtedy gdy on zdawał się nas nie dostrzegać.

— Czy obecnie jest w Ragz?

— Nie mogę ci odpowiedzieć dokładnie. Henryku. lecz iak

mi się wydaje, nie widziano go tutaj od dwóch lub trzech tygodni.

— Byłoby lepiej, gdyby opuścił miasto.

— Proponuję — powiedział Marc — zostawić w spokoju tego człowieka. Możesz być pewien, że jeśli kiedykolwiek zaistnieje pani Wilhelmowa Storitz, nie będzie nią Myra Roderich, ponieważ..

— Tak — wtrąciłem — ponieważ ona będzie panią Vidal!

Spacer po nabrzeżu doprowadził nas aż do mostu pontonowego, łączącego brzeg węgierski z serbskim. Chcieliśmy przejść się jeszcze dalej. Od kilku chwil zdawało mi się, że jakiś cień kroczy za nami, jak gdyby chciał podsłuchać naszą rozmowę. Postanowiłem to sprawdzić.

Zatrzymaliśmy się przez kilka minut na moście, podziwiając wielką rzekę, która tej przejrzystej nocy odbijała tysiące ciał niebieskich, podobnych rybom o świecących łuskach. Wykorzystałem postój na zlustrowanie nabrzeża. W pewnej odległości dostrzegłem człowieka średniego wzrostu i, jak mogłem sądzić po jego ciężkich krokach, w starszym wieku.

Wkrótce zresztą przestałem o nim myśleć. Ponaglony pytaniami Marka musiałem zdać mu relację z własnych spraw, przekazać wiadomości o wspólnych przyjaciółach ze świata artystycznego, z którym miałem częste kontakty. Mówiliśmy dużo o Paryżu, gdzie chciałby wrócić na stałe po ślubie. Wydaje się, że sprawiłoby wielką radość Myrze móc zobaczyć ponownie Paryż, który znała już, i to zobaczyć go tuląc się do

swego mazzonka.

Poinformowałem Marka, iż przywiołem wszystkie dokumenty, o jakie prosił w ostatnim liście. Może być spokojny, iż nie zabraknie mu papierów potrzebnych do odbycia wielkiej podróży poślubnej.

W rzeczywistości rozmowa wracała bez przerwy ku tej błyszczącej gwiazdzie pierwszej wielkości, jaką była Myra, podobnie jak namagnesowana igła wraca w kierunku Gwiazdy Polarnej. Marc nie przestawał o niej mówić, a mnie pozostawało jedynie słuchać. Przecież od tak dawna chciał przede mną otworzyć serce!... Jednakże z nas dwóch to ja musiałem być roztropniejszy, gdyż w przeciwnym razie nasza pogawędka trwałaby do rana.

Wróciliśmy więc na drogę do hotelu. Dochodząc doń, rzuciłem po raz ostatni okiem za siebie. Nabrzeże było puste. Skoro istniał tylko w mej wyobraźni, nic dziwnego, że nasz obserwator zniknął.

O wpół do jedenastej byliśmy z Markiem w swych pokojach w hotelu Temesvar. Położyłem się do łóżka i zaczynałem zasypiać...

Zerwałem się nagle jak rażony piorunem. Sen?... Koszmar?... Obsesja... Słowa, które wydawało się, że słyszałem na pokładzie „Doroty”, usłyszałem w mym półśnie, te słowa groźby wobec Marka i Myry Roderich!

Nazajutrz — w pełnym blasku dnia — złożyłem oficjalną wizytę rodzinie Roderichów.

Rezydencja doktora wznosiła się na końcu *nabrzeża* Batthyani, na bulwarze Tekeli, który pod różnymi nazwami okala całe miasto. Jest to rezydencja nowoczesna, o ornamentacji zewnętrznej bogatej i ciężkiej, umeblowana ze smakiem świadczącym o wyrafinowanym guście artystycznym.

Brama wjazdowa miała w rogu drzwi dla służby. Wkraczało się na brukowany dziedziniec przechodzący w rozległy ogród otoczony wierzchołkami akacji, kasztanowcami i bukami, których wierzchołki wyrastały ponad mur ogrodzenia. Naprzeciw bramy znajdowały się pomieszczenia dla służby, pokryte pnączami kokornaku i dzikiego wina, a połączone z głównym budynkiem oszklonym przejściem o kolorowych witrażach, kończącym się u podstawy okrągłej wieży, wysokiej na sześćdziesiąt stóp, z krętymi schodami.

Z przodu rezydencji królowała przeszklona galeria, na którą wychodziły drzwi udrapowane starymi gobelinami, prowadzące do gabinetu doktora Rodericha, do salonów i jadalni, pokojów korzystających za pośrednictwem sześciu okien fasady ze światła nabrzeża Batthyani i bulwaru Tekeli.

Pierwsze i drugie piętro miały podobny układ. Nad głównym salonem i jadalnią znajdowały się sypialnie pana i pani Roderich, na drugim kapitana Haralana, nad gabinetem doktora — sypialnia Myry i jej łazienka.

Poznałem ten dom zanim on zobaczyłem. W czasie naszej

rozmowy w przeddzień Marc nie zapomniał o żadnym szczególe. Opisał mi pokój po pokoju, jak również oryginalne schody prowadzące z belwederu na kolisty taras, górujący nad miastem i płynącym nie opodal Dunajem. Wiedziałem również dokładnie, gdzie było ulubione miejsce panny Myry przy stole lub w dużym salonie i na której ławce zwykła siadać w głębi ogrodu, w cieniu wspaniałego kasztanowca.

Okolo pierwszej po południu zostaliśmy przyjęci z Markiem w rozległej, oszklonej loggii umieszczonej z przodu głównego korpusu budynku. Pośrodku, w żardynierze z ozdobnej miedzi, promieniały całym swym przepychem wiosenne kwiaty. Dla przystrojenia narożników pawilonu rozmieszczono tam krzewy tropikalne: palmy, draceny i araukarie. Na ścianach wisiały liczne płótna węgierskie i holenderskie, które Marc uważał za niezwykle wartościowe.

Na sztalugach dostrzegłem i zachwyciłem się portretem Myry, dziełem o wspaniałej technice, godnym nazwiska, którym było podpisane i które jest mi najdroższe na świecie.

Doktor Roderich dobiegał pięćdziesiątki, lecz nie wyglądał na tyle. Wysokiego wzrostu, prostej postawy, włosy miał gęste i świecące, cerę wskazującą na dobre zdrowie, ciało silnej budowy, którego nie ima się żadna choroba. Rozpoznać w nim łatwo prawdziwy typ madziarski w swej oryginalnej czystości — oczy błyszczące, krok zdecydowany, godna postawa i w każdym calu rodzaj wrodzonej dumy, którą łagodził uśmiech na twarzy. Od kiedy zostałem mu przedstawiony, od kiedy

poczułem ciepło uściskanej ręki, byłem przekonany, że znajduję się w towarzystwie najzaczniejszego z ludzi.

Pani Roderich, w wieku czterdziestu pięciu lat, zachowała była znakomite pozostałości dawniejszej wielkiej urody: regularne rysy, oczy ciemnoniebieskie, wspaniałe włosy zaczynające się srebrzyć, delikatnie zarysowane usta pozwalające dostrzec nieskazitelne użębienie, kibić jeszcze szykowna.

Marc nakreślił mi wierny portret. Sprawiała wrażenie wspaniałej kobiety, obdarzonej wszelkimi cnotami rodzinnymi, znajdującej pełnię szczęścia u boku męża, uwielbiającej swe dzieci z całą czułością matki mądrej i przezornej.

Madame Roderich okazała mi dużo przyjaźni, czym zostałem dogłębnie wzruszony. Oświadczyła, że będzie szczęśliwa z przyjazdu brata Marka Vidala do swego domu, pod warunkiem, że będzie traktował go jak swój własny.

Lecz co rzec o Myrze Roderich? Zbliżyła się do mnie, uśmiechnęta, z ręką lub *raczej* ramionami wyciągniętymi. Tak, była to właśnie siostra, którą chciałbym mieć w tej dziewczynie, siostra, która ucałowała mnie i którą ja uściskałem bez większych ceremonii. I chyba nie myliłem się sądząc, że Marc na ten widok poczuł ukłucie zazdrości.

— Mnie jeszcze tego nie wolno — westchnął nie bez żalu.

— Ponieważ nie jesteś moim bratem — wyjaśniła dowcipnie moja przyszła piękna siostra .

Mademoiselle Roderich była dokładnie taką, jaką mi ją opisał Marc, jaką przedstawiał dopiero co podziwiany obraz.

Młoda dziewczyna ze śliczną główką ozdobioną wspaniałymi blond włosami, ujmująca, wesoła, oczy ciemnoniebieskie tryskające dowcipem, ciepłej karnacji węgierskiej, usta o wyrazistym rysunku, różowe wargi odsłaniające olśniewająco białe zęby. Wzrostu nieco powyżej średniego, elegancko poruszająca się, była uosobieniem wdzięku, doskonałej wytworności, bez afektacji i pozy.

Doprawdy, jeśli mówiono o portretach Marka, że były doskonalsze niż jego modele, można by rzec jeszcze bardziej sprawiedliwie, że panna Myra była bardziej naturalna niż sama natura!

Tak jak jej matka, Myra Roderich nosiła strój węgierski: bluzkę zapiętą pod szyją, z rękawami ściągniętymi haftowanymi mankietami, stanik z naszytymi metalowymi guzikami, pasek ze złotych wstążek związany na supeł, powiewną, plisowaną spódnicę sięgającą kostek, trzewiki ze złotobrazowej skóry — co zważywszy wszystko — dawało razem bardzo wdzięczną całość, której najdelikatniejszy smak nie mógłby nic zarzucić.

Kapitan Haralan był tu również, wspaniały w swym mundurze, uderzająco podobny do siostry. Uściskał mi rękę, przyjął mnie także jak brata i byliśmy już przyjaciółmi, mimo że nasza przyjaźń trwała zaledwie od wczoraj. W ten sposób poznałem wszystkich członków rodziny.

Rozmowa była chaotyczna, przeskaliwaliśmy bez porządku z tematu na temat. Mówiliśmy o mojej podróży, żegludze na pokładzie „Doroty”, o mych zajęciach we Francji, o czasie, jakim mogłem dysponować. o tym niekiedy Ragz. które radzono

mi zwiedzić szczegółowo, o wielkiej rzece, którą powinienem popłynąć co najmniej do Żelaznych Wrót, o wspaniałym Dunaju, którego wody wydawały się nasycone promieniami słońca, o całej węgierskiej krainie, tak pełnej historycznych pamiątek o tej sławnej puszczy, która winna przyciągać miłośników z całego świata, etc.

— Z jaką radością widzimy pana u nas, monsieur Vidal! — powtarzała Myra Roderich, składając ręce w pełnym wdzięku geście. — Podróż pana przedłużała się i byliśmy tym zaniepokojeni. Uspokoił nas dopiero pański list wysłany z Pesztu.

— To ja jestem winien, mademoiselle Myra — odrzekłem — bardzo winien spóźnieniu w podróży. Gdybym wsiadł do dylizansu pocztowego w Wiedniu, już od dawna byłbym w Ragz. Lecz Węgrzy nie przebaczyliby mi, gdybym pogardził Dunajem, z którego są tak uzasadnienie dumni i który wart jest swej sławy.

— Rzeczywiście, monsieur Vidal — potwierdził doktor — jesteście dumni z tej rzeki, która należy całkowicie do nas od Preszburga aż do Belgradu.

— Wybaczamy panu z uwagi na to, monsieur Vidal — uznała pani Roderich — a ponieważ jest pan już tutaj, nic teraz nie opóźni szczęścia tych dwojga dzieci.

Mówiąc to, pani Roderich objęła rozczulonym spojrzeniem swą córkę i Marka, już połączonych w jej sercu. Pan Roderich uczynił to samo. A jeśli chodzi o nasze „dwoje dzieci”, to

pozerali się nawzajem wzrokiem, jak mawia się poucie. Ja również byłem wzruszony bezgraniczną radością szczęśliwej rodziny.

Nie było mowy, abym tego popołudnia mógł ich opuścić. Doktor musiał wrócić do swych zwykłych zajęć, ale pani Roderich i jej córka nie miały żadnych spraw poza domem. W ich towarzystwie obszedłem całą willę podziwiając piękne przedmioty tu zgromadzone: obrazy, z gustem dobrane bibeloty, kredens ze srebrną zastawą w jadalni, stare kufry i szafy w pawilonie.

— A wieża? — zawołała Myra.— Pan Vidal wyobraża sobie, że jego pierwsza wizyta może zakończyć się bez wejścia na wieżę?

— Ależ nie, panno Myro, ależ nie! — odrzekłem. — Nie było ani jednego listu od Marka bez pełnego zachwyty opisu tej wieży i, prawdę mówiąc, przybyłem do Ragz głównie po to, by się na nią wdrapać.

— Zróbcie więc to beze mnie — powiedziała pani Roderich — dla mnie to nazbyt wysoko.

— Ależ mamo, to tylko sto sześćdziesiąt stopni!...

— Na twój wiek to wynosi zaledwie cztery stopnie na rok — wtrącił kapitan Haralan. — Lecz zostań tu, droga mamo, spotkamy się w ogrodzie.

— A więc w drogę ku niebu! — wykrzyknęła Myra. Poderwała się i ledwo mogliśmy nadażyć za jej wdzięcznym, lekkim wzlotem. Po dwóch minutach byliśmy w belwederze, potem na tarasie, skąd przed naszymi oczyma roztoczyła się

cudowna panorama.

Na zachód — nad całym miastem i przedmieściami wznosiło się wzgórze Wolkang, zwieńczone starym zamkiem, którego baszta chowała się w łopoczących fałdach węgierskiego sztandaru. Na południe — wijąca się wstęga Dunaju, szeroka na sto siedemdziesiąt pięć sążni, bez przerwy przecinana w obie strony statkami płynącymi w dół i w górę rzeki, a za nią dalekie góry serbskiej krainy. Na północ — królowała puszcza, ze swymi gęstymi zagajnikami przypominającymi parkowe kępy drzew, ze swymi równinami, polami uprawnymi, pastwiskami poprzedzającymi szeregi wiejskich domów i ferm, łatwych do rozpoznania dzięki spiczastym gołębnikom.

Byłem oczarowany tym cudownym widokiem, tak różnorodnym, a teraz, przy pięknej pogodzie, w promieniach pełnego słońca, rozpościerającym się do najdalszych granic horyzontu.

Panna Myra czuła się w obowiązku udzielić mi pewnych wyjaśnień:

— Tu oto mamy dzielnicę arystokratyczną, z pałacami, willami, placami, pomnikami... Natomiast z tej strony, nieco niżej widzi pan, monsieur Vidal, dzielnicę handlową, z ulicami pełnymi ludzi, rynkiem... A Dunaj, gdyż trzeba ciągle wracać do naszego Dunaju, jest dość ożywiony obecnie!... A wyspa Svendor, cała zielona, z zaroślami i łąkami w kwiatkach!... Mój brat bez wątpienia zaprowadzi tam pana.

— Bądź spokojna — powiedział kapitan Haralan — dzięki panu Vidalowi zwiedzimy niejedną zakątek w Ragz.

— I kościoły — pośpieszyła dodać Myra. — Czy widział pan już nasze kościoły i słyszał ich dzwony, gdy biją pełnym głosem? Usłyszysz je pan w niedzielę! A nasz ratusz z dziedzińcem między bocznymi budynkami z wysokim dachem, dużymi oknami i dzwonnica oznajmiającą donośnym tonem upływające godziny?

— Od jutra — powiedziałem — zacznę zwiedzanie.

— A pan, mój panie? — zapytała Myra zwracając się do Marka. — I cóż to oglądał, gdy ja pokazywałam Ratusz?

— Katedrę, panno Myro... jej imponującą bryłę, frontowe wieże, środkową iglicę, która wznosi się ku niebu, jakby chcąc kierować tam modlitwy, a przede wszystkim jej monumentalne schody.

— A skąd tyle zainteresowania tymi schodami? — zapytała Myra.

— Ponieważ prowadzą one dokładnie pod strzelistą iglicę, do takiego miejsca w prezbiterium — odpowiedział Marc patrząc na narzeczoną, której śliczna buzia lekko się zaróżowiła — gdzie...

— Gdzie?... — była ciekawa Myra.

— Gdzie usłyszę z twoich ust najważniejsze ze wszystkich słowo, i najpiękniejsze, mimo że będzie tylko jedną sylabą!

Po dość długim pobycie na tarasie belwederu zesłiśmy do ogrodu, gdzie oczekiwała nas pani Roderich.

Również i kolację tego wieczoru zjadłem przy tym rodzinnym i gościnnym stole. Mademoiselle Myra kilkakrotnie siadała do klawesynu i akompaniując sobie śpiewała oryginalne melodie węgierskie, ody, elegie, eponeie, ballady, których nie

niebawie węgierskie, ody, elegie, epopoje, ballady, których nie można słuchać bez wzruszenia. Wprawilo to nas w takie uniesienie, że siedzielibyśmy pewno do nocy, gdyby kapitan Haralan nie dał sygnału do wyjścia.

Gdy byliśmy już w hotelu Temesvar, w moim pokoju, Marc, który mi towarzyszył, powiedział:

— Chyba nie przesadzałem; czy według ciebie może być na świecie druga taka dziewczyna?...

— Druga! Ja nawet zastanawiam się, czy jest jedna, czy mademoiselle Myra Roderich istnieje rzeczywiście!

— Ach, drogi Henryku, jakże ja ją kocham!

— Dalibóg, wcale mnie to nie dziwi, drogi Marku! Wyparłbym się brata, gdyby było inaczej!

Potem udaliśmy się do swych łóżek i żadna chmura nie przysłoniła tego szczęśliwego i spokojnego dnia.

V

Nazajutrz rozpocząłem zwiedzanie Ragzu w towarzystwie kapitana Haralana. W tym czasie Marc zabiegał wokół różnych spraw związanych ze ślubem, którego data została właśnie ustalona na pierwszego czerwca, to znaczy za dwadzieścia dni. Kapitan Haralan w swym rodzinnym mieście czynił w stosunku do mnie honory domu, pokazując mi je we wszystkich szczegółach. Nie mógłbym znaleźć przewodnika bardziej sumiennego, uczonego i uprzejmego.

Mimo że myśl o Wilhelmie Storitzu wracała do mnie dość uporczywie, co mnie nawet nie dziwiło, nie powiedziałem Haralanowi ani słowa z tego, o czym wcześniej wspominałem bratu. On również nie rozpoczął tego tematu. Prawdopodobnie nie stanowiło to żadnego problemu.

Jak większość miast na Węgrzech, Ragz parokrotnie zmieniało nazwę. Podobne miejscowości mogły się wykazać metrykami chrztu w czterech lub pięciu językach: łacińskim, niemieckim, słowiańskim, węgierskim, prawie tak samo skomplikowanymi jak nazwiska ich książąt, wielkich książąt i arcyksiążąt

— Nasze miasto nie jest tak ważne jak Buda-Peszt — mówił kapitan Haralan. — Jednakże jego ludność przekracza czterdzieści tysięcy dusz i dzięki przemysłowi oraz handlowi zajmuje znaczące miejsce w królestwie Węgier.

— To miasto prawdziwie madziarskie — zauważyłem.

— Oczywiście, szczególnie dzięki swym zwyczajom i obyczajom, jak również strojom mieszkańców. Jeśli można powiedzieć z pewną dozą prawdopodobieństwa, że na Węgrzech Madziarowie stworzyli państwo, a Niemcy miasta, to Ragz jest dokładnym tego potwierdzeniem. Dlatego w klasie kupieckiej napotka pan osobników rasy germańskiej, lecz jest ich niewiele.

— Wiem o tym, jak również o tym, że mieszkańcy są bardzo dumni ze swego miasta czystej rasy, wolnej od domieszek.

— Poza tym Madziarowie. a nie należą ich mścić z Hunami.

co się często zdarza — dodał kapitan Haralan — utworzyli bardzo silną wspólną polityczną i z tego punktu widzenia Węgry przewyższają Austrię.

— A Słowianie? — zapytałem.

— Słowianie, mniej liczni niż Madziarowie, mój drogi Vidal, stoją jednakże wyżej niż Niemcy.

— A ci ostatni, jak są oceniani w królestwie węgierskim?

— Wyznam, że raczej źle, szczególnie przez ludność madziarską, gdyż jest rzeczą oczywistą, że ludzie pochodzenia teutońskiego żyją wśród nas jako wygnańcy ze swojej prawdziwej ojczyzny.

Kapitan Haralan wydawał się również nie wykazywać cieplejszych uczuć do Austriaków. A jeśli chodzi o Niemców, to antypatia rasowa między nimi i Madziarami jest starej daty. Antypatia ta ujawnia się w różnorodnych formach, a w powiedzonkach wyraża się czasami bardzo brutalnie, jak na przykład w tym — „*Eb a német Kutya nélkül*”, co w tłumaczeniu znaczy: „Wszędzie tam, gdzie znajduje się Niemiec, jest pies”.

Niektóre przysłowia zawierają niewątpliwie sporo przesady, powyższemu przynajmniej towarzyszy nieco przyjaźni.

Ragz jest zbudowane dość regularnie — oprócz części dolnej, przy brzegu rzeki. Wyżej położone dzielnice przybrały formy prawie geometryczne.

Kapitan Haralan poprowadził mnie przez nabrzeże, ulicą Stefana I na rynek Colomana, w porze, kiedy jest najbardziej

zaukumiony.

Na tymże rynku, suto zaopatrzonym w różne miejscowe wyroby, mogłem swobodnie obserwować wieśniaków w ich tradycyjnych strojach. Taki wieśniak zachowuje czysty charakter swej rasy: potężna głowa, nos lekko spłaszczony, oczy okrągłe, wąsy obwisłe. Nosi przeważnie kapelusz o szerokim rondzie, spod którego wymykają się dwa warkocze. Jego kaftan i kamizelka z kościanymi guzikami są ze skóry owczej, spodnie uszyte z grubego płótna, które mogłoby rywalizować tylko z welurem naszych wsi na północy kraju, oraz różnokolorowy pas ściągnięty mocno w tali. Na nogach ciężkie buty z cholewami, w razie potrzeby przypina się do nich ostrogi.

Wydaje mi się, że kobiety, zwykle bardzo urodziwe, ubrane w krótkie spódnice o jaskrawych kolorach, staniki ozdobione haftem, kapelusze przybrane kitkami piór i z rondami uniesionymi nad bujnymi włosami, miały bardziej żywe usposobienie niż mężczyźni.

Kręciło się tu również wielu Cyganów. Byli to nieboracy, godni pożałowania i litości, mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, zachowujący jeszcze nieco oryginalności w swych nędznych łaćmanach, mających więcej dziur niż tkaniny.

Po opuszczeniu rynku, kapitan Haralan poprowadził mnie labiryntem wąskich uliczek obramowanych sklepikami z wiszącymi szyldami. Potem ulice poszerzały się i prowadziły na plac Kurtza, jeden z większych w mieście.

Pośrodku tego placu wznosiła się kształtna fontanna z brązu i marmuru, której czasza zasilana była z wymyślnych rzygaczy.

Powyżej odcinał się posąg Macieja Korwina, bohatera z XV wieku, który mając piętnaście lat został królem, opierał się atakom Austriaków, Czechów, Polaków i obronił europejskie chrześcijaństwo przed otomańskim barbarzyństwem. Plac naprawdę piękny. Z jednej strony wznosi się Pałac Gubernatora, z wysokimi dachami, na których obracają się chorągiewki wiatrowskazów. Zachował on styl dawnych budowli Renesansu. Do budynku głównego wiodą schody z żelaznymi balustradami. Na wysokości pierwszego piętra cały budynek otacza krużganek ozdobiony marmurowymi posągami. Fasadę pałacu dziurawią okna ze starymi witrażami oprawionymi w kamienne krzyżawnice. Pośrodku wypiętrza się baszta zwieńczona przeszkloną kopułą, przysłaniana rozwiewającą się na wietrze flagą narodową. Na rogach dwa budynki, wysunięte do przodu, tworzą boczne skrzydła połączone żelaznymi kratami z bramą otwierającą się na rozległy dziedziniec ozdobiony kwietnymi kobiercami.

Zatrzymaliśmy się więc na placu Kurtza.

— Oto Pałac — powiedział kapitan Haralan — w którym za dwadzieścia dni Marc i Myra, zanim udadzą się do Katedry, stawią się przed Gubernatorem i poproszą o zezwolenie.

— Poproszą o zezwolenie? — powtórzyłem zaskoczony.

— Tak. Jest to bardzo stary miejscowy zwyczaj. Żaden ślub nie może się odbyć, jeśli nie otrzyma się zgody od najwyższej władzy miasta. To zezwolenie poza tym stanowi bardzo silną więź między tymi, którzy je otrzymali. Nie są jeszcze całkowicie małżonkami, ale są więcej niż narzeczonymi, i w przypadku

nieoczekiwanych przeszkód w ich ślubie, nie mogą wchodzić w inne związki.

Objaśniając ten osobliwy zwyczaj, kapitan Haralan powiódł mnie ulicą Władysława. Ulica ta kończy się Katedrą Świętego Michała, zabytkiem z XII wieku, w którym gotyk miesza się ze stylem romańskim. Katedra nie posiada więc czystego stylu, jednakże w wielu partiach zasługuje na uwagę znawców. Szczególnie jej fasada z dwiema wieżami po bokach, iglica nad nawą poprzeczną, wysoko na trzysta piętnaście stóp, główny portal o wyczelowanych sklepieniach, ogromna rozeta, przez którą przenikają promienie zachodzącego słońca i oświetlają hojnie główną nawę, jak również zaokrąglona apsyda między licznymi gotyckimi łukami oporowymi.

— Później, gdy będziemy mieli więcej czasu, zwiedzimy ją wewnątrz — zauważył kapitan Haralan.

— Będzie tak, jak pan sobie życzy — odpowiedziałem. — To pan jest moim przewodnikiem, drogi kapitanie, a ja podążam za panem..

— Zatem podejźmy aż do Zamku, potem okrążymy miasto bulwami i znajdziemy się u mej matki dokładnie w porze obiadowej.

Ragz posiada kilka świątyń obrządku luterńskiego i greckiego bez większych wartości architektonicznych oraz wiele innych kościołów, gdyż katolicy stanowią ogromną większość. Węgry należą przede wszystkim do religii apostołskiej i rzymskiej, mimo że ich stolica, Buda-Peszt, jest po Krakowie miastem mającym największą ilość Żydów. Tutaj też jak to się

masztem mającym największą ilość Żydów. Tutaj też, jak to się dzieje często, fortuny magnatów obracają się przeważnie w ich rękach.

Idąc ku Zamkowi musieliśmy przedostać się przez dość ruchliwe przedmieście, gdzie tłoczyli się sprzedający i kupujący. A w chwili, gdy zbliżaliśmy się do małego pałacyku, panował tam zgiełk bardziej burzliwy niż normalny gwar przy zakupach i sprzedaży.

Kilka kobiet, opuściwszy swe stragany, otoczyło jakiegoś wieśniaka, który przed chwilą upadł na ziemię i z trudem się podnosił. Człowiek ów wydawał się bardzo rozżalowany.

— Mówię wam, że ktoś mnie uderzył.. popchnął i dlatego upadłem!

— Kto cię więc uderzył? — wtrąciła się jedna z kobiet. — Byłeś sam w tej chwili.. Widziałam cię dobrze z mojego kramu. Nie było nikogo...

— Ależ tak — upierał się mężczyzna. — Pchnięto mnie tu, w samą pierś... jeszcze to czuję, do diabła!

Kapitan Haralan, który wypytał wieśniaka, otrzymał następujące wyjaśnienie: szedł sobie spokojnie, gdy nagle poczuł gwałtowne uderzenie, jakby jakiś potężny mężczyzna go uderzył, uderzenie tak silne, że go wyrzuciło. Nie mógł powiedzieć, kto był bym agresorem, gdyż podnosząc się nie dostrzegł nikogo w pobliżu.

Jaką część prawdy zawierała ta opowieść? Czy wieśniak rzeczywiście został tak brutalnie i zienacka napadnięty? Popchnięcie nie powstaje z niczego, chyba że z wiatru. Jednakże

powietrze było całkowicie spokojne. Jedną rzeczą była pewna — nastąpił upadek, w rzeczy samej trudny do wyjaśnienia.

Stąd to zbiegowisko.

Ostatecznie mogło tak być, że człowiek ten doznał halucynacji lub wypił coś przedtem. Pijak również przewraca się bez powodu, choć zgodnie z prawem spadania.

Jest to niewątpliwie opinia ogólna, gdyż wieśniak wprawdzie nie przyznawał się do picia, lecz mimo jego protestów straż miejska poprosiła go, dość brutalnie zresztą, aby nie zakłócał porządku.

Incydent się zakończył, my zaś ruszyliśmy jedną z dróg pod górę, prowadzącą na wschód od miasta. Była to płatanina ulic i uliczek, prawdziwy labirynt, z którego obcy nie mógłby się wydostać.

W końcu dotarliśmy do Zamku, solidnie usadowionego na jednym z wierzchołków wzgórza Wolkang.

Była to prawdziwa twierdza, jedna z tych, co bronią miast węgierskich, akropol „Var” — gdyby użyć nazwy węgierskiej, cytadela z czasów średniowiecznych, groźna zarówno dla wrogów zewnętrznych — Hunów i Turków, jak i dla wasali pana feudalnego. Wysokie mury z blankami, otoczone machikulami, podziurawione otworami strzelniczymi, sflankowane potężnymi wieżami, z których jedna z najwyższej wznosząca się basztą dominowała nad całym okolicznym regionem.

Zwodzony most, przerzucony nad fosą, najeżoną dzikimi krzakami, doprowadził nas do wejścia między dwoma

moździerzami stanowiącymi już tylko dekorację. Powyżej wyzierały lufy armat.

Ranga kapitana otworzyła naturalnie bramę tej starej twierdzy, której znaczenie wojskowe nie jest już zbyt duże. Kilku żołnierzy, którzy jej strzegli, sprezentowało przed nim broń, do czego miał prawo. Po przejściu placu ćwiczeń zaproponował mi, by wspiąć się na basztę położoną w jednym z rogów dziedzińca.

Trzeba było wdrapać się na około dwieście stopni krętych schodów, by dostać się na górną platformę. Idąc dookoła wzdłuż poręczy obejmowałem spojrzeniem rozpościerający się horyzont dalej, niż to było możliwe z wieży willi Roderichów. Oceniałem, że jest widoczne co najmniej siedem mil Dunaju, którego nurt zbaczał ku wschodowi w kierunku na Neusatz.

— Teraz, drogi panie Vidal — powiedział kapitan Haralan — gdy poznał pan częściowo nasze miasto, ono rozpościera się całe u naszych stóp.

— Już to, co zobaczyłem, wydaje mi się bardzo interesujące nawet po Buda-Peszcie i Preszburgu.

— Jestem szczęśliwy, słysząc te słowa. Kiedy zakończy pan zwiedzanie Ragzu, gdy oswoi się pan z jego zwyczajami, obyczajami, osobliwościami, nie wątpię, że zachowa pan jak najlepsze wspomnienia. Jakże kochamy, my Węgrzy, nasze miasta i to miłością synowską! Tutaj zresztą stosunki między różnymi klasami układają się bardzo przyzwoicie. Klasa uprzywilejowana chętnie pomaga biedakom, których na szczęście ubywa co roku dzięki organizacjom dobroczynnym

szczęścię było to roku dzięki organizacji dobroczynnej.
Prawdę mówiąc, nie spotka pan tutaj wielu ubogich, każdy
przypadek nędzy jest zaraz zauważony i udziela się pomocy.

— Wiem o tym, drogi kapitanie, tak samo jak wiem, że
doktor Roderich nie oszczędza się, by przyjść z pomocą
biednym, wiem również, że madame Roderich i mademoiselle
Myra żywo uczestniczą w działalności dobroczynnej.

— Moja matka i siostra nie robią więcej, niż powinny.
Według mnie miłosierdzie jest najważniejszym obowiązkiem.

— Bez wątplenia — dodałem — lecz jest tyle sposobów
wypełniania go!

— To tajemnica kobiet, mój drogi Vidal, i jedna z ich ról
tutaj.

— Tak, najszlachetniejsza, niewątpliwie.

— Poza tym — podjął kapitan Haralan — żyjemy w mieście
spokojnym, którym nie wstrząsają już namiętności polityczne,
jednakże bardzo zazdrosnym o swe prawa i przywileje, których
broni przed zakusami władzy centralnej. Znajduję tylko jedną
wadę u mych współobywateli...

— To znaczy?...

— Są to pewne skłonności do zabobonów i zbyt dużo wiary
w rzeczy nadprzyrodzone. Legendy o upiorach i duchach, ich
wywoływanie i inne diabelskie sztuczki znajdują upodobanie
większe, niż należałoby.

— Nie dotyczy to na pewno doktora Rodericha —
powiedziałem — gdyż lekarz z natury rzeczy musi mieć trzeźwą
głowę, lecz pańska matka... i siostra?...

— Tak, i wszyscy inni. Tej ułomności, gdyż jest to właśnie ułomność, nie udaje mi się przeciwdziałać... Być może Marc mi w tym pomoże.

— Jeśli panna Myra — dodałem — nie odmieni go!

— A teraz, mój drogi Vidal, niech się pan wychyli poza balustradę... Skieruje swój wzrok na południowy wschód... tam.. na krańcu miasta, czy widzi pan taras belwederu?

— Tak — odpowiedziałem — i wydaje mi się, że musi to być wieża willi Roderichów.

— Nie myli się pan. A w tej willi jest jadalnia, w której za chwilę podadzą obiad. I jeśli chce pan być współbiedziadnikiem..

— Zgodnie z rozkazem, panie kapitanie!

— No więc schodziny, zostawmy Var w jego średniowiecznej samotności, co pozwoli panu zobaczyć północną część miasta.

Kilka minut później wyszliśmy przez bramę.

Za elegancką dzielnicą, dochodzącą aż do murów obronnych Ragzu, rozciągają się bulwary, które zmieniają nazwę po każdej głównej ulicy przecinającej je, opisując na długość ponad mili trzy czwarte koła zamkniętego Dunajem. Są one obsadzone poczwórnym rzędem rozrosniętych buków, kasztanowców i lip. Z jednej strony wznoszą się podpory muru obronnego, sponad którego można dostrzec okoliczne wsie, z drugiej — ciągną się luksusowe rezydencje, w większości poprzedzone dziedzińcem, gdzie grają barwami kwietne klomby. Tylne fasady wychodzą na bujne ogrody zraszane źródlaną wodą.

O tej porze na jezdni bulwarów można już było dostrzec eleganckie ekwipaże, a na bocznej alei grupy jeźdźców i amazonek w wytwornych strojach.

Przy ostatnim zakręcie zeszliśmy na lewo w kierunku bulwaru Tekeli, ku nabrzeżu Batthyani.

Kilka kroków dalej, pośrodku ogrodu, dostrzegłem samotny dom. Wygląd miał przygnębiający, jakby był opuszczony — okna zamknięte okiennicami, które zdawały się nigdy nie otwierać, fundamenty zaatakowane trądem mchów i gąszczem jeżyn. Kontrastował nieprzyjemnie z innymi willami na bulwarze. Przez kraty, obok których rosły osty, widać było mały dziedziniec z dwoma wiązami, pokrzywionymi przez starość, których pnie, pęknięte na długich odcinkach, ukazywały wewnętrzne próchno.

Po trzech zdemolowanych stopniach wchodziło się na podest, z frontowymi drzwiami wypłowiałymi od niepogody, północnych wiatrów i zimowych śniegów.

Ponad parterem wznosiło się pierwsze piętro z dachem, wspartym na grubych krokwiach, i kwadratowym belwederem, w którego wąskich oknach wisiały ciężkie zasłony.

Nie wydawało się, by dom był zamieszkały, zakładając, że w ogóle nadawał się do zamieszkania.

— Do kogo należy ten dom? — zapytałem.

— Do pewnego dziwaka — odpowiedział kapitan Haralan.

— Szpeci bulwar — zauważyłem. — Miasto powinno go wykupić i rozebrać.

— Tym bardziej, mój drogi Vidal, że odbył dom został

rozebrany, jego właściciel opuściłby pewnie miasto i poszedł sobie do diabła, swego najbliższego krewnego, jeśli wierzyć plotkarkom w Ragz!

— Ba!... Kimże więc jest ten niezwykły osobnik?

— Niemcem

— Niemcem?

— Tak, Prusakiem

— I nazywa się?...

W chwili, gdy kapitan Haralan miał odpowiedzieć na moje pytanie, drzwi domu otworzyły się. Wyszło dwóch mężczyzn. Starszy, który wydawał się mieć koło sześćdziesiątki, pozostał na tarasie, drugi przeszedł przez dziedziniec i wyszedł za bramę.

— Coś takiego! — wyszeptał kapitan Haralan. — On jest więc tutaj?... Myślałem, że wyjechał..

Osobnik odwracając się, dostrzegł nas. Czy znał kapitana Haralana? Nie wątpiłem w to, gdyż obaj wymienili spojrzenia pełne antypatii. Nie mogłem się pomylić.

Lecz ja również go rozpoznałem i gdy tylko oddalił się o kilka kroków, wykrzyknąłem:

— To przecież on!

— Czyżby spotkał pan już tego człowieka? — zapytał kapitan Haralan, nie bez zdziwienia.

— Bez wątpienia — odrzekłem — podróżowałem z nim „Dorotą” z Buda-Pesztu do Vukovar. Nie spodziewałem się, przyznam to, spotkać go w Ragz.

— I byłoby lepiej, gdyby się tak stało! — wykrzyknął

Haraian.

— Wydaje się, że nie utrzymuje pan przyjaznych stosunków z tym Niemcem?

— A kto mógłby z nim takie utrzymywać?... Poza tym ja mam specjalne powody, aby być z nim w złych stosunkach. Zwłaszcza gdy panu powiem, że miał on czelność prosić o rękę mojej siostry. Lecz ojciec i ja odprawiliśmy go w taki sposób, aby odeszła mu chęć ponawiania próby...

— Co?! To jest ten człowiek!...

— Zna go więc pan?...

— Tak, drogi kapitanie, jestem pewien, że przed chwilą widziałem Wilhelma Storitza, syna Ottona Storitza, słynnego chemika ze Spremberga.

VI

Minęły dwa dni, w czasie których cały wolny czas spędziłem na bieganiu po mieście. Dłuższe przystanki robiłem również na moście łączącym dwa brzegi: Dunaju i wyspy Svendor, podziwiając tę wspaniałą rzekę.

Przyznam, że wbrew woli nazwisko Wilhelma Storitza często pojawiało się w mych myślach. A więc to w Ragz zamieszkuje na stałe, i to, czego dowiedziałem się wkrótce, z jedynym służącym nazwiskiem Hermann, ani bardziej sympatycznym, ani bardziej przystępnym czy komunikatywnym niż jego pan. Wydawało mi się również, że Hermann swą figurą i sposobem

poruszania się przypomina człowieka, który w dniu mego przybycia chyba śledził mnie i mego brata, gdy spacerowaliśmy po nabrzeżu Batthyani.

Sądziłem, iż nie powinienem mówić Markowi, kogo spotkaliśmy z kapitanem Haralanem na bulwarze Tékéli. Pewnie zaniepokoiłoby go to, gdyby się dowiedział, że Wilhelm Storitx wrócił do Ragzu. Po co zakłócać jego szczęście cieniem niepokoju? Żałowałem jednakże, że ten odpalony rywal nie wrócił do miasta dopiero wtedy, gdy ślub Marka i Myry byłby już faktem dokonany.

Rankiem 16 maja miałem właśnie wyjść na swój zwykły spacer, który tego dnia chciałem przedłużyć aż do wsi w okolicach Ragzu, gdy do pokoju wszedł mój brat.

— Mam tyle spraw do załatwienia, mój przyjacielu — powiedział — a ty pewno masz mi za złe, że cię zostawiłam samego.

— Ależ idź, drogi Marku — odpowiedziałem mu — nie przejmuj się mną.

— Czy Haralan nie powinien przyjść po ciebie?

— Nie, jest zajęty. Ale to nie szkodzi, zjem obiad sam w jakiejś gospodzie na drugim brzegu Dunaju.

— Ale najważniejsze, drogi Henryku, abyś wrócił o siódmej.

— Stół doktora jest za dobry, aby można było o tym zapomnieć.

— Łakomczuch!... Mam nadzieję, że nie zapomnisz tym bardziej o przyjęciu, które odbędzie się pojutrze w rezydencji Roderichów. Redziesz miał okazję obejrzeć wyższe sfery z

Ragzu.

— Czy to przyjęcie zaręczynowe, Marku?

— Możesz tak je nazwać, lecz będzie to raczej z powodu kontraktu. Myra i ja jesteśmy zaręczeni od tak dawna... Wydaje mi się nawet, że byliśmy takimi zawsze.

— Tak, od urodzenia.

— Chyba tak!

— Bądź zdrow więc, o najszczęśliwszy z ludzi!

— Zbyt się śpieszysz. Powiesz mi to wtedy, gdy narzeczona zostanie moją żoną!

Marc uściśnął mi rękę i oddalił się, a ja też już miałem wyjść, gdy ukazał się kapitan Haralan. Byłem tym nieco zdziwiony, ponieważ zostało wcześniej uzgodnione, że dzisiaj się nie spotykamy.

— Pan? — zawołałem ucieszony. — To świetnie, drogi kapitanie, co za przyjemna niespodzianka!

Może się myliłem, lecz wydawało mi się, że kapitan Haralan był zatroskany. Powiedział jedynie:

— Mój drogi Vidal, ojciec pragnie mówić z panem. Oczekuje pana w willi.

— Jestem do pańskiej dyspozycji — odrzekłem bardzo zaskoczony, jak również zaniepokojony, nie wiedząc sam dlaczego.

Gdy przemierzaliśmy obok siebie nabrzeże Batthyani, kapitan Haralan nie wyrzekł ani słowa. Cóż się stało i jaką wiadomość może mi przekazać doktor Roderich? Czyżby

dotyczyło to ślubu Marka?!

Kiedy przybyliśmy na miejsce, służący poprowadził nas do gabinetu doktora.

Panie Roderich opuściły już willę i prawdopodobnie Marc miał do nich dołączyć w czasie ich porannego spaceru.

Doktor był sam w gabinecie i siedział przy stole. Gdy się odwrócił, wydał mi się równie zatroskany jak jego syn.

„Cóż się wydarzyło — pomyślałem — i na pewno Marc nic o tym nie wiedział, gdyż widzieliśmy się przecież tego ranka”.

Zająłem miejsce w fotelu naprzeciw doktora. Kapitan Haralan stał oparty o kominek. Czekałem, nie bez niepokoju, na słowa doktora.

— Przede wszystkim, panie Vidal — rozpoczął — dziękuję, że przyszedł pan do naszego domu.

— Jestem całkowicie do pańskiej dyspozycji, monsieur Roderich — odrzekłem.

— Chciałbym pomówić z panem w obecności Haralana.

— Czy to dotyczy ślubu Marka i panny Myry?

— W rzeczy samej.

— Czy to, co chce mi pan powiedzieć, jest aż tak poważne?

— I tak, i nie — odparł doktor. — Cokolwiek by to było, ani moja żona, ani córka, ani pański brat nic nie wiedzą. Woląłem nie wtajemniczać ich w to, co chcę panu powiedzieć. Zresztą będzie pan mógł ocenić, czy miałem rację.

Mimowolnie, wróciłem myślą do spotkania przed domem na bulwarze Tékéli.

— Wczoraj po południu — podjął doktor — gdy pani

Roderich i Myra wyszły z domu, w godzinach mych przyjęć służący zaanonsował pacjenta, którego wołałbym nie przyjmować. Tym gościem był Wilhelm Storitz... Lecz pewnie nie wie pan, że ten Niemiec?...

— Znam sprawę — wtrąciłem.

— Wie pan zatem, że jakieś sześć miesięcy temu, dużo wcześniej, nim oświadczyły pańskiego brata zostały przyjęte, Wilhelm Storitz zabiegał o rękę mej córki. Po naradzie z żoną i synem, którzy podzielili moją niechęć do takiego małżeństwa, odpowiedziałem Wilhelmowi Storitzowi, że jego propozycja nie może być przyjęta. Zamiast pogodzić się z odmową, ponawiał swą prośbę w kategoriycznym tonie, a ja odmawiałem mu nie mniej kategoriycznie, w sposób nie pozostawiający żadnej nadziei.

Podczas gdy doktor Roderich mówił to, kapitan Haralan przemierzał pokój w tę i z powrotem, zatrzymując się czasami przy jednym z okien, by rzucić okiem w kierunku bulwaru Tékéli.

— Monsieur Roderich — zabrałem głos — jest mi wiadome o tej prośbie, i wiem również, że została ona złożona przed oświadczeniami mego brata.

— Około trzech miesięcy wcześniej, panie Vidal.

— W takim razie — podjąłem — to nie dlatego Wilhelmowi Storitzowi odmówiono ręki panny Myry, że Marc był już przyjęty, lecz dlatego jedynie, iż to małżeństwo nie było po waszej myśli.

— Bez watnienia. Nigdy nie zgodzilibyśmy się na ten

związek, który nie mógł nam odpowiadać pod żadnym względem i któremu Myra sprzeciwiła się kategorycznie.

— Czy to sama osoba, czy pozycja Wilhelma Storitza podyktowała panu taką decyzję?

— Jego pozycja finansowa jest prawdopodobnie dość dobra — odpowiedział doktor Roderich. — Sądzi się powszechnie, że ojciec zostawił mu znaczną fortunę pochodzącą z owocnych odkryć naukowych. Natomiast jeśli chodzi o osobę...

— Znam go, monsieur Roderich.

— Pan go zna?

Opowiedziałem, w jakich okolicznościach spotkałem Wilhelma Storitza na „Dorocie”, nie mając już teraz wątpliwości, o kogo chodziło. Ponad cztery dni Niemiec ten był moim towarzyszem podróży między Buda-Pesztem i Vukovorem, gdzie sądziłem, że zszedł na ląd, ponieważ nie pokazał się więcej na pokładzie aż do mego przyjazdu do Raguzi.

— A poza tym — dodałem — w czasie jednego ze spacerów razem z kapitanem Haralanem przechodziliśmy obok jego domu i ponownie spotkałem Wilhelma Storitza, gdy stamtąd wychodził.

— Mówiono jednakże, że opuścił był miasto przed kilku tygodniami — powiedział doktor Roderich.

— Tak sądzono, i na pewno był nieobecny w mieście, gdyż Vidal widział go w Buda-Peszcie — wtrącił kapitan Haralan — lecz jest również pewne, że powrócił tutaj.

Wobec kapitana odwrócił się czerwony iściec. Doktor

w głosie kapitana odczuwano się ogromną irytację. Doktor ciągnął dalej tymi słowy:

— Opowiedziałem panu o sytuacji Wilhelma Storitza. Natomiast jeśli chodzi o jego sposób życia, któż mógłby się pochwalić, że go zna? Jest całkowicie zagadkowy. Wydaje się, że człowiek ten żyje poza społeczeństwem.

— Czy nie ma w tym trochę przesady? — przerwałem doktorowi Roderichowi.

— Trochę przesady jest bez wątpienia — odparł. — Jednakże pochodzi on z rodziny nieco podejrzaney, a o jego ojcu, Ottonie Storitzu, krążyły osobliwe opowieści.

— Które go przeżyły, doktorze, jeśli mogę tak sądzić według tego, co czytałem w jednej z gazet w Buda-Peszcze. Było to z okazji rocznicy jego śmierci, która jest obchodzona każdego roku w Sprembergu, na miejskim cmentarzu. Jeśli wierzyć tej gazecie, czas nie osłabił przesądnych wierzeń, o których pan wspomniał. Martwy uczony odziedziczył wszystko po uczonym żywym. Mówi się, że był czarownikiem znającym tajemnice tamtego świata i posiadającym moc nadprzyrodzoną. Każdego roku gawiedź oczekuje, że nad jego grobem wydarzy się coś nadzwyczajnego.

— A więc, panie Vidal — dokończył doktor Roderich — nie zdziwi się pan po tym, co opowiada się w Sprembergu, że tutaj w Ragz Wilhelm Storitz jest uznawany za dziwną osobę... Taki jest człowiek, który prosił o rękę mej córki i który wczoraj miał czelność ponowić swą prośbę.

— Wczoraj? — wykrzyknąłem.

— Wczoraj podczas tej wizyty.

— I jakby tego było jeszcze mało — powiedział kapitan Haralan — on jest przecież Prusakiem, co wystarczyłoby nam, aby odrzucić podobny alians.

Cała antypatia, jaką zgodnie z tradycją i instynktem rasa madziarska czuje do rasy germańskiej, wybuchła w tych słowach.

— A oto jak się miały rzeczy — podjął doktor Roderich. — Będzie lepiej, jeśli pan je pozna. Gdy zaanonsowano mi Wilhelma Storitza, zawahałem się... Czy należało pozwolić mu zjawić się przede mną, czy odpowiedzieć, że nie mogę go przyjąć?

— Pewnie to byłoby lepsze, mój ojciec — wtrącił kapitan — gdyż po niepowodzeniu swych pierwszych zabiegów, człowiek ten zrozumiałby być może, że nie wolno mu tutaj przychodzić pod żadnym pretekstem.

— Być może — powiedział doktor — lecz obawiałem się doprowadzić go do ostateczności, żeby nie wywołał jakiegoś skandalu...

— Któremu szybko położyłbym kres, mój ojciec!

— To dlatego, że ciebie znam — powiedział doktor biorąc rękę Haralana — dlatego wołałem postępować ostrożniej... W związku z tym, cokolwiek by się wydarzyło, apeluję do twych uczuć, jakie żywisz wobec matki i siostry, której sytuacja byłaby kłopotliwa, gdyby wiązano jej nazwisko ze skandalem, jeśli ewentualnie wywołałby Wilhelm Storitza.

Mimo że znałem kapitana Haralana od niedawna, zdążyłem

zorientować się, że temperament ma bardzo żywy i jest ogromnie czuły, aż do przesady, na wszystko, co dotyczy jego rodziny. Uznałem także za fatalną okoliczność, że rywal Marka wrócił do Ragzu, a przede wszystkim to, że ponowił swą prośbę.

Doktor dokończył opowiadanie o szczegółach tej wizyty. Odbyła się ona w tym samym gabinecie, gdzie znajdowaliśmy się obecnie. Wilhelm Storitz na początku przybrał ton niezwykle stanowczy. Pan Roderich nie może, według niego, dziwić się, że chciał go ponownie widzieć, że ponawia już drugi raz prośbę. Z Ragzu musi wyjechać za czterdzieści osiem godzin. Doktor nadaremnie próbował być bardzo kategoryczny odmawiając mu. Wilhelm Storitz nie chciał uznać porażki i wpadając w coraz większy gniew, ostatecznie oświadczył, iż z powodu zaręczyn mego brata i Myry nie zrezygnuje ze swych roszczeń, że kocha tę dziewczynę, i jeśli ona nie będzie jego, nie będzie też niczyją.

— Zuchwalec... Nędznik! — powtarzał kapitan Haralan. — Ośmielił się mówić w ten sposób, a mnie tam nie było, żeby go wyrzucić!

Gdyby ci dwaj ludzie — pomyślałem sobie — znaleźli się naprzeciw siebie, byłoby na pewno niemożliwe zapobieżenie skandalowi, którego tak chciał uniknąć doktor.

— Po tych słowach — kontynuował tenże — podniosłem się i oznajmiłem, że nie chcę tego więcej słuchać. Ślub Myry został ustalony i odbędzie się za kilka dni. Ani za kilka dni, ani później, odpowiedział Wilhelm Storitz. Mój panie, powiedziałem wskazując mu drzwi, zachęcił nas wyjść! Ktoś inny zrozumiałby

wskazując mi drzwi, zechciej pan wyjść: ktoś inny zrozumiałby, że wizyta skończona. Ale gdzież tam! Pozostał, spuścił z tonu, próbował osiągnąć łagodnością to, czego nie mógł złością, jednakże nadal groził niedopuszczeniem do ślubu. Wtedy podszedłem do kominka, by zadzwonić na służącego. Chwycił mnie za ramiona, ponownie uniósł się gniewem, jego głos był tak donośny, że musiał być słyszany na zewnątrz. Na szczęście żona i córka nie wróciły jeszcze do domu. Wilhelm Storitz zdecydował się w końcu wyjść, jednakże nie bez obłąkańczych gróźb. Myra nie poślubi Marka. On stworzy takie przeszkody, że ślub będzie niemożliwy. Storitzowie posiadają sposoby, którymi mogą przeciwstawić się mocy ludzkiej, i nie zawaha się użyć ich przeciwko nierozsądnej rodzinie, która go do tego zmusi... Otworzył potem drzwi i przebiegł wściekły między kilkoma osobami oczekującymi na tarasie, zostawiając mnie przerażonego tymi zagadkowymi pogroźkami.

Żadne słowo z całej tej sceny, jaką zrelacjonował nam doktor, nie dotarło ani do pani Roderich, ani do jej córki i mojego brata. Dobrze się stało, że oszczędzono im niepokoju. Poza tym wystarczająco znam Marka, aby obawiać się, że nie pozostawiłby tej sprawy bez konsekwencji, podobnie jak kapitan Haralan. Ten ostatni jednak przyznał rację ojcu.

— No dobrze — powiedział — nie pójdę ukarać tego zuchwalca. A jeśli on przyjdzie do mnie?... Lub zaczepi Marka?... Jeśli to on nas sprowokuje?...

Doktor Roderich nie wiedział, co odpowiedzieć.

Rozmowa nasza dobiegała końca. Nie pozostawało nam nic

innego, jak czekać. Zdarzenie może nie mieć żadnych następstw i nikt się o tym nie dowie, jeśli Wilhelm Storitz nie przejdzie od słów do czynów. A w ogóle co on może uczynić? Jakim sposobem mógłby przeszkodzić w ślubie? Czy mógłby zmusić Marka publiczną zniewagą do pojedynku?... Czyż nie byłoby łatwiej dokonać jakiegoś zamachu na Myrę Roderich?... Lecz jak może się dostać do willi, jeśli nie zostanie wpuszczony?... Nie będzie w stanie, jak przypuszczam, przeniknąć przez zamknięte drzwi! Z drugiej strony, doktor Roderich nie zawaha się, gdy zajdzie potrzeba, zawiadomić władze, które już będą wiedziały, jak przywołać tego Niemca do porządku.

Przed rozstaniem się z nami doktor nakazał po raz ostatni synowi, aby ten nie przedsięwbrał niczego przeciwko temu pyszałkowatemu Prusakowi, co, powtarzam, kapitanowi Haralanowi nie przychodziło łatwo.

Nasza rozmowa przeciągnęła się i pani Roderich, jej córka i mój brat zdążyli wrócić do willi. Musiałem więc zostać na obiedzie i przełożyć wycieczkę w okolice Ragzu na popołudnie.

Nie trzeba dodawać, że wymyśliłem wiarygodny powód mogący uzasadnić moją obecność tego ranka w gabinecie doktora. Marc nie miał żadnych podejrzeń i obiad przeszedł w bardzo miłej atmosferze.

Gdy wstaliśmy od stołu, panna Myra powiedziała do mnie:

— Panie Henryku, ponieważ mieliśmy przyjemność spotkać tu pana, musi pozostać pan z nami do końca dnia.

— A mój spacer? — wyraziłem obiekcje.

— Odbędziemy go razem.

— Tylko że ja chciałem pójść nieco dalej...

— Pójdziemy nieco dalej.

— Pieszko.

— Pieszko... Lecz czy koniecznie trzeba iść tak daleko? Jestem pewna, że nie podziwiał pan jeszcze całej piękności wyspy Svendor.

— Chciałem to zrobić jutro.

— No więc to będzie dzisiaj.

Tak więc w towarzystwie obu dam i Marka zwiedziłem wyspę Svendor, przekształconą w ogród publiczny, rodzaj parku — z zagajnikami, altankami i różnorodnymi rozrywkami.

Jednakże moje myśli nie były całkowicie poświęcone temu spacerowi. Marc to dostrzegł i musiałem dać mu kilka wymijających odpowiedzi.

Czyżbym obawiał się spotkania na naszej drodze z Wilhelmem Storitzem?... Nie, rozmyślałem raczej o tym, co powiedział on doktorowi Roderichowi: Stworzy takie przeszkody, że ślub będzie niemożliwy... Storitzowie posiadają sposoby, którymi mogą przeciwstawić się mocy ludzkiej! Co znaczą te słowa?... Czy należało brać je serio?... Postanowiłem wyjaśnić to bliżej z doktorem, gdy będziemy sami.

Upłynęły jeszcze dwa dni. Zaczynałem się uspokajać. Wilhelm Storitz nie pokazał się ponownie, jednakże nie opuścił też miasta. Dom na bulwarze Tékéli był ciągle zamieszkały. Przechodząc tamtędy, widziałem służącego Hermanna, gdy wychodził z domu. Pewnego razu także Wilhelm Storitz pokazał się w jednym z okien helwederu, ze spojrzeniem skierowanym

się w jednym z okien cmentarza, ze spojrzeniem skierowanym ku końcowi bulwaru, w stronę willi Roderichów.

Tak się miały sprawy, gdy w nocy z 17 na 18 maja zdarzyło się co następuje:

Mimo że drzwi do katedry były zamknięte na zasuwę i nikt tam nocą nie mógł wejść niepostrzeżenie, zapowiedź ślubu Marka Vidala i Myry Roderich została zerwana z tablicy ogłoszeń. Rano znaleziono porwane i pomięte strzępy. Wywieszono nowe zawiadomienie. Godzinę później, tym razem w biały dzień, spotkał je ten sam los co poprzednie. I tak było z następnymi trzema w ciągu tegoż dnia 18 maja. Nie udało się schwytać za rękę winnego. Nie mając siły walczyć dłużej z cieniem, musiano tablicę przeznaczoną na ogłoszenia osłonić mocną kratą.

Ten niedorzeczny zamach był przez jakiś czas powodem do wielu domysłów, lecz wkrótce o tym zapomniano. Jednakże doktor Roderich, kapitan Haralan i ja wzięliśmy to znacznie poważniej. Nie wątpiliśmy ani przez chwilę, że był to pierwszy akt zapowiedzianych działań wojennych, rodzaj potyczki przedniej straży w wojnie wydanej nam przez Wilhelma Storitzta.

VII

Któż mógłby być autorem tego karygodnego postępku, jeśli nie ten, kto miał w tym interes? Czy za tym pierwszym krokiem pójdą następne, znacznie poważniejsze? Czy nie jest to dopiero

początek, jak sądziliśmy, represji przeciwko rodzinie Roderichów?

Doktor został poinformowany w godzinę po zdarzeniu — przez swego syna, który przybył zaraz potem do hotelu-Temesvar.

Można sobie łatwo wyobrazić, w jakim stanie wzburzenia był kapitan Haralan.

— To ten łajdak zrobił! — krzyknął. — Jak mu się to udało, tego nie wiem. Bez wątpienia, na tym nie poprzestanie, lecz ja mu nie pozwolę na dalsze ekscesy!

— Niech pan zachowa zimną krew, drogi Haralanie! — powiedziałem — i nie popełni żadnej nieostrożności, która mogłaby skomplikować sytuację.

— Mój drogi Vidal, gdyby ojciec zawiadomił mnie, zanim ten człowiek opuścił willę, lub potem pozwolił mi działać, byłibyśmy już uwolnieni od niego.

— Ja nadal myślę, drogi Haralanie, że będzie lepiej, jeśli nie będzie pan zwracał na siebie uwagi.

— A jeśli on nie poprzestanie?

— Wtedy trzeba będzie wezwać na pomoc policję. Niech pan pomyśli o matce i siostrze.

— A czy nie dowiedzą się one o tym, co zaszło?

— Nie powiemy im o tym, tak samo jak Markowi. Po ślubie zobaczymy, jaką postawę należy przyjąć.

— Po?... — zapytał kapitan Haralan — a jeśli będzie za późno.

Tego dnia w rezydencji, mimo ukrytych trosk pana

Rodericha, jego żona i córka zajmowały się wyłącznie przyjęciem z okazji podpisania kontraktu przedmałżeńskiego, które miało się odbyć tegoż wieczoru. Chciały, aby wszystko było przygotowane jak najlepiej, mówiąc po francusku: „faire bien les choses”. Doktor, który w społeczności Ragzu miał samych przyjaciół, wysłał zaproszenia w znacznej ilości. Tutaj, na neutralnym terenie, arystokracja madziarska spotykała się z armią, magistraturą i urzędnikami. Gubernator Ragzu przyjął był również zaproszenie doktora, z którym łączyła go od dawna bliska przyjaźń.

Salony rezydencji mogą pomieścić swobodnie te sto pięćdziesiąt osób, które zbiorą się tego wieczoru. Natomiast kolacja będzie podana w galerii, pod koniec przyjęcia.

Nikt nie powinien się zdziwić, że Myra Roderich zajmowała się swą toaletą ze stosowną uwagą i że Marc chciał tu wykazać swój smak artysty, co już udowodnił przy okazji portretowania narzeczonej. Myra była Madziarką, a każdy Madziar, bez względu na płeć, wykazuje wielką staranność w ubiorze. Ma to we krwi, tak samo jak umiłowanie tańca, które czasami przeradza się w pasję. To, co mówiłem o Myrze, stosuje się do wszystkich dam i wszystkich mężczyzn. Dzisiejsze przyjęcie zapowiadało się wspaniale.

W godzinach popołudniowych przygotowania zostały zakończone. Przebywałem przez cały dzień u doktora, oczekując na porę, gdy mógłbym zająć się swoją toaletą — jak prawdziwy Madziar.

W pewnej chwili, gdy stałem przy oknie wychodzącym na

w pewnej chwili, gdy staliśmy przy oknie wychodzącym na nabrzeże Batthyani, z ogromną przykrością dostrzegłem Wilhelma Storitza. Czy tylko przypadek go tu sprowadził? Bez wątpienia nie. Posuwał się nabrzeżem wzdłuż rzeki, ze spuszczoną głową, powoli. Lecz gdy znalazł się na wysokości willi, wyprostował się i jakież spojrzenie rzucił w naszą stronę! Przechodził tak kilkakrotnie; również madame Roderich go dostrzegła. Wskazała go także doktorowi, który ograniczył się do uspokojenia jej, nic nie mówiąc o niedawnej wizycie tej zagadkowej postaci.

Muszę dodać, że gdy Marc i ja wyszliśmy, aby udać się do hotelu Temesvar, człowiek ten spotkał nas na placu Madziarskim. Gdy dostrzegł mego brata, zatrzymał się gwałtownie i zawahał, jakby chcąc podejść do nas. Pozostał jednak nieruchomy, z błądoscia na twarzy, rękoma sztywnymi jak u kataleptyka... Czyżby miał za chwilę zemdleć? A jakież błyskawice rzucały jego oczy na Marka, który zdawał się wcale na niego nie zwracać uwagi! Gdy oddaliliśmy się o kilka kroków, brat mnie zapytał:

— Zauważyłeś tego typa?

— Tak, Marku.

— To jest ten Wilhelm Storitz, o którym ci mówiłem.

— Wiem o tym.

— A więc go znasz?

— Kapitan Haralan pokazał mi go raz lub dwa razy.

— Sądziłem, że opuścił Ragz — powiedział Marc.

— Wydaje się, że nie. Może już wrócił...

— To nie ma znaczenia, mimo wszystko!

— Tak, nie ma znaczenia — odrzekłem, lecz według mnie, nieobecność Wilhelma Storitza byłaby bardziej pocieszająca.

Okolo godziny dziewiątej wieczór pierwsze pojazdy zaczęły zajeżdżać przed rezydencję Roderichów, a salony zaczęły się zapełniać. Doktor, jego żona i córka przyjmowały gości u wejścia do galerii jaśniejącej w blasku świeczników. Wkrótce zaanonsowano Gubernatora Ragzu. Było to oznaką wielkiej sympatii, że Jego Ekscelencja złożył wizytę rodzinie. Mademoiselle Myra była szczególnym obiektem jego względów, jak również mój brat. Zresztą, życzenia kierowano ku narzeczonym ze wszystkich stron.

Między dziewiątą a dziesiątą napłynęli notable miasta, oficerowie — towarzysze kapitana Haralana, który, mimo że jego twarz wydawała mi się jeszcze zatroskana, wykazywał dużo dobrej woli witając gości. Toalety dam błyszczały pośród mundurów i ceremonialnych strojów. Cały ten świat spacerował w salonach i galerii. Podziwiano prezenty wystawione w gabinecie doktora, biżuterię i cenne bibeloty, a wśród nich te, które pochodziły od mego brata, odznaczające się wykwinnym smakiem. Na jednej z konsol w dużym salonie wystawiono kontrakt, który miał być podpisany w czasie tego przyjęcia. Na drugiej umieszczono wspaniały bukiet róż i kwiatów pomarańczy, bukiet zaręczynowy, i według obyczaju madziarskiego obok bukietu na welurowej poduszce spoczywała ślubna korona, którą włoży Myra podczas ceremonii zaślubin w katedrze.

Przyjęcie składało się z trzech części — koncertu i balu przedzielonych uroczystym podpisaniem kontraktu. Tańce zaczęły się dopiero po północy, i pewno większość gości żałowała, że będzie to tak późno, gdyż, co powtarzam, to nie serenadom Węgrzy i Węgierki oddają się z taką przyjemnością i pasją.

Część muzyczną powierzono znakomitej orkiestrze cygańskiej. Orkiestry tej, o wielkiej renomie w madziarskim kraju, nie słyszano jeszcze w Ragz. O umówionej godzinie muzycy i ich szef zajęli miejsca w sali.

Nie zaprzeczam, Węgrzy są entuzjastami muzyki. Lecz według słusznej opinii, między nimi a Niemcami istnieje bardzo znaczna różnica w sposobie odbioru jej uroku. Madziar jest melomanem, a nie wykonawcą. Nie śpiewa lub bardzo mało, raczej słucha, a jeśli chodzi o melodie narodowe, słuchanie ich jest dla niego sprawą bardzo poważną i zarazem wielką rozkoszą.

Orkiestra składała się z dwunastu wykonawców pod dyktando szefa. Będą grali swe najpiękniejsze utwory, melodie węgierskie, które są pieśniami bojowymi, marszami wojskowymi, gdyż Madziarzy, ludzie czynu, przekładają je nad marzenia w muzyce niemieckiej.

Być może jest to dziwne, że na przyjęcie kontraktowe nie wybrano muzyki bardziej weselnej, bardziej stosownej do tego rodzaju ceremonii. Lecz nie byłoby to zgodne z tradycją, a Węgry są krajem tradycji: Są wierne swym ludowym melodiom, iak Serbia swym nesmom a Wołoszczuzna doinom

jak serca swym posłaniem wokołszyżną domem.

Węgiem potrzebne są te porywające pieśni, rytmiczne marsze przywołujące wspomnienia z pól bitewnych i sławiące niezapomniane czyny wojenne z historii.

Muzycy ubrani byli w swoje cygańskie stroje. Nie mogłem się powstrzymać od obserwacji tych tak ciekawych typów, ich ogorzałych twarzy, oczu błyszczących pod gęstymi brwiami, wystających kości policzkowych, białych i ostrych zębów, czarnych, kędzierzawych loków, pod którymi ukrywały się czoła.

Repertuar orkiestry spotkał się z doskonałym przyjęciem. Całe audytorium wysłuchało go nabożnie, a potem oklaski wypełniły sale. Podobnie przyjęte były utwory czysto ludowe, które Cyganie wykonali z mistrzostwem zdolnym przywołać odległe echa puszy.

Czas przeznaczony na ten koncert upłynął. Jeśli chodzi o mnie, to doznałem ogromnej radości w tym madziarskim otoczeniu, a kiedy orkiestra grała ciszej, docierał do mnie z oddali szum Dunaju.

Nie mógłbym twierdzić, że Marc również zachwycił się wdziękiem tej obcej muzyki. Raczej był pogrążony w innej, o wiele słodszej, bardziej osobistej, która upajała mu duszę. Siedział obok Myry Roderich i porozumiewali się spojrzeniami, śpiewali do siebie te pieśni bez słów, wprawiające w ekstazę serca narzeczonych.

Po ostatnich oklaskach szef Cyganów podniósł się, a za nim jego współtowarzysze. Z kolei doktor Roderich i kapitan

Haralan podziękowali im w pochlebnych słowach, na co muzycy wydawali się być bardzo wrażliwi. Następnie opuścili salę.

Przystąpiono bezzwłocznie do podpisania kontraktu, co też odbyło się z całą należną ceremonią, a potem nastąpił, jak mógłbym to nazwać, antrakt, w czasie którego goście zmieniali swe miejsca, odnajdywali się znajomi, tworzyli zaprzyjaźnione grupy, niektórzy rozproszyli się w rześcisie oświetlonym ogrodzie, a między nimi krążyły tace z orzeźwiającymi napojami.

Aż do tej chwili nic nie zakłóciło porządku tego święta i ten dobry początek nie wróżył złego końca. Dalibóg, gdybym mógł się czegoś lękać, gdyby jakieś obawy zrodziły się w moim umyśle, przedsięwziąłbym odpowiednie kroki dla zapobieżenia temu. Tymczasem nie szczędziłem gratulacji pani Roderich.

— Dziękuję panu, monsieur Vidal — odpowiedziała mi. — Jestem bardzo kontenta, że moi goście spędzają tu miłe chwile. Ale pośród tych rozradowanych ludzi widzę jedynie moją drogą córkę i pańskiego brata. Oni są tak szczęśliwi!...

— Madame — odrzekłem — to całe szczęście jest należne pani. Przecież największym, o jakim mogą marzyć ojciec i matka, jest szczęście ich dzieci.

To dość banalne zdanie w dziwny sposób skojarzyło mi się z Wilhelmem Storitzem. Kapitan Haralan zdawał się nie myśleć już o nim. Ale czy ten brak zainteresowania był naturalny, czy udawany? Tego nie wiem. Kapitan przechodził od jednej grupy do drugiej, ożywiał to święto swą zaraźliwą wesołością, i niewątpliwie niejedna młoda Węgierka spoglądała nań z podziwem. Zresztą cieszył się sympatią całego miasta, i można

by rzec, że stara się, aby podobne uczucia towarzyszyły całej jego rodzinie.

— Drogi kapitanie — zwróciłem się do niego, gdy przechodził obok mnie — jeśli zakończenie przyjęcia będzie nie gorsze od jego początku...

— Niech pan w to nie wątpi! — odkrzyknął. — Muzyka jest dobra, lecz taniec jeszcze lepszy!

— Do licha! — podjąłem. — Francuz nie ustąpi Madziarowi. Czy pan wie, że pańska siostra przyrzekła mi drugiego walca?

— Dlaczego nie pierwszego?

— Pierwszego?... Przecież on należy do Marka zgodnie z prawem i tradycją!... Czyżby zapomniał pan o Marku i chce pan, abym miał z nim do czynienia?

— To prawda, mój drogi Vidal. Do narzeczonych należy rozpoczęcie balu!

Powróciła orkiestra cygańska i zajęła miejsce w końcu galerii. Stoły zostały przesunięte do gabinetu doktora, tak aby goście, za poważni na takie rozrywki, którzy nie pozwalają sobie na walca czy mazurka, mogli się oddać przyjemnościom gier towarzyskich.

Gdy orkiestra była już gotowa zaczynać i czekała jeszcze, by kapitan Haralan dał jej sygnał, nagle od tej strony galerii, której drzwi wychodziły na ogród, dał się słyszeć głos, oddalony jeszcze, ale donośny i szorstki. Był to niesamowity śpiew, w dziwnym rytmie, któremu brakowało brzmienia, a frazy nie łączyły się w żadną melodie.

Pary ustawione do pierwszego walca zatrzymały się... Nadsluchiwano... Czy nie była to czasami dodatkowa niespodzianka tego przyjęcia?

Kapitan Haralan zbliżył się do mnie.

— Co to może być? — zapytałem.

— Nie wiem — odpowiedział tonem, w którym przebiegał pewien niepokój.

— Skąd dochodzi ten śpiew?... Z ulicy?...

— Nie, chyba nie.

Rzeczywiście, głos, który do nas docierał, mógł pochodzić tylko z ogrodu. Zbliżył się ku galerii. Być może już się tu dostał.

Kapitan Haralan schwycił mnie za ramię i poprowadził do drzwi na ogród.

W galerii nie było więcej niż kilkanaście osób, nie licząc orkiestry w głębi przy pulpitych. Pozostali goście zebrali się w salonach i w dużej sali. Ci, którzy spacerowali na zewnątrz w antrakcie, już powrócili.

Kapitan Haralan przeszedł na podest. Udałem się za nim. Mogliśmy dokładnie przegłądać oświetlony w całej rozciągłości ogród...

Nie odkryliśmy nikogo.

Państwo Roderich wkrótce do nas dołączyli. Doktor zapytał o coś syna, na co ten pokręcił głową.

Tymczasem głos był nadal słyszany, coraz bardziej wyraźny, coraz bardziej władczy, ciągle się przybliżający.

Marc z Myrą w ramionach stał obok nas w galerii, a pani Roderich...

Roderich otoczona była pozostałymi damami, które ją wypytywały i którym nie mogła dać odpowiedzi.

— Zaraz się dowiemy!... — wykrzyknął kapitan Haralan schodząc z podestu.

Doktor Roderich, kilku służących i ja pobiegliśmy za nim.

Nagle, gdy wydawało się, że śpiewak nie mógł być dalej od galerii jak o kilka kroków, głos ucichł.

Ogród został przeszukany, kępy krzaków przetrząśnięte. Oświetlenie nie pozostawiło żadnego kąta w cieniu, poszukiwania były bardzo dokładne... Mimo to nie znaleziono nikogo...

Czyżby ten głos należał do jakiegoś spóźnionego przechodnia na bulwarze Tékéli?

Wydawało się to mało prawdopodobne i poza tym można było stwierdzić, że bulwar był całkowicie pusty o tej godzinie.

Jedno tylko światło błyszczało jakieś pięćset kroków na lewo, światło ledwie widoczne, wydostające się z belwederu domu Storitza.

Gdy wróciliśmy do galerii, nie mieliśmy nic do powiedzenia zaciekawionym gościom, mogliśmy tylko dać znak do walca.

Uczynił to kapitan Haralan i grupy taneczne sformowały się na nowo.

— A pan nie znalazł sobie partnerki do walca? — zapytała mnie śmiejąc się Myra.

— Moją partnerką będzie pani, mademoiselle Myra, lecz jedynie w drugim walcu.

— A więc drogi Henryku — powiedział Marc — nie damy

ci długo czekać!

Marc się mylił. Musiałem czekać znacznie dłużej, niż sądził, na obiecane mi przez Myrę walca. Prawdę mówiąc, ciągle go jeszcze oczekuję.

Orkiestra skończyła właśnie preludium, gdy mimo że śpiewak był nadal niewidoczny, głos zabrzmiał od nowa, tym razem pośrodku salonu...

Do wzburzenia gości dołączyło żywe uczucie gniewu. Głos wyrzucał pełną piersią *Pieśń nienawiści* Fryderyka Margradégo, ten niemiecki hymn mający z powodu swej apoteozy przemocy jak najgorszą sławę. Była to prowokacja wobec patriotyzmu madziarskiego, bezpośrednia i zamierzona obelga!

I mimo że głos ten rozlegał się pośrodku salonu... nie widziano śpiewaka!... Przecież musiał tam być, a nikt go nie mógł dostrzec!...

Tańczący rozproszyli się, cofnęli do sali i galerii. Coś w rodzaju paniki ogarnęło gości, szczególnie damy.

Kapitan Haralan przebiegł przez salon, z ogniem w oczach, wyciągniętymi rękoma, jakby chciał schwytać istotę pragnącą się wymknąć na naszych oczach...

W tym samym momencie, z ostatnim refrenem *Pieśni nienawiści*, głos ucichł.

I wtedy — ja to widziałem... tak! Sto osób widziało razem ze mną to, co wydawało się niewiarygodne...

Oto bukiet stojący na konsoli, bukiet zaręczynowy, został gwałtownie wyrwany, zgnieciony, a kwiaty rozrzucone i jakby

podeptane!... Strzępy kontraktu pokryły parkiet!...

Tym razem twoga opanowała wszystkich zebranych! Każdy starał się opuścić jak najszybciej teatr tych niezwykłych wydarzeń.

Jeśli chodzi o mnie, to zastanawiałem się, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach, czy też powinienem uwierzyć tym dziwom.

Kapitan Haralan zbliżył się do mnie. Rzekł, błąd z gniewu:

— To Wilhelm Storitz!

— Wilhelm Storitz?... Czyżby postradał zmysły?

Jeśli nie on, to wkrótce stanie się to ze mną. Byłem przecież zupełnie trzeźwy, nie śniłem, a przecież widziałem, widziałem na własne oczy, jak w tym momencie ślubna korona uniosła się z poduszki, na której dotąd spoczywała. Nie można było dostrzec ręki, która ją zabrała, przeniosła przez salon, potem galerię i ukryła w zaroślach ogrodu!...

— Tego już za wiele!... — krzyknął kapitan Haralan, który wybiegł z salonu, jak burza przebiegł westybul i rzucił się w kierunku bulwaru Tékéli.

Pobiegłem za nim.

Biegliśmy obok siebie ku domowi Wilhelma Storitza. Z jednego okna na wysokości belwederu ciągle wydostawało się w noc słabe światło. Kapitan chwycił kłamkę bramy i gwałtownie nią potrząsnął. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, przyłączyłem się do jego wysiłków. Lecz brama była solidna i z trudem jedynie udało się nam ją poruszyć.

Od kilku minut trudziłem się nadaremnie. Rozpoczął

Od kilku minut uderzaliśmy się naderżniętymi, rozsięca wściekłość pozbawiła nas resztek zdrowego rozsądku...

Niespodziewanie brama obróciła się głucho na swych zawiasach...

Kapitan Haralan z pewnością się pomylił oskarżając Wilhelma Storitza... Wilhelm Storitz nie opuszczał był swego domu, gdyż to on sam otworzył nam bramę, gdyż we własnej osobie stał przed nami.

VIII

Nazajutrz już od wczesnych godzin rannych pogłoski o wydarzeniach, których sceną była willa Roderichów, rozeszły się po mieście. Od samego początku, jak tego zresztą oczekiwałem, publiczność nie chciała przyjąć, że były to zjawiska naturalne. Jednakże one były takimi, nie mogły nimi nie być. Co innego, gdyby znaleziono inne wyjście możliwe do przyjęcia.

Nie ma potrzeby mówić, że po opisanej scenie przyjęcie zakończyło się. Marc i Myra byli tym zrozpaczeni. Bukiet zaręczynowy podeptany, kontrakt podarty, korona ślubna skradziona na ich oczach!... Co za straszna wróżba w przeddzień ślubu!

W ciągu dnia liczne grupy ciekawskich stały pod oknami willi Roderichów, które zresztą pozostawały zamknięte. Tłum, w większości kobiety, napływał na nabrzeże Batthyani.

Rozprawiano z niezwykłym ożywieniem. Jedni snuli

najdziwniejsze przypuszczenia, drudzy ograniczali się do rzucania niespokojnym wzrokiem na rezydencję.

Ani pani Roderich, ani jej córka nie wyszły tego ranka na spacer. Myra pozostawała przy matce, okropnie przejętej scenami z poprzedniego dnia i potrzebującej solidnego odpoczynku.

O ósmej Marc otworzył drzwi mego pokoju. Przywiódł z sobą doktora i kapitana Haralana. Mieliśmy omówić, a być może podjąć jakieś pilne kroki i byłoby lepiej, aby ta rozmowa nie odbywała się w rezydencji Roderichów. Obaj z bratem wróciliśmy w nocy razem do hotelu. Skoro świt Marc pobiegł dowiedzieć się, czy nic nowego nie przydarzyło się pani Roderich i narzeczonej. Następnie, na jego propozycję, doktor i kapitan Haralan pośpieszyli razem z nim z powrotem. Narada zaczęła się bez zwłoki.

— Henryku — zwrócił się do mnie Marc — poleciłem nie wpuszczać na górę nikogo. Nikt tu nie będzie mógł nas słyszeć i będziemy w tym pokoju sami... zupełnie sami...

W jakimże oplakanyim stanie znajdował się mój brat! Jego oblicze, jaśniejące wcześniej szczęściem, było przygnębione, przeraźliwie blade. W sumie, wydawał mi się bardziej zdruzgotany niż na to zasługiwały okoliczności.

Doktor Roderich robił wysiłki, by zapanować nad sobą, zupełnie przeciwnie niż jego syn, z którego zacisniętych warg, niespokojnego wzroku można się było domyślać, jakie uczucia nim miotają.

Obiecowałem sobie zachowywać zimną krew.

Ma główną troską było dowiedzieć się, jak czują się pani Roderich i jej córka.

— Obie zostały ciężko doświadczone wczorajszymi wypadkami — odpowiedział mi doktor — i będzie potrzeba kilku dni, by przyszły do siebie. Jednakże Myra, bardzo przejęta na początku, przywołała całą swą energię i stara się pocieszyć matkę, bardziej dotkniętą niż ona. Mam nadzieję, że wspomnienie tego przyjęcia wkrótce zatrze się w jej umyśle, pod warunkiem, że te żalosne sceny nie powtórzą się...

— Powtórzą się? — zapytałem — Nie ma powodu obawiać się tego, doktorze. Okoliczności, w których wydarzyły się te dziwy... czy muszę przypominać, co się odbywało? ... nie zaistnieją powtórnie.

— Kto wie? — wtrącił doktor Roderich. — Kto wie? Dlatego bardzo bym chciał, żeby ślub już się odbył, gdyż zaczynam się obawiać, że groźby, którymi mnie uraczono...

Doktor nie dokończył zdania, którego sens był dla mnie i kapitana Haralana aż nazbyt jasny. Natomiast Marc, nie wiedząc jeszcze nic o ostatnich krokach Wilhelma Storitzta, wydawał się nie zwracać na to uwagi.

Kapitan Haralan miał o tym swoje zdanie. W każdym razie zachowywał absolutny spokój, oczekując, abym wyraził swoją opinię o wczorajszych wydarzeniach.

— Monsieur Vidal — podjął doktor Roderich — co pan o tym wszystkim myśli?

Sądziłem, że powinienem odegrać raczej rolę sceptyka, nie

mającego zamiaru brac poważnie tych dziwactw, których byliśmy świadkami. Lepiej będzie nie widzieć w tym nic nadzwyczajnego — z powodu niewyjaśnialności tych wypadków — jeśli wolno mi użyć takiego słowa. Poza tym, prawdę mówiąc, pytanie doktora wcale mnie nie zakłopotало.

— Monsieur Roderich — rzekłem — wyznam panu, że „to wszystko”, jak pan mówi, wydaje mi się nie zasługiwać na to, aby się dłużej tym zajmować. Czy nie należy sądzić, że padliśmy jedynie ofiarami jakiegoś podłego dowcipnisa? Czyż jakiś mistyfikator nie mógł się wślizgnąć między gości

i pozwolić sobie dorzucić do rozrywek przyjęcia sceny bruchomówstwa, w żalonym wykonaniu?... Czy wie pan, ile takich sztuczek wykonuje się obecnie z nadzwyczajną wirtuozerią...

Kapitan Haralan odwrócił się i spojrzał na mnie tak, jakby chciał odczytać moje myśli. Jego spojrzenie znaczyło wyraźnie: Nie jesteśmy tu po to, żeby zadowalać się tego rodzaju wyjaśnieniami!

Doktor odpowiedział:

— Pan pozwoli, monsieur Vidal, że nie będę wierzył w jakieś kuglarskie sztuczki...

— Doktorze — zareplikowałem — nie mógłbym sobie wyobrazić innego wyjaśnienia, chyba że przyjąć jakąś interwencję, którą z mego punktu widzenia muszę odrzucić... interwencję nadnaturalną.

— Naturalną — przerwał kapitan Haralan — jedynie tajemnicy jej działania nie znamy.

— Jednakże — nalegałem — co się tyczy głosu słyszanego wczoraj, tego głosu, który na pewno był głosem ludzkim, dlaczego nie mogłoby to być brzuchomówstwo?

Doktor Roderich pokiwał głową jak człowiek absolutnie nieprzekonany takim wyjaśnieniem.

— Powtarzam — podjąłem — iż nie można wykluczyć, że jakiś intruz wślizgnął się do salonu z zamiarem rzucenia wyzwania narodowym uczuciom Madziarów, zranienia ich patriotyzmu tą *Pieśnią nienawiści* pochodzącą z Niemiec.

Hipoteza ta była do przyjęcia, gdybyśmy się trzymali w granicach faktów czysto ludzkich. Lecz nawet przyjmując to, doktor Roderich miał prostą odpowiedź, którą sformułował następująco:

— Jeśli zgodziłbym się z panem, monsieur Vidal, że jakiś mistyfikator, czy raczej potwarca, mógł dostać się do willi, i zostaliśmy oszukani sceną brzuchomówstwa, w co zresztą nie wierzę, to co powiedzieć o bukiecie i podartym kontrakcie, o koronie zabranej niewidzialną ręką?

W rzeczy samej, rozsądek nie pozwalał na przypisywanie tych dwóch zdarzeń jakiemuś iluzjoniście, mimo że tyłu jest zręcznych magików!

Kapitan Haralan dorzucił:

— Niech pan powie, drogi Vidal, czy to pański brzuchomówca zniszczył bukiet do ostatniego kwiatka, czy to on podarł kontrakt na tysiące kawałków i porwał koronę, przeniósł ją przez salon i zabrał jak złodziej?

Nic na to nie odpowiedziałem.

— A może uważa pan przypadkiem — podjął ożywiając się — że doznaliśmy zbiorowej halucynacji?

Na pewno nie, złudzenie było niemożliwe, fakty wydarzyły się na oczach ponad stu osób!

Po kilku chwilach ciszy, której nie starałem się przerwać, doktor stwierdził:

— Przyjmijmy rzeczy tak, jak one się mają, i nie próbujmy się oszukiwać. Stailiśmy wobec faktów, które zdają się wyrywać wszelkim wyjaśnieniom naturalnym, a którym nie da się zaprzeczyć. Wszelako, pozostając w dziedzinie rzeczywistej, spójrzmy, czy ktoś, nie złośliwy żartowniś, lecz jakiś wróg, nie chciał, być może z zemsty, zakłócić tego zaręczynowego przyjęcia?

Było to postawienie zagadnienia na właściwym miejscu.

— Jakiś wróg.. — krzyknął Marc. — Wróg waszej rodziny lub mój, monsieur Roderich? Czy zna pan takiego?

— Tak — potwierdził kapitan Haralan. — To ten, który przed tobą, Marku, prosił o rękę mojej siostry.

— Wilhelm Storitz?

— Wilhelm Storitz.

Marc został więc powiadomiony o tym, o czym jeszcze nie wiedział. Doktor opowiedział mu o nowych usiłowaniach, jakie podjął Wilhelm Storitz kilka dni wcześniej. Mój brat dowiedział się o stanowczej odprawie zalotnika, potem o groźbach swego rywala wobec rodziny Roderichów, groźbach tego rodzaju, że można usprawiedliwić w pewnej mierze podejrzenie, iż to właśnie on brał udział w jakiś sposób we wczorajszych

właśnie on brał udział w jakimś sposobie we wczorajszych wydarzeniach.

— I pan mi nic o tym nie powiedział! — wykrzyknął Marc. — Dopiero dzisiaj, gdy została zagrożona Myra, ostrzegł mnie pan!... A więc to Wilhelm Storitz, ja go znajdę, a jeśli się dowiem...

— Pozostaw nam to zmartwienie, Marku — powiedział kapitan Haralan. — To dom mego ojca splamił swoją obecnością...

— Ale to moją narzeczoną znieważył! — odrzekł Marc, który już się nie mógł pohamować.

Rzeczywiście, obaj kipieli z gniewu. Niech będzie, że Wilhelm Storitz miał zamiar zemścić się na rodzinie Roderichów i posunął się do wykonania swych gróźb! Lecz nie można ustalić, że brał udział we wczorajszych wydarzeniach, że osobiście odegrał tam jakąś rolę. Nie wystarczy zwykle przypuszczenie, ażeby go oskarżyć i powiedzieć mu: Pan tam był wczoraj wieczorem, pośród gości. To pan nas obraził tą *Pieśnią nienawiści*. To pan zniszczył bukiet zaręczynowy i kontrakt. To pan zabrał ślubną koronę. Nikt go tam nie widział, nikt.

Poza tym czyż nie znaleźliśmy go w jego własnym domu? Czyż to nie on sam otworzył nam bramę ogrodzenia?

Niewątpliwie, kazał nam czekać dość długo, w każdym razie wystarczająco długo, aby zdążył wrócić z willi Roderichów, lecz czy można założyć, że udało mu się przebyć tę drogę nie będąc zauważonym przez mnie lub kapitana Haralana?

Wszystko to powtarzałem i nalegałem, aby Marc i kapitan

Haralan wzięli pod rozwagę moje spostrzeżenia, których logikę uznał doktor Roderich. Byli jednak zbyt podnieceni, ażeby mnie wysłuchać i chcieli natychmiast udać się do domu na bulwarze Tékéli.

W końcu, po długiej dyskusji, stanęło na jednym możliwym rozwiązaniu, które ja zaproponowałem:

— Moi przyjaciele, chodźmy do Ratusza. Powiadomimy o wydarzeniach szefa policji, jeśli nie jest jeszcze powiadomiony. Uświadomimy mu stosunek tego Niemca do rodziny Roderichów, czym groził Markowi i jego narzeczonej. Zapoznam go z podejrzeniami, jakie ciążyą na Storitzu. Powiemy także, że straszył sposobami mogącymi przeciwstawić się całej potędze ludzkiej, co mogło być zresztą tylko zwykłymi przechwałkami z jego strony. Szef policji zadecyduje, czy będzie można przedsięwziąć jakieś kroki przeciwko temu cudzoziemcowi.

Czyż nie było to najlepszym, co wypadało zrobić, i wszystkim zarazem, co można było zrobić w tej sytuacji? Policja może interweniować bardziej skutecznie niż osoby prywatne. Jeśli kapitan Haralan i Marc udaliby się do domu Storitz, być może nie otworzono by im drzwi. Czy próbowaliby wtedy wejść siłą?... Jakim prawem?... Natomiast prawo takie posiada policja. A więc do niej, jedynie do niej należy się zwrócić.

Zgodni w tym punkcie, zadecydowaliśmy, że Marc wróci do willi Roderichów, a doktor, kapitan Haraian i ja pójdziemy na Ratusz.

Było wpół do jedenastej. Całe Ragz, jak to już mówiłem,

wiedziało o wypadkach wczorajszego dnia. Widząc doktora z synem udających się do merostwa, zgadywano łatwo przyczyny, które ich tam wiodły.

Gdy tylko przybyliśmy, doktor zameldował się u dyrektora policji, który natychmiast kazał nas zaprowadzić do swego gabinetu.

Monsieur Henryk Stepark był mężczyzną niezbyt wysokim, o energicznej fizjonomii, pytającym spojrzeniu, o niezwykle bystrości i inteligencji, umyśle bardzo praktycznym i niezwykle dobrym węchu policyjnym. W wielu przypadkach miał okazję wykazać się znacznym sprytem. Można być pewnym, że zrobi wszystko, co możliwe, aby wyświecić mroczną historię rezydencji Roderichów. Lecz czy będzie miał wystarczającą władzę, aby interweniować skutecznie w okolicznościach tak szczególnych, przekraczających granice wszelkiego prawdopodobieństwa?

Szef policji wiedział o tej sprawie tyle co wszyscy, oprócz tego, co było znane jedynie doktorowi, kapitanowi Haralanowi i mnie.

— Spodziewałem się pańskiej wizyty, doktorze Roderich — powiedział na powitanie — i gdyby pan nie przyszedł do mego biura, ja poszedłbym do pana. Wiem już, że tej nocy wydarzyły się dziwne rzeczy w pańskiej willi, w związku z czym goście pana ulegli przerażeniu, dość naturalnemu w tej sytuacji. Muszę dodać, że ten strach opanował całe miasto i Ragz dalekie jest jeszcze od uspokojenia.

Zrozumieliśmy na tym rzeczowym wstępie, że nailingi

będzie poczekać na pytania pana Steparka.

— Chciałbym się dowiedzieć najpierw, panie doktorze, czy naraził się pan na czyjąkolwiek nienawiść i czy sądzi pan, że z powodu tej nienawiści mogła być dokonana zemsta na pańskiej rodzinie, a dokładniej, czyn wymierzony przeciw małżeństwu panny Myry i pana Marka Vidala?

— Tak sądzę — odpowiedział doktor.

— Kim byłaby ta osoba?

— Nazywa się Wilhelm Storitz.

To kapitan Haralan wymienił to imię. Szef policji nie wydawał się wcale zaskoczony.

Doktor uświadomił więc panu Steparkowi, że Wilhelm Storitz zabiegał o rękę Myry Roderich, że ponawiał swą prośbę i że po nowej odmowie zagroził niedopuszczeniem do małżeństwa sposobami przekraczającymi ludzkie możliwości.

— Tak, tak — rzekł pan Stepark. — I zaczął od podarcia zapowiedzi ślubnej, choć nikt go nie mógł dostrzec.

Wszyscy byliśmy zgodni co do tego.

Jednakże nasza jednomysłność nie czyniła tego zdarzenia bardziej jasnym, chyba że przypisać mu jakieś czary. Policja jak wiadomo porusza się tylko w obszarze rzeczy realnych. Swą brutalną ręką chwyta za kołnierz ludzi z krwi i kości. Nie ma zwyczaju aresztować widm ani duchów. Zrywacz ogłoszenia, niszczyciel bukietu, złodziej korony musiał być istotą ludzką. Pozostało jedynie go schwytać.

Monsieur Stepark przyznał, że został całkowicie przekonany

o słuszności naszych podejrzeń i przypuszczeń przemawiających przeciwko Wilhelmowi Storitzowi.

— Ten typ — powiedział — wydawał mi się od dawna podejrzany, mimo że nigdy nie otrzymałem skargi na niego. Jego życie okryte jest tajemnicą. Nie wiadomo, jak on żyje i z czego żyje. Dlaczego opuścił Spremberg, swoje miasto rodzinne? Dlaczego on, Niemiec z Prus południowych, przybył osiedlić się w tym kraju madziarskim, które żywi tak mało sympatii dla jego rodaków? Dlaczego zamknął się ze starym służącym w domu na bulwarze Tékéli, w którym nikt nigdy nie bywa? Powtarzam, wszystko to jest podejrzane... bardzo podejrzane...

— Co pan zamierza zrobić, panie Stepark? — zapytał kapitan Haralan.

— To, co jest zupełnie oczywiste — odpowiedział szef policji. — Dokonamy rewizji w tym domu, gdzie być może znajdziemy jakiś dokument... jakiś ślad...

— Ale czy dla dokonania takiej rewizji — zapytał doktor Roderich — nie będzie konieczna zgoda gubernatora?

— Chodzi tu o cudzoziemca, który groził pańskiej rodzinie. Jego Ekscelencja udzieli takiej zgody, niech pan w to nie wątpi.

— Gubernator był wczoraj na przyjęciu zaręczynowym — wtrąciłem.

— Wiem o tym, panie Vidal, i już mnie wzywał w sprawie wydarzeń, których był świadkiem.

— A czy je wyjaśnił? — zapytał doktor.

— Nie! Nie znajdował żadnego rozsądnego wyjaśnienia.

— Lecz — wtrąciłem — gdy się dowie, że w tę sprawę

zamieszany jest Wilhelm Storitz..

— Tym bardziej zechce ją wyjaśnić — odrzekł pan Stepark.
— Zechciejcie tu na mnie poczekać, panowie. Pójdę prosto do Pałacu i za pół godziny przyniosę zgodę na przeszukanie domu na bulwarze Tékéli.

— W czym możemy panu towarzyszyć — zaproponował kapitan Haralan.

— Jeśli pan zechce, kapitanie, i pan także, monsieur Vidal — wyraził zgodę szef policji.

— Ja natomiast — powiedział doktor Roderich — zostawię was z panem Steparkiem i jego ludźmi. Spieszę do domu, gdzie wrócicie po dokonaniu rewizji.

— I po dokonaniu aresztowania, jeśli zajdzie potrzeba — oświadczył pan Stepark, który jak mi się zdawało, był zdecydowany szybko załatwić tę sprawę.

Poszedł do Pałacu, a w tym samym czasie doktor udał się do domu, gdzie potem mieliśmy się wszyscy spotkać.

Kapitan Haralan i ja pozostaliśmy w gabinecie szefa policji. Nie zamieniliśmy zbyt wielu słów. A więc przekroczymy próg tego domu... Czy jego właściciel będzie obecny w tym czasie?... Zastanawiałem się, czy kapitan Haralan zdoła się opanować na jego widok.

Po półgodzinnej nieobecności wrócił pan Stepark. Przyniósł nakaz rewizji i zgodę na wszelkie kroki, jakie uzna za niezbędne.

— A teraz, panowie — powiedział — zechciejcie wyjść przede mną. Ja pójdę z jednej strony, moi policjanci z drugiej, i za dwadzieścia minut będziemy w domu Storitza. Zgoda?

— Tak jest — odparł kapitan Haralan.

I obaj opuściliśmy Ratusz, udając się ku nabrzeżu Batthyani.

IX

Droga, obrona przez pana Steparka, prowadziła północną częścią miasta, natomiast jego policjanci przeszli dwójkami przez dzielnice śródmiejskie. Kapitan Haralan i ja, po osiągnięciu krańca ulicy Stefana I, posuwaliśmy się wzdłuż nabrzeża Dunaju.

Pogoda była pochmurna. Szare i ciężkie chmury pędziły ze wschodu. W podmuchach świeżej bryzy krawędzie przystani odcinały pasma piany z przepływających fal żółtawej rzeki. Pary bocianów i żurawi, wyciągając głowy przeciw wiatrowi, wydawały ostre krzyki. Nie padało, lecz grube obłoki groziły w każdej chwili ulewą.

Z wyjątkiem dzielnicy handlowej, zapełnionej o tej porze tłumem mieszczan i wieśniaków, przechodniów było mało. Jednakże gdyby szef policji ze swymi agentami szedł razem z nami, mogłoby to zwrócić uwagę, dlatego też opuszczając Ratusz było lepiej rozdzielić się.

Kapitan Haralan nadal zachowywał milczenie. Obawiałem się ciągle, że może nie zapanować nad sobą i dokonać jakiegoś aktu gwałtu, gdy spotka Wilhelma Storitzę. Prawie żałowałem teraz, że pan Stepark pozwolił sobie towarzyszyć.

Wystarczył nam kwadrans, by znaleźć się na końcu nabrzeża

Batthyani, na rogu zajmowanym przez rezydencję Roderichów. Wszystkie okna na parterze były jeszcze zamknięte, także w pokojach pani Roderich i jej córki. Co za kontrast z ożywieniem w mieście!

Kapitan Haralan zatrzymał się, a jego wzrok spoczął przez chwilę na zamkniętych okiennicach. Z piersi wyrwało mu się westchnienie, ręka zacisnęła się w pięść, lecz nie wymówił ani słowa.

Skręciliśmy za rogiem i bulwarem Tékéli doszliśmy do domu Storitza.

Jakiś człowiek przechadzał się obojętnie przed bramą, z rękami w kieszeniach. Był to szef policji. Tak jak było umówione, kapitan Haralan i ja dołączyliśmy do niego.

W chwilę potem dostrzeżliśmy sześciu policjantów w cywilu, którzy na znak swego szefa ustawili się wzdłuż ogrodzenia. Wśród nich znajdował się ślusarz, zabrany na wypadek, gdyby nie otworzono nam bramy.

Jak zwykle, okna domu Storitza były zamknięte. Zasłony na oknach belwederu, zaciągnięte od wewnątrz, też nie pozwoliły nic dostrzec.

— Na pewno nie ma nikogo — powiedziałem do pana Steparka.

— Zaraz się dowiemy — odpowiedział mi. — Lecz byłbym zdziwiony, gdyby dom był pusty. Niech pan spojrzy na dym, który wydobywa się z lewego komina.

Rzeczywiście, smuga ciemnych oparów wiała się ponad dachem.

— Jeśli nie ma gospodarza — dorzucił Stepark — prawdopodobnie będzie służący. Wszystko jedno, który nam otworzy.

Ze swej strony, biorąc pod uwagę obecność kapitana Haralana, wołałbym, aby Wilhelma Storitza nie było, a nawet żeby opuścił Ragz

Szef policji zastukał kołatką. Czekaliśmy, czy nie ukaże się ktoś lub nie otworzy się od wewnątrz brama.

Upłynęła minuta. Nikogo. Następne uderzenie kołatki..

— Muszą mieć tępy słuch w tym domu — mruknął pan Stepark.

Następnie, zwracając się do ślusarza, powiedział:

— Rób swoje.

Człowiek ten wybrał odpowiednie narzędzie. Wystarczyło odsunąć zasuwę i brama ustąpiła bez trudu.

Szef policji, kapitan Haralan i ja weszliśmy na dziedziniec.

Towarzyszyło nam czterech policjantów, dwóch pozostałych czekało na zewnątrz.

W głębi podest o trzech stopniach prowadził do drzwi wejściowych, zamkniętych podobnie jak brama.

Monsieur Stepark zastukał dwa razy swą laską.

Nie było odpowiedzi. Nie dochodził żaden odgłos ze środka.

Ślusarz wszedł po stopniach na podest i włożył jeden ze swych kluczy do zamka. Drzwi mogły być zamknięte na kilka zasuw albo klucz mógłby tkwić w zamku — gdyby Wilhelm Storitz dostrzegłszy policjantów chciał im przeszkodzić w

Stanie doszczętny porażony ciałem im przeszło w wejściu.

Nic takiego nie było. Zamek ustąpił. Drzwi otworzyły się bez kłopotu.

— Wchodzimy — rzucił pan Stepark.

Korytarz był oświetlony z przodu przez okratowane okno, umieszczone ponad drzwiami, i w głębi przez przeszklone drzwi wychodzące na ogród.

Szef policji przeszedł kilka kroków korytarzem i zawołał donośnym głosem:

— Jest tu kto?

Nie było odpowiedzi, również po powtórnych wezwaniu. Żadnego odgłosu w całym domu. Kiedy nadstawiliśmy uszu i skupiliśmy całą naszą uwagę, wydawało nam się, że usłyszeliśmy coś w rodzaju przesuwania w jednym z bocznych pokojów... Lecz było to bez wątpienia złudzenie.

Pan Stepark doszedł do końca korytarza. Ja posuwałem się z nim wraz z kapitanem Haralanem.

Jeden z policjantów został na straży na zewnętrznym podeście.

Po otwarciu następnych drzwi można było rzucić okiem na ogród. Powierzchnia dwóch do trzech tysięcy sążni ogrodzona była murem. Środek zajmował trawnik, od dawna nie koszony, którego wysoka trawa była zwichrzona, półuschnięta. Dookoła biegła kręta aleja otoczona gęstymi krzakami. Za krzewami wysokie drzewa, rosnące wzdłuż całego muru. Wierzchołki ich wyrastały ponad przyczółki murów.

Wszystko świadczyło o zaniedbaniu i opuszczeniu.

Ogród został przeszukany. Policjanci nie odkryli nikogo, mimo że na alejach można było dostrzec świeże ślady.

Z tej strony okna były przysłonięte zewnętrznymi okiennicami, oprócz ostatniego na pierwszym piętrze, które oświetlało schody.

— Ci ludzie musieli tędy niedawno wyjść — zauważył szef policji — ponieważ drzwi były tylko przymknięte, a nie zamknięte na klucz.. chyba że zostali zaskoczeni i nie zdążyli wziąć klucza od ogrodu.

— Sądzi pan, że oni mogą tu być? — wtrąciłem. — Ja myślę, że raczej wrócą za chwilę.

Pan Stepark pokiwał z powątpiewaniem głową.

— Zresztą — dodałem — dym, który wydobywa się z jednego komina, świadczy o tym, że gdzieś tutaj musi być ogień.

— Szukajmy więc ognia — odrzekł szef policji.

Po stwierdzeniu, że ogród i dziedziniec są puste, że nikt się tam nie ukrywa, pan Stepark polecił nam wejść do domu. Drzwi korytarza zamknęły się za nami.

Z korytarza wchodziło się do czterech izb. Jedna z nich, od strony ogrodu, pełniła rolę kuchni. Druga była, prawdę mówiąc, jedynie klatką schodową, prowadzącą na pierwsze piętro i strych.

Rewizję zaczęto od kuchni. Jeden z policjantów otworzył okno i odsunął okiennice, które miały jedynie małe otwory w kształcie rombów i nie dawały wystarczająco dużo światła. Było tu najprostsze, podstawowe wyposażenie — żelazny piecyk,

którego rura kryła się pod okapem szerokiego komina, z każdej strony szafa, pośrodku stół, dwa plecione krzesła, dwa drewniane taborety, różne przybory zawieszane na ścianie, w rogu zegar regularnie tykający, którego ciężarki wskazywały, że zostały niedawno podciągnięte.

W piecyku paliło się jeszcze kilka kawałków węgla, wydzielając dym widziany z zewnątrz.

— Oto kuchnia — powiedziałem — lecz gdzie kucharz?...

— I jego pan?... — dodał kapitan Haralan.

— Szukajmy dalej — odpowiedział pan Stepark. Pozostałe dwie izby na parterze, wychodzące na dziedziniec, zostały przeszukane kolejno. Jedna, będąca salonem, była wyposażona w meble starej roboty, ściany pokryte starymi tapetami pochodzącymi z Niemiec, miejscami bardzo zużytymi. Na gzymsie kominka z wielkim żeliwnym rusztem stał rokokowy zegar z wahadłem, w dość lichym guście. Jego zatrzymane wskazówki i kurz pokrywający tarczę wskazywały, że nie był używany od dłuższego czasu. Na jednym z panneau, naprzeciw okna, w owalnej ramie wisiał portret. W kortuszu widniało nazwisko: OTTO STORITZ.

Oglądaliśmy w milczeniu ten obraz o wyrazistym rysunku, ostrych kolorach, podpisany przez nieznanego artystę, prawdziwe dzieło sztuki.

Kapitana Haralan nie mógł oderwać oczu od płótna.

Jeśli chodzi o mnie, to twarz Ottona Storitza wywarła na mnie wielkie wrażenie. Czyżby sprawiła to skłonność mego umysłu? Czy nie uleżałem raczej bezwiednie wpływowi niezwykłej

atmosfery?... Cokolwiek to było, tutaj, w tym opuszczonym salonie, uczony wydawał mi się jakąś istotą nadprzyrodzoną. Z tą potężną głową, rozczochranymi włosami, niepomiarkowaną butą na twarzy, oczyma płonącymi jak rozżarzone węgle, ustami o drżących wargach — wydawało mi się, że żyje, że wyrwie się z ramy, aby krzyknąć głosem z tamtego świata: Co wy tu robicie?... Cóż to za bezczelność zakłócać mój spokój!

Okno w salonie, zasłonięte okiennicą, przepuszczało nieco światła. Nie było potrzeby otwierania jej i być może w tym półmroku portret stawał się taki niezwykle i wywierał na nas tak ogromne wrażenie.

Szeffa policji uderzyło podobieństwo między Ottonem i Wilhelmem Storitzem.

— Mimo pewnej różnicy wieku — zwrócił na to moją uwagę — portret ten mógłby być równie dobrze portretem syna, jak i ojca. To są te same oczy, to samo czoło, taka sama głowa w szerokich ramionach. I ta diaboliczna fizjonomia!... Aż bierze ochota, aby ich obu pokropić święconą wodą...

— Tak — potwierdziłem — podobieństwo jest uderzające. Kapitan Haralan tkwił jak przykuty przed tym płótnem, jakby przed sobą miał oryginał.

— Chodźmy dalej, kapitanie — powiedziałem.

Z salonu przeszliśmy przez korytarz do sąsiedniego pokoju. Była to pracownia, w wielkim nieporządku. Półki z jasnego drewna wypełniały opasłe tomy, przeważnie nie oprawione — głównie dzieła matematyczne, chemiczne i fizyczne. W rogu

zgrupowane były liczne instrumenty, aparaty, sioje, przenośna kuchenka, kilka retort i alembików, różne próbki metali, z których kilka było mi, bądź co bądź inżynierowi, nie znanych. Pośrodku pokoju, na stole z rozrzuconymi papierami i przyrządami do pisania, leżały trzy lub cztery tomy *Dzieł zebranych* Ottona Storitz'a. A obok nich jakiś rękopis. Schylając się mogłem stwierdzić, że rękopis był również sygnowany tym samym nazwiskiem, a poświęcony studiom nad istotą światła. Papiery, książki i manuskrypt zostały skonfiskowane i opieczętowane.

Rewizja dokonana w pracowni nie dała żadnych innych rezultatów, które mogłyby nam coś wyjaśnić. Mieliśmy już stąd wychodzić, gdy pan Stepark dostrzegł na kominku fiołkę z błękitnego szkła, o dziwnym kształcie.

Pan Stepark, kierując się ciekawością, a może instynktem policyjnym, wyciągnął rękę po fiołkę, by zbadać ją dokładnie. Chyba jednak zrobił jakiś niezręczny ruch ręką, gdyż fiołka, leżąca na brzegu gzymsu, upadła w chwili, gdy miał jej dotknąć — i potłukła się na posadzce.

Rozlał się jakiś bardzo rzadki płyn koloru żółtawego. Musiał być nadzwyczaj ulotny, gdyż natychmiast zamienił się w parę o dziwnym zapachu, którego nie mógłbym porównać z jakimkolwiek innym, ale tak słabym, że nasz węch ledwie go odczuwał.

— Słowo daję — powiedział szef policji — ta fiołka nie miała kiedy upaść.

— Pewno zawierała jakąś substancję wynalezioną przez

Otona Storitza — zauważyłem.

— Jego syn musi znać formułę i wyprodukuje nową — odrzekł pan Stepark.

Następnie skierował się ku drzwiom i polecił:

— Na pierwsze piętro — rozkazując jednocześnie dwom policjantom pozostać na korytarzu.

W głębi, naprzeciw kuchni, znajdowała się klatka schodowa z poręczami i drewnianymi stopniami, trzeszczącymi pod nogami.

Z podestu schodów można było wejść do dwóch sąsiadujących ze sobą izb z drzwiami nie zamykanymi na klucz. Aby tam wejść, wystarczyło przekręcić miedzianą gałkę.

Pierwsza, nad salonem, musiała być sypialnią Wilhelma Storitza. Mieściła jedynie żelazne łóżko, nocny stolik, dębową bielizniarkę, toaletkę wspartą na miedzianych nogach, kanapę, fotel pokryty grubym welurem i dwa krzesła. Nie było zasłon ani nad łóżkiem, ani na oknach — umeblowanie jak widać, ograniczone do niezbędnego minimum. Żadnych papierów ani na kominku, ani na okrągłym stoliku stojącym w rogu. O tej porannej godzinie pościel była jeszcze w nieładzie, lecz czy łóżko było zajęte tej nocy — mogliśmy się tylko domyślać.

W każdym razie pan Stepark zbliżając się do toaletki zauważył, że miednica zawierała wodę z kilkoma bańkami mydlanymi na powierzchni.

— Gdyby założyć, że upłynęły dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy używano tej wody, to bańki musiałyby się rozpuścić. Wnioskuje z tego, że Storitz mył się tego ranka, przed swym wyjściem.

— Jest również możliwe, że tu wróci — powiedziałem — chyba że spostrzeże pańskich policjantów.

— Jeśli on zobaczy mych agentów, oni go także dostrzegą, a mają rozkaz przyprowadzić go do mnie. Ale nie sądzę, żeby pozwolił się schwytać.

W tym momencie usłyszeliśmy jakiś hałas, podobny do skrzypienia źle umocowanego parkietu, po którym ktoś chodzi. Hałas ten zdawał się dobiegać z pokoju obok, położonego nad pracownią. Istniały drzwi łączące sypialnię z tym pokojem, tak że nie trzeba było wychodzić na podest, by się tam dostać.

Kapitan Haralan wyprzedził szefa policji, jednym skokiem rzucił się ku drzwiom, otworzył je gwałtownie...

Musieliśmy się przesyśleć. Nie było tam nikogo.

Możliwe, że mimo wszystko odgłosy te pochodziły z wyższego piętra, to znaczy ze strychu, przez który wiodło wejście do belwederu.

Drugi pokój był umeblowany jeszcze bardziej prowizorycznie niż pierwszy: rama z napiętymi pasami mocnego płótna, bardzo zużyty materac, duże, szorstkie prześcieradła, wełniana narzuta, dwa krzesła z różnych kompletów, dzbanek na wodę i kamionkowa miednica na kominku, przy czym palenisko nie zawierało śladu popiołu, kilka ubrań z grubego materiału zawieszonych na kołkach, skrzynia lub raczej dębowy kufer służący jako szafa i komoda zarazem, w którym pan Stepark znalazł bieliznę w dość znacznej ilości.

Pokój ten należał niewątpliwie do starego służącego Hermanna. Szef policji wiedział z raportów swych agentów, że

Hermann. Sześci policji widział z raportów swych agentów, że gdy otwierano czasami dla wietrzenia okno pierwszej sypialni, to okno drugiego pokoju, wychodzącego również na dziedziniec, pozostawało niezmiennie zamknięte. Można było to również stwierdzić naocznie, sprawdzając zasuwę okienną, którą poruszyć było bardzo trudno, oraz okucia okienne, zżarte przez rdzę.

W każdym razie wspomniany pokój był pusty i takim bez wątpienia będzie strych, belweder i piwnica znajdująca się pod kuchnią — gdyż pan i służący opuścili dom, być może z zamiarem niewracania tu nigdy.

— Czy pan nie przypuszcza — zapytałem szefa policji — że Wilhelm Storitz mógł być poinformowany o tej rewizji?

— Nie, chyba że siedział ukryty w moim gabinecie, panie Vidal, lub u Jego Ekscelencji, w czasie gdy rozmawialiśmy o tej sprawie!

— Mogli nas dostrzec, gdy zbliżaliśmy się bulwarem Tékéli.

— Mogli! Lecz jak udałoby się im wyjść?

— Uciekli w pole przez tyły posesji.

— Ale nie mieliby czasu przedostać się przez mury ogrodu, które są bardzo wysokie. Poza tym musieliby pokonać z drugiej strony fosę.

A więc według opinii szefa policji, Wilhelm Storitz i Hermann musieli już być poza domem przed naszym przybyciem.

Wyszliśmy z tego pokoju na podest. Dokładnie w chwili, gdy wkroczyliśmy na pierwszy stopień, by wejść na drugie piętro, usłyszeliśmy nagle silne skrzypienie schodów łączących

pierwsze piętro z parterem — tak jakby ktoś po nich wchodził lub schodził szybko. Zaraz potem rozległy się odgłosy upadku, którym towarzyszył krzyk bólu.

Przechylił się przez poręcz i dostrześliśmy jednego z policjantów pozostawionego na straży w korytarzu, który podnosił się rozcierając krzyże.

— Co się stało, Ludwiku? — zapytał pan Stepark. Policjant wyjaśnił, że stał właśnie na drugim stopniu, gdy

jego uwagę zwróciło skrzypnięcie schodów, które my również przed chwilą słyszeliśmy. Przypuszcza, że odwracając się gwałtownie, by poznać przyczynę, musiał źle obliczyć swe ruchy, gdyż obie pięty ześlizgnęły się naraz i upadł na wznak, co boleśnie odczuł jego krzyż. Człowiek ten nie mógł wyjaśnić swego upadku. Gotów byłby przysiąc, że podcięto mu nogi tak, by stracił równowagę. Była to hipoteza nie do przyjęcia, ponieważ przebywał sam na parterze, zaś jego kolega pełnił straż przy głównych drzwiach wychodzących na dziedziniec.

— Hm! — mruknął pan Stepark z zatroskaną miną. Po chwili byliśmy na drugim piętrze.

Całe to piętro stanowił strych rozciągający się między zewnętrznymi ścianami, oświetlony wąskimi lufcikami umieszczonymi w dachu. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że nikt się tu nie ukrył.

Pośrodku dość stroma drabina prowadziła do wznoszącego się nad dachem belwederu, do którego można się było dostać przez właz zamykający się za pomocą przeciwwagi.

— Właz jest otwarty — zwróciłem uwagę szefa policji,

który postawił już nogę na drabinie.

— Rzeczywiście, monsieur Vidal, i stąd pochodzi przeciąg. To pewno ten hałas, który słyszeliśmy. Wiatr jest dzisiaj silny i wiatrowskaz strasznie skrzypi na dachu.

— Jednakże — odrzekłem — był to raczej odgłos kroków.

— Któż zatem mógł chodzić, skoro nie było nikogo?

— Chyba że tam na górze, panie Stepark...

— W tej napowietrznej budce?...

Kapitan Haralan wysłuchał wymiany zdań między szefem policji i mną. Powiedział jedynie, wskazując belweder:

— Wchodzimy.

Pan Stepark wspiął się na pierwszy szczebel pomagając sobie grubym sznurem, który zwisał aż do podłogi.

Kapitan Haralan potem, a następnie ja, wdrapaliśmy się za nim. Trzy osoby wystarczyły, by wypełnić ten świetlik.

Rzeczywiście, było to coś w rodzaju klatki osiem stóp na osiem, o wysokości dwunastu.

Było tu dość ciemno, mimo oszklonego otworu umieszczonego między słupami, solidnie osadzonymi w belkach kalenicy.

Ciemność tę powodowały opuszczone welniane zasłony, te, które widzieliśmy z zewnątrz. Gdyśmy je podnieśli, przez okienko dostało się dość dużo światła.

Z czterech stron belwederu można było objąć wzrokiem cały horyzont dookoła Ragzu. Nic nie zasłaniało widoku, bardziej jeszcze rozległego niż z tarasu willi Roderichów, jednakże węższego niż z wieży Świętego Michała i z baszty Zamku

WYBIEGŁO NIEZ WIDZĄC SWIĘTEGO MICHAŁA I Z OBŁAZY ZAMKU.

Na końcu bulwaru ujrzałem ponownie Dunaj, rozrastające się na południe miasto, z górującymi nad nim wieżą Ratuszową, iglicą Katedry, basztą na wzgórzu Wolkang, a dookoła rozległe łąki i pusztę okoloną odległymi górami.

Od razu powiem, że belweder przeszukano tak samo jak i resztę domu. Nie znaleziono nikogo. Monsieur Stepark musiał podjąć taką decyzję, ale najście policji nie dało żadnego rezultatu i nie wyświetliło żadnych tajemnic domu Storitza.

Początkowo sądziłem, że belweder służył być może do obserwacji astronomicznych. Pomyłka. Całe umeblowanie stanowiły stół i drewniany fotel.

Na stole leżały jakieś papiery, a między nimi egzemplarz gazety, z której dowiedziałem się w Buda-Peszcie o zbliżającej się rocznicy śmierci Ottona Storitza. Papiery te, tak jak i poprzednie, zostały zarekwirowane.

Niewątpliwie to tutaj odpoczywał jego syn po opuszczeniu swej pracowni czy, dokładniej, laboratorium. W każdym razie na pewno czytał artykuł, który był zaznaczony czerwonym krzyżykiem, postawionym bez wątpienia jego ręką.

Nagle dał się słyszeć głośny okrzyk, pełen zaskoczenia i gniewu.

Kapitan Haralan dostrzegł na półce umocowanej do jednego ze słupów kartonowe pudełko, które właśnie otworzył..

I cóż wyciągnął z tego pudełka?...

Ślubną koronę porwaną w czasie przyjęcia zaręczynowego w rezydencji Roderichów!

A więc nie było już wątpliwości co do winy Wilhelma Storitza. Byliśmy w posiadaniu dowodu rzeczowego i nie musieliśmy zdawać się na zwykłe podejrzenia. Czy sprawcą był on sam, czy ktoś inny, to w każdym razie na jego korzyść dokonano tej dziwnej kradzieży, której motywy i wyjaśnienie przekraczały zresztą naszą wyobraźnię.

— Czy ma pan nadal wątpliwości, drogi Vidal? — krzyczał kapitan Haralan, którego głos kipiał wściekłością.

Pan Stepark zachowywał spokój. W tej sprawie było jeszcze dużo niewiadomych. Jeśli odpowiedzialność Wilhelma Storitza była niepodważalna, to nadal nie znano sposobów, jakimi się posługiwał, i nie było pewne, czy zostanie to kiedykolwiek ujawnione.

Jeśli chodzi o mnie, do którego kapitan Haralan zwrócił się bezpośrednio, nie odpowiedziałem. Bo cóż w rzeczy samej mógłbym odpowiedzieć?

— Czyż to nie ten nikczemnik — kontynuował — przybył, aby nas znieważać, rzucając nam w twarz *Pieśń nienawiści* jako obelgę dla patriotyzmu madziarskiego? Pan go nie widział, lecz pan go słyszał!... On tam był, tylko umknął przed naszym wzrokiem!... Z tej korony, którą zbrukał swą ręką, nie chcę, aby pozostał nawet jeden listek!...

Pan Stepark zatrzymał go w momencie, gdy chciał ją

zniszczyć.

— Niech pan nie zapomina, że jest do dowód rzeczowy — powiedział — i może być przydatna, jak sądzę, w dalszym ciągu tej sprawy.

Kapitan Haralan oddał mu koronę, a po powtórnych daremnych poszukiwaniach we wszystkich pomieszczeniach domu zeszedliśmy na dół.

Frontowe drzwi i brama zostały zamknięte na klucz i opieczętowane, a dom pozostawiony w takim samym stanie opuszczenia, w jakim go zastaliśmy. Jednakże na rozkaz szefa dwaj agenci pozostali na straży w okolicy posesji.

Po rozstaniu się z panem Steparkiem, który zobowiązał nas do zachowania rewizji w tajemnicy, z kapitanem Haralanem wróciliśmy bulwarem do willi Roderichów.

Mój towarzysz nie mógł się opanować. Z każdego jego słowa i każdego gestu aż kipiała złość i wielkie wzburzenie. Nadaremnie starałem się go uspokoić. Ja sam miałem nadzieję, że Wilhelm Storitz opuścił już miasto lub zrobi to natychmiast, gdy dowie się, że jego domostwo odwiedziła policja, która posiada dowody określające rolę, jaką odegrał w tej sprawie.

Ograniczyłem się do uwagi:

— Mój drogi Haralanie, rozumiem pański gniew, rozumiem, że pan nie chce puścić płazem tych zniewag. Lecz proszę nie zapominać, że pan Stepark prosił nas o zachowanie tajemnicy.

— A mój ojciec?... A pański brat?... Czy nie zechcą się dowiedzieć o wynikach rewizji?

— Oczywiście, lecz powiemy im po prostu iż nie

— Oczywiście, lecz powinniśmy im po prostu, iż nie spotkał się Wilhelma Storitz, że musiał chyba wyjechać z Ragz, co zresztą wydaje mi się bardzo prawdopodobne.

— Nie chce pan powiedzieć, że znaleźliśmy koronę?

— Tak, chyba będzie lepiej, jeśli się o tym dowiedzą. Ale nie można tego mówić pańskiej matce i siostrze. Po co powiększać ich niepokój? Na pana miejscu powiedziałbym, że korona została znaleziona w ogrodzie rezydencji, i oddałbym ją pańskiej siostrze.

Mimo niechęci, kapitan Haralan przyznał mi rację i zgodził się, bym poszedł do pana Steparka po koronę, której zwrotu na pewno nie odmówi.

Tymczasem pilno mi było zobaczyć brata, powiadomić go o tym, co zaszło, a najbardziej pragnąłem, aby jego małżeństwo było już faktem dokonany.

Gdy przybyliśmy do willi, służący wprowadził nas natychmiast do gabinetu, gdzie oczekiwali doktor z Markiem. Ich niecierpliwność była tak ogromna, że zasypali nas pytaniami, zanim przekroczyliśmy próg.

Jakież było ich zaskoczenie i oburzenie po relacji z tego, co wydarzyło się w domu na bulwarze Tékéli! Brat mój nie potrafił się opanować. Podobnie jak kapitan Haralan chciał rozprawić się z Wilhelmem Storitzem, zanim uczynią to organa sprawiedliwości. Na próżno tłumaczyłem mu, że jego wróg na pewno opuścił miasto.

— Jeśli nie ma go w Ragz — krzychał — to będzie w Sprembergu!

Z największym trudem udawało mi się uspokoić go nieco. Doktor musiał się dołączyć do mych nalegań.

— Mój drogi Marku — rzekł — posłuchaj rad swego brata i pozwólmy uciszyć się tej aferze, tak przykrej dla naszej rodziny. Spokój przede wszystkim, a wkrótce będzie zapomniana.

Brat mój, ściskając głowę rękoma, znieruchomiał. Czulem, jak bardzo musiał cierpieć. Cóż bym dał za to, by być o kilka dni starszy, ażeby Myra Roderich była już Myrą Vidal!

Doktor dodał, że zwróci się do gubernatora Ragzu. Wilhelm Storitz jest cudzoziemcem i Jego Ekscelencja nie zawaha się wydać nakazu wydalenia go. Najpilniejsze było to, ażeby przeszkodzić powtórzeniu się podobnych wypadków, jakich sceną stała się niedawno willa Roderichów. Prowadziło to jednak do rezygnacji z wyjaśnienia tego, co zaszło. Nikt nie mógł uwierzyć, by Wilhelm Storitz posiadał, jak się tym przechwalał, jakąś moc nadludzką.

Co się tyczy pani Roderich i jej córki, przedstawiłem swoje racje, nakazując absolutne milczenie wobec tych dam. One nie mogą się dowiedzieć ani o interwencji policji, ani o zdemaskowaniu Wilhelma Storitza. Również moja propozycja co do korony została przyjęta. Marc miał ją przypadkowo znaleźć w ogrodzie willi. Wykaże się również, że wszystko to uczynił jakiś złośliwy żartowniś, który na pewno się znajdzie i zostanie ukarany tak, jak na to zasługuje.

Jeszcze tego dnia wróciłem do Ratusza, gdzie poprosiłem pana Steparka o oddanie korony, na co się zgodził. Natychmiast

zaniósłem ją do willi.

Wieczorem, gdy zebraliśmy się w salonie razem z panią Roderich i jej córką, Marc wyszedł na chwilę i wrócił mówiąc:

— Myro... moja droga Myro... zobacz, co ci przyniosłem!...

— Moja korona!... wykrzyknęła radośnie Myra, rzucając się ku narzeczonemu.

— Tak — potwierdził Marc — znalazłem ją tam... gdzie upadła, w ogrodzie za krzakiem.

— Lecz w jaki sposób?... w jaki sposób?... — powtarzała pani Roderich.

— W jaki sposób? — odpowiedział doktor. — Zrobił to jakiś intruz, który wśliznął się między waszych gości. Nie trzeba się więcej zajmować tą absurdalną historią.

— Dziękuję, dziękuję, mój drogi Marku — szeptała Myra, a z oczu jej płynęły łzy.

Dni, które potem nastąpiły, nie przyniosły żadnych nowych wydarzeń. Miasto odzyskało swój zwykły spokój. Nie wydostała się na światło dzienne żadna wiadomość o rewizji przeprowadzonej w domu na bulwarze Tékéli i nikt nie wymówił więcej nazwiska Wilhelma Storitza. Nie pozostało nic, jak tylko oczekiwać cierpliwie — lub raczej niecierpliwie — dnia, w którym odbędzie się ślub Marka i Myry Roderich.

Cały wolny czas poświęcałem na różne wycieczki w okolice Ragzu. Kilkakrotnie towarzyszył mi kapitan Haralan. Najczęściej wychodziliśmy z miasta bulwarem Tékéli. W sposób widoczny przyciągał nas podejrzany dom. Pozwoliło to nam stwierdzić, że był ciągle opuszczony i wciąż strzeżony przez dwóch agentów

Gdyby Wilhelm Storitz pokazał się, policja natychmiast dowiedziałaby się o jego powrocie i zostałby aresztowany.

Ale wkrótce uzyskaliśmy dowód jego nieobecności i pewność, przynajmniej czasową, że nie można go spotkać na ulicach Ragzu.

Istotnie, gdy 29 maja zostałem wezwany przez pana Steparka, dowiedziałem się z jego ust, że rocznica śmierci Ottona Storitz'a była obchodzona 25 w Sprembergu. Jak się wydaje, ceremonia przyciągnęła znaczną liczbę uczestników, nie tylko mieszkających w Sprembergu, lecz również tysiące ciekawych, przybyłych z okolicznych miast, a nawet z Berlina. Cmentarz nie mógł pomieścić takiego tłumu. Stąd liczne wypadki i kilka zaduszonych osób, które nazajutrz znalazły miejsca na cmentarzu, jakich nie mogły znaleźć w czasie ceremonii.

Nie można zapomnieć, że życiu i śmierci Ottona Storitz'a towarzyszyły niesamowite legendy. Jego zabobonni zwolennicy oczekiwali na jakiś znak zza grobu. W czasie tej rocznicy miały się wydarzyć przedziwne zjawiska. W każdym razie uczony Prusak miał powstać z grobu i nie byłoby wcale dziwne, gdyby w tym czasie porządek wszechświata został zakłócony. Ziemia zmieniając swe obroty dookoła osi, miała się kręcić ze Wschodu na Zachód, co spowodowałoby całkowity przewrót systemu słonecznego!... Itd... itp.

Takie były pogłoski krążące wśród tłumu. Jednakże, według ostatniej relacji, sprawy potoczyły się bardziej normalnie. Kamień na grobie nie uniósł się. Nieboszczyk nie opuścił swej

grobowej siedziby, a ziemia odbywała swą drogę według zasad ustalonych od początku świata.

Lecz, co nas bardziej uderzyło, syn Ottona Storitza uczestniczył osobiście w tej ceremonii. Był to namacalny dowód, że rzeczywiście opuścił był Ragz. A ja chciałbym mieć nadzieję, że zrobił to ze stanowczym zamiarem nie powrócenia tu nigdy.

Pośpieszyłem zanieść tę nowinę Markowi i kapitanowi Haralanowi.

Mimo że wrzawa wokół sprawy znacznie się uciszyła, Gubernator Ragzu nie przestał się niepokoić. Przecież niezwykle zjawiska, których nikt w sposób wiarygodny nie mógł wyjaśnić, musiały być wywołane takimi czy innymi sztuczkami. W każdym razie wzburzyły bardzo miasto i należało za wszelką cenę sprawić, by się więcej nie powtórzyły.

Nie dziwny się więc, że Jego Ekscelencją był tak bardzo poruszony dowiedziawszy się od szefa policji, o zachowaniu Wilhelma Storitza wobec rodziny Roderichów i groźbach, jakie czynił wobec niej!

A gdy Gubernator dowiedział się jeszcze o wynikach rewizji, postanowił potraktować tego cudzoziemca z całą surowością. Wszakże dokonano kradzieży, sprawcą jej był Wilhelm Storitz lub jego współnik. Jeśli więc nie opuściłby Ragzu, byłby aresztowany. I prawdopodobnie zamknięty za murami więzienia, nie mógłby go opuścić jako niewidzialny, co uczynił w salonach willi Roderichów.

Dlatego też 30 maja odbyła się następująca rozmowa

między Jego Ekscelencją a szefem policji:

— Czy nie dowiedział się pan niczego nowego?

— Nie, panie Gubernatorze.

— Czy nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że Wilhelm Storitz miałby zamiar powrócić do Ragzu?

— Żadnych.

— Czy jego dom jest ciągle strzeżony?

— Dzień i noc.

— Muszę napisać do Buda-Pesztu — podjął Gubernator — o tej całej sprawie, której rozgłos być może był większy niż na to zasługiwała. Jestem skłonny położyć jej kres wszelkimi sposobami.

— Dopóki Wilhelm Storitz nie pokaże się w Ragz — odrzekł szef policji — nie ma powodu do niepokoju. A wiemy z pewnych źródeł, że 25 był w Strembergu.

— To prawda, panie Stepark, lecz może próbować wrócić tu, i temu należy zapobiec.

— Nic prostszego, panie Gubernatorze. Ponieważ dotyczy to cudzoziemca, wystarczy nakaz wydalenia...

— Nakaz — przerwał Gubernator — który zabroni mu pobytu nie tylko w mieście Ragz, lecz na całym terytorium austro-węgierskim.

— Gdy będę miał taki nakaz, panie Gubernatorze — odrzekł szef policji — przekażę go wszystkim posterunkom granicznym.

Dokument został podpisany na poczekaniu, a terytorium cesarstwa zakazane dla Wilhelma Storitza.

Poczynione kroki uspokoiły dostatecznie doktora, jego rodzinę i przyjaciół. Lecz byliśmy dalecy od poznania tajemnic tej sprawy, a jeszcze dalej od wyobrażenia sobie perypetii, jakie nam szykowała.

XI

Zbliżała się data ślubu. Wkrótce, pierwszego czerwca, dnia ostatecznie wybranego na tę uroczystość, wstanie słońce nad horyzontem Ragzu.

Stwierdziłem nie bez głębokiego zadowolenia, że Myra, mimo iż była przecież tak wrażliwa, wydawała się nie zachowywać w pamięci tych zagadkowych wydarzeń. Ale też prawdą jest, że nigdy nazwisko Wilhelma Storitza nie było wymienione ani w jej, ani w jej matki obecności.

Zostałem jej powiernikiem. Mówiła mi o swych projektach na przyszłość, miała jednak wątpliwości, czy uda się je zrealizować. Czy chcieli z Markiem przenieść się do Francji? Tak, lecz trochę później. Rozstanie z ojcem i matką byłoby dla niej zbyt bolesne.

— Jednakże — mówiła — nie ma przeszkód, by udać się teraz na kilka tygodni do Paryża, gdzie pan towarzyszyłby nam, nieprawdaż?

— Na pewno!... Chyba że nie zechciałaby pani intruza obok siebie.

— To prawda, nowożeńcy są dość przykrymi towarzyszami podróży.

— Postarałbym się to znieść — odrzekłem zrezygnowanym tonem.

Doktor aprobował ten wyjazd. Opuścić Ragz na miesiąc lub dwa byłoby dobrze pod każdym względem. Niewątpliwie pani Roderich byłaby bardzo przejęta nieobecnością swej córki, lecz ma dość zdrowego rozsądku, by się z tym pogodzić.

Poza tym w czasie godzin spędzonych z Myrą Marc zapomniałby lub starałby się zapomnieć o tym, co go dręczyło. On, gdy tylko znalazł się sam ze mną, wracał do obaw, które na próżno usiłowałem rozpraszać.

Niezmiennie wypytywał mnie:

— Nie dowiedziałeś się czegoś nowego, Henryku?

— Niczego, drogi Marku — odpowiadałem mu i była to najczystsza prawda.

Pewnego dnia zauważył:

— Gdybyś dowiedział się czegoś na mieście lub od szefa policji, i tak byś mi nie powiedział..

— Uprzedziłbym cię na pewno, Marku.

— Chyba że chciałbyś coś przede mną ukryć.

— Bądź spokojny, nie będę nic przed tobą ukrywał. Mogę cię zapewnić, że ludzi nie fascynuje już ta sprawa. Nigdy miasto nie było bardziej spokojne. Jedni zajmują się swymi interesami, drudzy przyjemnościami, a ceny na rynku utrzymują się wysokie.

— Żartujesz, Henryku...

— To dlatego, żeby ci udowodnić, że nie mam żadnych

trosk.

— Jednakże — przerwał Marc, którego twarz zasepiła się — gdyby ten człowiek...

— Ba! On nie jest taki głupi. Wie dobrze, że będzie natychmiast aresztowany, gdy tylko postawi nogę na terytorium austro-węgierskim. A w Niemczech istnieje wystarczająca ilość jarmarków, na których może wykazać się swymi kuglarskimi talentami.

— A także swą mocą, o której mówił...

— To może opowiadać dzieciom! — Nie wierzysz w to?

— Nie więcej niż ty sam. A więc, drogi Marku, licz jedynie godziny i minuty, jakie dzielą cię od tego wielkiego dnia... Nie masz nic lepszego do zrobienia, sprawa jest zakończona i nie ma co jej odgrzebywać.

— Ach, mój przyjacielu!... — smutno westchnął Marc.

— Nie jesteś rozsądny, Marku. O wiele bardziej rozsądna niż ty jest Myra.

— Bo nie wie o wszystkim, tak jak ja.

— A co ty wiesz? Do licha, ty wiesz, że wzmiankowanej osoby nie ma w Ragz, że nie może tu powrócić, że nie zobaczymy jej nigdy, zrozum mnie dobrze! Jeśli to nie wystarczy, aby cię uspokoić!...

— Może masz rację, Henryku, lecz ja mam przecucie... Wydaje mi się...

— To nie ma sensu, mój biedny Marku! Posłuchaj mnie, wróć do Myry. Pozwoli ci to spojrzeć na życie bardziej różowo.

— Tak masz rację. Nie może nigdy jej opuścić, nawet na

chwile!

Jakże biedny był mój brat! Czulem ból, gdy na niego patrzyłem i gdy go słuchałem. Jego niepokój rósł w miarę zbliżania się dnia ślubu. A ja również, jeśli mam być szczerzy, oczekiwałem tego dnia z bezwiedną trwogą.

Z drugiej strony, jeśli nawet mogłem liczyć na Myrę, na jej kojący wpływ na Marka, to nie wiedziałem, jakich użyć sposobów w stosunku do kapitana Haralana.

Od dnia, kiedy dowiedział się, że Wilhelm Storitz był w Sprembergu, z trudem udawało mi się odwieść go od wyjazdu. Między Sprembergiem a Ragz nie ma więcej niż dwieście mil. Odległość tę można pokonać w cztery dni. W końcu udało się nam go powstrzymać, lecz mimo racji, jakie jego ojciec i ja przedstawialiśmy, wbrew oczywistym korzyściom pozostawienia sprawy w zapomnieniu, wracał do tego bez przerwy, a ja obawiałem się ciągle, że nam się wymknie.

Pewnego ranka odszukał mnie i od samego początku rozmowy zrozumiałem, że zdecydował się wyjechać.

— Nie robi pan tego, mój drogi Haralanie — prosiłem — pan tego nie robi... Spotkanie między tym Prusakiem i panem jest niemożliwe. Błagam, żeby nie wyjeżdżał pan z Ragz.

— Mój drogi Vidal — odrzekł kapitan tonem wskazującym na nieprzejednane postanowienie — należy ukarać tego nikczemnika.

— Stanie się to prędzej czy później, niech pan nie wątpi! — krzychałem. — Lecz jedyną ręką, która powinna to uczynić, jest

ręka policji!

Kapitan Haralan czuł, że miałem rację. Jednakże nie mógł się opanować.

— Mój drogi Vidal — odpowiedział w sposób nie rokujący nadziei — my nie patrzymy, my nie możemy patrzeć na sprawy w ten sam sposób. Moja rodzina, która będzie również rodziną pańskiego brata, została znieważona, a ja miałbym nie pomścić tych zniewag?...

— Nie, jest to zadanie wymiaru sprawiedliwości.

— W jaki sposób może to uczynić, jeśli człowiek ten nie wróci?... Przecież gubernator podpisał zakaz wjazdu, co uniemożliwi powrót Storitza. A więc to ja muszę jechać tam, gdzie się znajduje, a jest chyba w Sprembergu.

— Dobrze — chwyciłem się ostatniego wybiegu — ale niech pan poczeka przynajmniej do ślubu siostry. Jeszcze kilka dni cierpliwości i będę pierwszym, który panu doradzi wyjazd. Nawet mogę towarzyszyć panu do Sprembergu.

Prosiłem go tak gorąco, że rozmowa zakończyła się jego stanowczą obietnicą, iż zmusi się do pozostania. Pod warunkiem wszakże, że zaraz po ślubie nie będę się już sprzeciwiał jego zamiarom i pojedę z nim.

Godziny dzielące nas od 1 czerwca wydawały mi się nieskończone. Przecież i ja, zmuszony do uspokajania innych, doświadczałem dziwnego niepokoju. Zdarzało mi się często przemierzać w tę i z powrotem bulwar Tékéli, pchało mnie do tego nie wiadomo jakie przecucie.

Dom Storitza był ciągle w takim stanie, w jakim go

pozostawiła policja, a więc drzwi zamknięte, okna zasłonięte, dziedziniec i ogród puste. Na bulwarze kilku agentów rozciągało swój dozór aż po dawne fortyfikacje i okoliczną wieś. Jednakże ani gospodarz, ani jego służący nie podjęli żadnej próby przedostania się do domu. Mimo wszystko, co pewno jest już obsesją, wcale nie byłbym zaskoczony, gdybym wbrew temu, co mówiłem Markowi i kapitanowi Haralanowi, wbrew temu, co powtarzałem sam sobie, ujrzał dym wydobywający się z kominka laboratorium lub zobaczył jakąś postać za szybami belwederu.

Ludność Ragz otrząsnęła się już ze swego początkowego przerażenia, ale doktora Rodericha, mego brata i kapitana Haralana nawiedzał ciągle duch Wilhelma Storitza.

Tegoż dnia 30 maja po południu, aby rozproszyć nieco niepokojące myśli, udałem się w kierunku mostu, by przedostać się na prawy brzeg Dunaju.

Zanim doszedłem do mostu, znalazłem się na przystani dokładnie w czasie, gdy przybijał tam galar płynący z góry rzeki.

Przed oczyma stanęły mi zdarzenia z mojej podróży, moje spotkanie z wiadomym Niemcem, jego prowokujące zachowanie, uczucie antypatii, jakie wzbudził we mnie od pierwszego wejrzenia. A potem, kiedy sądziłem, że wysiadł w Vu-kovarze, słowa, które wypowiedział. Gdyż to na pewno on wyrzekł te groźby. Rozpoznałem jego głos w salonie willi Roderichów. Ten sam akcent, ta sama surowość i brutalność teutońska.

Pod wpływem tych myśli przwołałem się każdemu z

pasażerów schodzących na ląd w Ragz. Szukałem wybladłej twarzy, niepokojących oczu, diabolicznej fizjonomii... lecz czyniłem to nadaremnie.

O godzinie szóstej, jak to było już w zwyczaju, zająłem miejsce przy rodzinnym stole. Pani Roderich zdawała się czuć lepiej i trochę zapominać o przeżytych emocjach. Natomiast mój brat znajdując się obok Myry zapomniał o wszystkim — w przeddzień tego dnia, w którym zostanie jego żoną. Również kapitan Haralan wydawał mi się spokojniejszy, choć trochę zasepiony.

Postanowiłem zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby ożywić ten mały świątek i rozproszyć resztę chmur zaciemniających pamięć. Na szczęście sekundowała mi w tym Myra, urocza i radosna tego wieczoru, który przeciągnął się do późna. Nie dając się długo prosić, usiadła do klawesynu i śpiewała nam stare pieśni madziarskie, jak gdyby chciała zatrzeć w pamięci tę okropną *Pieśń nienawiści*, która rozbrzmiewała w tym salonie.

W momencie, gdy zbieraliśmy się do wyjścia, zwróciła się do mnie, śmiejąc się:

— To jutro, panie Henryku, niech pan nie zapomni...

— Zapomnieć, mademoiselle?... — odpowiedziałem w tym samym żartobliwym tonie.

— Tak, nie zapomnieć, że jest to dzień audiencji u gubernatora, dzień „udzielenia patentu”, żeby użyć utartego wyrażenia...

— Ach! Prawda! I o już jutro!...

— I że jest pan jednym ze świadków swego brata...

— Ma pani słuszność, przypominając mi o tym, mademoiselle Myra. Świadkiem mego brata!... Zupełnie o tym zapomniałem.

— Wcale mnie to nie dziwi. Zauważyłam, że jest pan czasami roztargniony...

— Proszę mi to wybaczyć, obiecuję, że jutro takim nie będę... Oby tylko Marc nie był w gorszej formie niż ja...

— Odpowiadam za niego. A więc dokładnie o godzinie czwartej po południu.

— O czwartej, mademoiselle Myra?... A ja sądziłem, że odbędzie się to o wpół do szóstej!... Proszę się nie obawiać. Będę za dziesięć czwarta.

— Dobranoc!... Dobranoc bratu Marka, który wkrótce będzie również moim.

— Dobranoc, mademoiselle Myra, dobranoc!

Marc nazajutrz rano miał do zrobienia kilka zakupów. Wydawało mi się, że odzyskał już swój zwykły spokój i pozwoliłem mu pójść samemu.

Jednakże, zapewne przez nadmiar ostrożności i żeby mieć absolutną pewność, że Wilhelm Storitz nie powrócił do Ragz, udałem się na Ratusz.

Zapytałem pana Steparka, który przyjął mnie natychmiast, czy ma jakieś nowe informacje.

— Żadnych, panie Vidal — odpowiedział. — Może być pan pewien, że poszukiwany nie pokazał się w Ragz.

— A czy przebywa jeszcze w Sprembergu?

— Mogę jedynie powiedzieć, że był tam jeszcze przed czterema dniami.

— Otrzymał pan informację stamtąd?

— Tak, otrzymałem list od policji niemieckiej potwierdzający ten fakt.

— To mnie uspokaja.

— A mnie to już nudzi, panie Vidal. Ten szatan, niech go piekło pochłonie, nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek miał ochotę przekroczyć granicę.

— Tym lepiej, monsieur Stepark.

— Tym lepiej dla pana, lecz ja, policjant, wołałbym schwycić go za kołnierz i zamknąć tego czarownika za kratkami!... Co być może nastąpi z pewną zwłoką...

— Tak, nieco później, po ślubie niech pan robi, co zechce, panie Stepark.

Oddaliłem się dziękując szefowi policji.

O czwartej po południu zebraliśmy się w salonie willi Roderichów. Dwie karety oczekiwały na bulwarze Tékéli — jedna na Myrę, jej ojca, matkę i przyjaciela rodziny, sędziego Neumana, druga na Marka, kapitana Haralana, jednego z jego kolegów, porucznika Armgarda, i mnie. Pan Neuman i kapitan Haralan byli świadkami panny młodej, porucznik Armgard i ja — świadkami Marka.

Jak to mi już był wyjaśnił kapitan Haralan, tego dnia miał się odbyć nie ślub w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz coś w rodzaju ceremonii przygotowawczej. Ślub może się odbyć

nazajutrz w Katedrze jedynie po uzyskaniu zgody gubernatora. Od tego momentu narzeczeni, choć jeszcze nie w pełni małżonkowie, są już ze sobą nierozzerwalnie złączeni, gdyż nawet w przypadku jakichś nieprzewidzianych przeszkód w zawarciu przewidzianego ślubu byłiby skazani na wieczysty celibat.

Można by odnaleźć w średniowieczu francuskim ślady podobnego zwyczaju, mającego w sobie coś z praw feudalnych, gdzie pan uchodził za ojca swych poddanych, a co przetrwało w Ragz do naszych dni.

Młoda narzeczona ubrana była w szykowną suknię świadczącą o dobrym guście. Pani Roderich nosiła toaletę bardzo prostą, ale i bardzo kosztowną. Doktor i sędzia, tak samo jak mój brat i ja, ubrani byli w stroje dworskie, a dwaj oficerowie w galowe mundury.

Kilka osób oczekiwało na bulwarze przy karetach — kobiet i dziewcząt z ludu, których ciekawość jest zawsze podniecana takim ślubem. Jutro w Katedrze prawdopodobnie tłum będzie dużo liczniejszy, co będzie rodzajem hołdu oddawanego rodzinie Roderichów.

Dwa pojazdy minęły główną bramę posiadłości, zakręciły na rogu bulwaru, przebyły nabrzeże Batthyani, ulicę Księcia Miłosza, ulicę Władysława i zajechały przed bramą Pałacu Gubernatora.

Na placu i dziedzińcu Pałacu było znacznie więcej ciekawskich. Być może przyciągnęła ich pamięć poprzednich zdarzeń. Być może spodziewali się jakiegoś nowego fenomenu.

Karety wiechaki na głównym dziedzińcu i zatrzymały się przed

narciły wjechały na główne dziedzińce i zauzywały się przy podestem.

Chwilę potem mademoiselle Myra, prowadzona pod rękę przez ojca, madame Roderich, prowadzona przez pana Neumana, następnie Marc, kapitan Haralan i ja zajęliśmy miejsca w sali recepcyjnej, oświetlonej wysokimi oknami z kolorowymi witrażami i ze ścianami wyłożonymi płaskorzeźbami o dużej wartości. Pośrodku, na szerokim stole, stały dwa wspaniałe kosze kwiatów.

Państwo Roderichowie jako rodzice zasiedli po obu stronach foteli zarezerwowanych dla narzeczonych. Z tyłu zajęli miejsca czterej świadkowie: pan Neumann i kapitan Haralan po lewej stronie, porucznik Armgard i ja po prawej.

Mistrz ceremonii zaanonsował gubernatora. Wszyscy wstali na jego powitanie.

Następnie gubernator zasiadł na swym tronie i zapytał rodziców, czy zgadzają się na ślub córki z Markiem Vidalem. Potem zwrócił się ze zwyczajowymi pytaniami do narzeczonych:

— Marku Vidal, czy przyrzekasz wziąć Myrę Roderich za małżonkę?

— Przyrzekam — odpowiedział mój brat, którego odpowiednio, pouczo.

— Myro Roderich, czy przyrzekasz wziąć Marka Vidala za małżonka?

— Przyrzekam — odpowiedziała panna Myra.

— My, Gubernator Ragz, zgodnie z prawami nadanymi nam przez Cesarzową-Królową i odwiecznymi przywilejami miasta

Ragz, udzielamy zezwolenia ślubnego Markowi Vidalowi i Myrze Roderich. Pragniemy i nakazujemy, aby wymieniony ślub odbył się jutro, w sposób przepisowy, w Kościele Katedralnym miasta.

Taki oto zwyczajowo prosty przebieg miały rzeczy.

Żaden cud nie zakłócił uroczystości i (mimo że takie myśli przez chwilę chodziły mi po głowie) ani akt, na którym złożono podpisy, nie został podarty, ani piór nie wydarto z rąk państwa młodych czy świadków.

Bez wątpienia, Wilhelm Storitz był w Sprembergu. — mógł tam pozostać ku radości swych rodaków! — a jeśli był w Ragz, to musiał utracić swą moc.

Obecnie, czy ten przeceniony czarownik chce, czy nie, Myra Roderich będzie albo żoną Marka Vidala, albo niczyją.

XII

Nadszedł wreszcie pierwszy czerwca. Data tak niecierpliwie oczekiwana, że zdawało się, iż nigdy nie nadejdzie!

Ale w końcu nadeszła. Jeszcze kilka godzin i w Katedrze Ragz odbędzie się ceremonia ślubna.

Obawa, która pozostawała w naszych umysłach jako wspomnienie niewytłumaczalnych wypadków sprzed kilkunastu dni, ustąpiła całkowicie po uroczystości u gubernatora.

Wstałem tego dnia bardzo wcześnie. Marc był jeszcze bardziej niecierpliw niż ja i znacznie mnie wwrzedził. Nie

skończyłem się jeszcze ubierać, gdy wszedł do mojego pokoju.

Był już w ślubnym stroju. Promieniał szczęściem i żaden cień nie przesłaniał tej radości. Ucałował mnie serdecznie i ja go również uściskałem z całego serca.

— Myra — zwrócił się do mnie — kazała mi przypomnieć...

— Że to odbędzie się dzisiaj — dokończyłem śmiejąc się.

— Powiedz jej, że jeśli nie spóźniłem się na uroczystość u gubernatora, nie uczynię tego również w Katedrze. Wczoraj uregulowałem mój zegarek według zegara na wieży. Lecz ty, mój drogi Marku, nie pozwól na siebie czekać! Wiesz przecież, że twoja obecność jest niezbędną, że nie będzie można zacząć bez ciebie!

Opuścił mnie, a ja pośpieszyłem dokończyć toalety, mimo że była zaledwie godzina dziewiąta rano.

Mieliśmy spotkać się w posiadłości doktora. Stamtąd miały odjechać pojazdy. Dla podkreślenia swej skrupulatności przyszedłem znacznie wcześniej niż należało — za co otrzymałem w nagrodę wdzięczny uśmiech panny młodej — i ulokowałem się w salonie.

Jedna po drugiej przybywały osoby — powiedzmy raczej osobistości, biorąc pod uwagę podniosłość ceremonii — które wczoraj były obecne w Pałacu. Wszyscy, podobnie jak w przeddzień, byli w strojach galowych. Oficerowie przypięli krzyże i medale na wspaniałych mundurach regimentu Wojskowego Pogranicza.

Myra Roderich — a dlaczego nie miałbym powiedzieć Myra

wiad, skoro oboje narzeczeni byli już złączeni dekretem gubernatora? — Myra wyglądała olśniewająco w swym białym stroju z mory: sukni z trenem i stanikiem haftowanym w kwiaty pomarańczy. U jej boku rozkwitał ślubny bukiet, a na blond włosach spoczywała ślubna korona, spod której spływał długi welon z białego tiulu. Była to ta sama korona, którą przyniósł mój brat. Myra nie chciała innej.

Wchodząc do salonu ze swą matką, skierowała się ku mnie i wyciągnęła rękę. Uścisnąłem ją serdecznie, po bratersku. Radość błyszczała w jej oczach.

— Ach, mój bracie! — zawołała. — Jakże jestem szczęśliwa!

Niepokojące dni skończyły się i po smutnych próbach, jakimi została doświadczona ta zacna rodzina, nie zostało ni śladu. Nie odnosiło się to jedynie do kapitana Haralana, który zdawał się nie zapomnieć o niczym. Świadczyłoby o tym to, co powiedział, ściskając mi rękę:

— Nie... Nie myślmy już o tym!

A oto jaki był program dzisiejszego dnia, program, który uzyskał ogólną aprobatę:

Za kwadrans dziesiąta odjazd do katedry, gdzie gubernator wraz z władzami i notablami miasta będzie oczekiwał państwa młodych. Po ślubnej mszy i podpisaniu aktów w zakrystii Świętego Michała — prezentacja i składanie życzeń. Powrót na obiad, który zgromadzi około pięćdziesięciu biesiadników. A wieczorem w salonach willi wesele, na które zostało wysłanych dwieście zaproszeń.

Karety zajmowano podobnie jak wczoraj: w pierwszej panna młoda, doktor, pani Roderich i pan Neuman, w drugiej Marc i trzej świadkowie. Wracając z katedry Marc i Myra, złączeni na zawsze, zajmą miejsce w tym samym pojeździe. Pozostałe osoby w swych ekwipażach utworzą orszak weselny.

Trzy kwadransy na dziesiątą pojazdy opuściły posiadłość Roderichów i posuwały się nabrzeżem Batthyani. Po osiągnięciu placu Madziarskiego przejechały przezeń i ulicą Księcia Miłosza skierowały się do pięknego śródmieścia.

Pogoda była wspaniała, niebo uśmiechało się promieniami słońca. Tłumy przechodniów kierowały się ulicami i pasażami ku katedrze. Wszystkie spojrzenia towarzyszyły pierwszemu pojazdowi, spojrzenia pełne sympatii i podziwu dla panny młodej, a muszę stwierdzić, że mój drogi Marc miał w tym również swój udział. W oknach można było dostrzec uśmiechnięte twarze, i zewsząd płynęły pozdrowienia, na które nie nadażano odpowiadać.

— Słowo daję — powiedziałem — wywożę z tego miasta wspaniałe wspomnienia!

— Węgrzy czczą w was tę Francję, którą kochają, monsieur Vidal — odpowiedział mi porucznik Armgard — i są uszczęśliwieni tym związkim. Francuz wchodzi do rodziny Roderichów.

Gdy zbliżyliśmy się do placu, ruch był tak ogromny, że powozy jechały bardzo powoli.

Z katedry wlatywało radosne bicie dzwonów, a wschodni wiatr przenosił je dalej i tuż przed godziną dziesiątą mieszał

wysokie tony wieży ratuszowej z donośnym głosem Świętego Michała.

Było dokładnie pięć po dziesiątej, gdy nasze dwie karety zatrzymały się u stóp schodów, przed szeroko otwartymi głównymi drzwiami.

Pierwszy wysiadł doktor Roderich, potem jego córka, której podał ramię. Pan Neuman zaoferował swoje madame Roderich. Pozostali rychło zeskoczyli na ziemię i między rzędami widzów wzdłuż dziedzińca przed kościołem podążyli za Markiem.

W tym momencie odezwały się główne organy i przy ich majestatycznych dźwiękach orszak wkroczył do kościoła.

Marc i Myra skierowali się ku dwóm fotelom ustawionym przed głównym ołtarzem. Za nimi zajęli miejsca rodzice i świadkowie.

Wszystkie krzesła i stalle w prezbiterium były już zajęte przez licznie zgromadzonych notabli — gubernatora, urzędników, oficerów z miejscowego garnizonu, sędziów i syndyków, wyższych pracowników administracji, przyjaciół rodziny, znaczniejszych przemysłowców i kupców. Dla dam we wspaniałych toaletach zarezerwowano także specjalne miejsca wzdłuż stali i żadne z nich nie pozostało wolne.

Za kratami prezbiterium, arcydziełem trzynastowiecznego kowalstwa, tłoczyli się ciekawscy. Ci, którym nie udało się tu docisnąć, znaleźli miejsca w głównej nawie, gdzie wszystkie ławki były również zajęte.

W nawach poprzecznych i bocznych gniótł się plebs, wlewający się aż na schody dziedzińca.

wyciągający się aż na schody uzdźwizna.

Jeśli ktokolwiek z uczestników uroczystości snuł w tym momencie wspomnienia o przedziwnych wydarzeniach, które uprzednio wstrząsnęły miastem, to czyż mógł pomyśleć, że mogą się one powtórzyć w katedrze? Oczywiście że nie, nawet gdyby były to czarcie sprawki, gdyż w kościele nie mogłoby się nic takiego wydarzyć. Czyż diabelskie moce nie zatrzymały się na progu sanktuarium?

Po prawej stronie prezbiterium powstało jakieś poruszenie. Tłum musiał się rozstać, by dać przejście prałatowi, diakonowi, subdiakonowi, kościelnym i ministrantom.

Prałat zatrzymał się przed stopniem ołtarza, pokłonił się i wyrzekł pierwsze słowa *Introitu*, a śpiewacy zaintonowali *Confiteor*.

Myra klęczała na poduszce, ze schyloną głową, w żarliwym skupieniu. Marc stał obok i nie spuszczał z niej oka.

Msza odprawiana była z całą pompą, jaką kościół katolicki zwykł otaczać tak podniosłe uroczystości. Organy i chór gregoriański podejmowały kolejno *Kyrie* i strofy *Gloria in excelsis*, które wznosiły się pod wysokie sklepienie.

Czasami dawał się słyszeć szum niespokojnego tłumu, przesuwanych krzeseł, opuszczanych siedzeń i kroki służby kościelnej czuwającej, aby przejście wzdłuż głównej nawy było wolne na całej długości.

Zwykle wewnątrz Katedry pogrążone jest w półmroku, by dusze mogły się oddawać w większym stopniu uczuciom religijnym. Przez stare witraże z sylwetkami postaci biblijnych we

wspaniałych kolorach, przez wąskie okienka w stylu wczesnego gotyku, przez witraże bocznych naw dostawało się jedynie nikielne światło. Gdy niebo było pochmurne — główna nawa, nawy boczne, apsyda pogrążone było w ciemności, a tę mistyczną ciemność przekłuwały jedynie ogniste punkciki długich świec na ołtarzu.

Dzisiaj było tu zupełnie inaczej. Okna wychodzące na wschód i rozeta nawy poprzecznej płonęły w cudownym słońcu. Promienie słoneczne, przechodząc przez okno apsydy, padały wprost na ambonę, zawieszoną na jednej z kolumn nawy, i zdawały się ożywiać udręczoną twarz olbrzyma podtrzymującego ją swymi ogromnymi ramionami.

Gdy dał się słyszeć głos dzwonka, zgromadzeni powstali i po hałasie z tym związanym zapadła cisza. Diakon zaczął monotonne czytanie Ewangelii Świętego Mateusza.

Następnie prałat, odwróciwszy się, wygłosił krótką mowę do narzeczonych. Mówił nieco osłabionym głosem starca o białych włosach. Poruszał sprawy najprostsze, które musiały jednak zapaść w serce Myry. Wychwalał cnoty rodzinne, rodzinę Roderichów, jej poświęcenie dla nieszczęśliwych

i niewyczerpane miłosierdzie. Uświęcał to małżeństwo łączące Francuza z Węgierką i prosił o błogosławieństwo niebios dla nowożeńców.

Po skończeniu stary ksiądz z towarzyszącymi mu diakonem i subdiakonem odwrócił się do ołtarza, by odmówić modlitwy *Ofertorium*.

Jeśli odnotowuję wszystkie szczegóły tej mszy, to dlatego, że

odcisnęły się one w umyśle, że ich wspomnienie nie będzie mogło być nigdy wymazane z mej pamięci.

Teraz z chóru zabrzmiał wspaniały głos przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego. Sławny w świecie madziarskim tenor śpiewał hymn ofiarny.

Marc i Myra opuścili fotele i zbliżyli się do stopni ołtarza. Po złożeniu tam hojnej ofiary subdiakonowi dotknęli wargami, jak w pocałunku, patery trzymanej przez celebransa. Następnie wrócili na swoje miejsca idąc jedno za drugim. Nigdy, nigdy dotąd Myra nie wydawała się bardziej promieniująca pięknnością, bardziej jaśniejąca szczęściem!

Teraz kwestarki przyjmowały życzenia od chorych i ubogich. Ci, poprzedzani przez kościelnych, przeszli się pod chór i ku środkowi nawy i dał się słyszeć hałas przesuwanych krzeseł, chrzęst spódnic, szum tłumu, gdy tymczasem monety spadały do sakiewek dziewcząt.

W końcu prątał z towarzyszącymi mu dwoma pomocnikami skierował się ku narzeczonym i zatrzymał się przed nimi.

— Marku Vidal — zapytał swym drżącym, jednakże przez wszystkich słyszonym głosem, w głębokiej ciszy — czy zgadzasz się pojąć Myrę Roderich za żonę?

— Tak — odpowiedział mój brat.

— Myro Roderich, czy zgadzasz się wziąć Marka Vidala za męża?

— Tak — powiedziała Myra jednym tchem.

Przed wypowiedzeniem sakramentalnych słów prątał wziął od mego brata obrączki ślubne i poświęcił je. Następnie schylił

...z niego stała się czarna siarka i poświęca ją. Następnie bierze się, by wsunąć jedną z nich na palec panny młodej...

W tym momencie *rozległ* się straszny krzyk, krzyk trwogi i przerażenia.

A oto co zobaczyłem, oto co zobaczyło tysiące osób, tak samo jak ja:

Diakon i subdiakon zostali roztrąceni, jak gdyby pchnięci jakąś siłą wyższą, prałat z trzęsącymi się ustami, nieskładnymi ruchami, wystraszonym wzrokiem wydawał się walczyć z niewidzialnym duchem i ostatecznie padł na kolana...

Następnie, bezpośrednio potem, gdyż wypadki toczyły się z piorunującą szybkością, tak że nikt nie miał czasu na interwencję ani na zrozumienie, co się dzieje, mój brat i Myra upadli na posadzkę...

Później obrączki pofrunęły przez kościół, a jedna z nich uderzyła mnie silnie w twarz...

A oto co usłyszałem w tym momencie. I tysiące osób tak jak ja usłyszało te słowa wykrzyczane straszonym głosem, który znaliśmy dobrze, głosem Wilhelma Storitzta:

— Biada małżonkom... biada!...

Po tej klątwie, która wydawała się dochodzić z tamtego świata, powiew przerażenia przeszedł przez tłum. Z wszystkich piersi wyrwał się głuchy pomruk, a Myra, która się podniosła, wydając rozdzierający krzyk upadła zemdlona w ramiona sparaliżowanego przerażeniem Marka.

Zjawiska, których byliśmy świadkami w Katedrze, i te, których sceną była posiadłość Roderichów, zmierzały do tego samego celu. I pochodzenie ich było podobne. To Wilhelm Storitz był ich autorem. Czyż można przypuszczać, że stanowiły wynik jakichś kuglarskich sztuczek?... Byłbym zmuszony odpowiedzieć przecząco. Nie, ani skandalu w kościele, ani porwania korony ślubnej nie można przypisać jakiejś iluzji. Zacząłem poważnie podejrzewać, że ten Niemiec znał od swego ojca jakiś naukowy sekret, który daje możliwość stawiania się niewidzialnym.. Dlaczego nie, mimo wszystko?... Dlaczego pewne promienie świetlne nie mogłyby mieć zdolności przechodzenia przez ciała nieprzejryste, tak jakby były one przezroczystymi?... Lecz dokąd mógłbym zająć z takimi nedorzecznymi przypuszczeniami?... Wszystko to przecież bzdury, bzdury, które zachowałem dla siebie, nie powierzając ich nikomu.

Zabraliśmy Myrę, która nie odzyskała świadomości. Przeniesiono ją do jej pokoju, złożono na łóżku. Ale żadne zabiegi, jakich nie szczędzono, nie zdołały jej ocucić. Pozostawała bezwładna, bez czucia — mimo starań bezsilnego doktora. Sam się dziwiłem, że mogła przetrzymać tyle doświadczeń i że ostatnie emocje jej nie zabiły.

Wielu kolegów doktora Rodericha przybiegło do willi. Otaczali łóżko Myry wyciągniętej bez ruchu, z opuszczonymi powiekami, woskową twarzą, piersią unoszoną nieregularnym

biciem serca, ledwo wyczuwalnym oddechem, który może ustać w każdej chwili!...

Marc trzymał ją za ręce. Płakał. Błagał ją i wzywał:

— Myra...moja droga Myro!...

Pani Roderich głosem zduszonym przez szloch powtarzała bezradnie:

— Myra... moje dziecko... Jestem tutaj... przy tobie... twoja matka..

Dziewczyna nie otworzyła oczu i bez wątpienia nic do niej nie docierało.

Tymczasem lekarze zastosowali leki znacznie silniejsze. Wydawało się, że chora zaczyna odzyskiwać przytomność... Jej usta belkotały jakieś słowa, których sensu nie można było dociec, jej palce w dłoniach Marka zaczęły poruszać się nerwowo, a powieki nieco się uniosły... Lecz co za nieprzytomny wzrok pod tymi na wpół uniesionymi powiekami! Co za wzrok, w którym nie można było dopatrzeć się odrobiny zrozumienia!...

Marc pojął to aż za dobrze. Nagle zachwiał się, krzycząc:

— Obląkana... Obląkana!...

Rzuciłem się ku niemu i z pomocą kapitana Haralana przytrzymałem, zastanawiając się, czy on także nie postradał zmysłów. Trzeba go było zaprowadzić do drugiego pokoju, gdzie lekarze próbowali opanować ten atak, którego skutki mogły być fatalne.

Jak może zakończyć się ten dramat? Czy można mieć nadzieję, że Myra odzyska z czasem przytomność umysłu, że zabiegi lekarskie zatriumfują nad obłędem, że to szaleństwo

zailegi kraiskie zaurimuję nad obrętem, że to szacikstwo będzie przejściowym?

Kapitan Haralan, gdy tylko znalazł się sam na sam ze mną, zawołał:

— Trzeba z nim skończyć!...

Skończyć z nim?... Jak to sobie wyobrażał? Że Wilhelm Storitz wrócił do Ragz, że był autorem tej profanacji — nie mogliśmy w to wątpić. Lecz gdzie go znaleźć i jak schwytać tę nieuchwytną istotę?

Z drugiej strony zastanawiałem się, jakie wrażenia wywołają te zdarzenia w mieście? Czy zechce przyjąć ono naturalne wyjaśnienie tych faktów? Nie jesteśmy tu przecież we Francji, gdzie bez wątpienia podobne cuda zostałyby obrócone w żarty i ośmieszono w kupletach. W tym kraju będzie zupełnie inaczej. Zdołałem zauważyć, że Madziarzy mają naturalną skłonność do wiary w cuda, a przesady w warstwach nieoświeconych są nie do wykorzenia. Dla ludzi wykształconych te dziwactwa mogą być jedynie wynikiem jakichś wynalazków fizycznych lub chemicznych. Lecz jeśli chodzi o umysły ciemne, wszystko tłumaczą one interwencją szatana, a Wilhelm Storitz będzie uznany za takiegoż diabła.

Dlatego nie można już dłużej starać się ukrywać, w jakich okolicznościach ten cudzoziemiec, przeciwko któremu gubernator podpisał nakaz wydalenia, został zamieszany w tę sprawę. To, co dotychczas trzymaliśmy w tajemnicy, nie może więcej pozostawać w cieniu po skandalu u Świętego Michała.

Nazajutrz całe miasto znajdowało się w stanie wrzenia.

Łączono wydarzenia w posiadłości Roderichów z tymi z Katedry. Uspokojenie, które zapanowało już wśród ludności, ustąpiło nowemu wzburzeniu. Został wreszcie ujawniony związek, łączący te różne wypadki. Gdy we wszystkich domach, we wszystkich rodzinach wymawiano nazwisko Wilhelma Storitza, przywoływano w pamięci, można by rzec, ducha tej dziwnej postaci, której egzystencja upływała między niemymi murami i zamkniętymi oknami posiadłości na bulwarze Tékéli.

Nie było więc zaskoczeniem, że gdy wiadomości te rozeszły się po mieście, ludność kierowała się ku temu bulwarowi, popychana jakąś nieodpartą siłą, z której prawdopodobnie nie zdawała sobie nawet sprawy.

Podobnie gromadził się tłum na cmentarzu w Sprembergu. Lecz tam rodacy uczonego mieli nadzieję uczestniczyć w jakimś cudzie i nie kierowało nimi żadne uczucie antypatii. Tutaj przeciwnie, nastąpił wybuch nienawiści, potrzeba zemsty — usprawiedliwione poczynaniami tej złośliwej istoty.

Nie zapominajmy poza tym o przerażeniu, jakie w tym tak religijnym mieście wywołał skandal, którego sceną była Katedra.

To wzburzenie mogło tylko rosnąć. Większość ludzi nie zechce nigdy przyjąć naturalnego wyjaśnienia niepojętych wydarzeń.

Gubernator musiał zająć się wydaniem odpowiednich dyspozycji w mieście i nakazać szefowi policji podjęcie kroków, jakich wymagała sytuacja. Należało być przygotowanym do odparcia wybuchu paniki, który mógłby mieć jak najgorsze skutki. Również, ponieważ nazwisko Wilhelma Storitza zostało

już ujawnione, należało strzec domu na bulwarze Tékéli, przed który ściągnęły setki mieszczan i wieśniaków, oraz bronić go przed wtargnięciem i grabieżą.

Tymczasem moje rozważania sięgały dalej i doszedłem do tego, że zacząłem poważnie brać pod uwagę hipotezę, którą w pierwszej chwili z góry odrzucałem. Gdyby więc hipoteza ta była słuszna, jeśli człowiek miałby moc stawania się niewidzialnym, co jest niewiarygodne, lecz nie musi być nieprawdziwe, jeśli mit o pierścieniu Gygesa na dworze króla Candaula stałby się rzeczywistością, spokój publiczny byłby całkowicie zagrożony. Nikt nie byłby już bezpieczny. Skoro Wilhelm Storitz przybył do Ragz i nikt nie mógł go zobaczyć, nie będzie można przeciwstawić się temu, co może jeszcze zrobić, ani nie będzie sposobu obrony przed tym. Czy to nie powód do niepokoju? Czy zachowa on tylko dla siebie tajemnicę wynalazku, którą przekazał mu prawdopodobnie ojciec? Czy jego służący nie będzie z niej również korzystał? A inni czy nie spożytkują tego na własną korzyść? Kto przeszkodzi im odtąd wnikać do cudzych domów, kiedy im na to przyjdzie ochota, i wtrącać się do życia mieszkańców? Czy nie zostanie zburzona intymność rodzin? Aby czuć się bezpiecznie u siebie, trzeba być przekonanym, że jest się samemu, upewnionym, że nikt nie podsłuchuje, że nikt cię nie podgląda. A na zewnątrz, na ulicy, ten wieczny strach, że jest się śledzonym, nie wiedząc o tym, przez kogoś niewidzialnego, kto nie spuszcza z ciebie wzroku i może zrobić z tobą, co zechce!... W jaki sposób ustrzec się od jakiegokolwiek napaści tak łatwej do wykonania? Czy nie byłoby

jakiejś nieważności, tak jakowej do wykonania. Czy nie byłoby to, krótko mówiąc, unicestwienie ładu społecznego?

Przypomniano sobie teraz, co zdarzyło się na rynku Colomana, a czego świadkami byliśmy kapitan Haralan i ja. Tam człowiek został gwałtownie przewrócony, jak mu się zdawało, przez niewidzialnego agresora. Teraz wszystko wskazywało na to, że mężczyzna ów mówił prawdę. Bez wątplenia, był on potrącony przez Wilhelma Storitza, przez Hermanna lub kogoś innego. Każdy z nas sądził, że to samo może przydarzyć się i jemu. Na każdym kroku było się narażonym na podobne spotkania.

Następnie odżyły w pamięci pewne okoliczności, towarzyszące zdzieraniu ogłoszeń z tablicy w Katedrze, oraz odgłos kroków, słyszany w pokojach w czasie rewizji na bulwarze Tékéli, i ta fiolka, która nieoczekiwanie spadła i się rozbiła.

Teraz było jasne, że on tam był i prawdopodobnie Hermann także. A więc wcale nie opuścili miasta po przyjęciu zaręczynowym, tak jak przypuszczaliśmy, i to tłumaczy, skąd wzięła się woda z mydłem w sypialni, a ogień w piecu kuchennym. Tak! — obaj byli obecni w czasie przeszukiwań na podwórzu, w ogrodzie, w domu i uciekając stamtąd przewrócili policjanta stojącego na straży przy schodach. Znaleźliśmy ślubną koronę w belwederze tylko dlatego, że Wilhelm Storitz, zaskoczony rewizją, nie miał czasu ukryć jej lepiej.

Tak samo wydarzenia, których byłem świadkiem w czasie mej podróży „Dorotą”, gdy płynąłem Dunajem z Pesztu do Ragz,

wyjaśniły się teraz. Pasażer, o którym sądziłem, że wysiadł w Vukavarze, przebywał ciągle na pokładzie — tyle że niewidzialny!

Domyślałem się również, że tę niewidzialność musiał uzyskiwać błyskawicznie. Ukazywał się i znikał na własne życzenie, podobnie jak magicy dzięki swej czarodziejskiej pałeczce. Równocześnie z samym sobą mógł czynić niewidzialnym ubranie, które nosił, lecz nie przedmioty trzymane w rękę. Widzieliśmy wszakże kontrakt ślubny i porwany bukiet, unoszącą się koronę i obrączki rzucone w kościele. Jednakże nie może to być ani magia, ani zaklęcia kabalistyczne, ani zamawiania, ani czary. Pozostańmy w kręgu *rzeczy* materialnych. Oczywiście, Wilhelm Storitz musi posiadać formułę jakiejś substancji, którą wystarczy zażyć... Lecz jakiej? Bez wątpienia tej, która była w potłuczonej fiołce i natychmiast wyparowała. Jaka jest recepta na tę substancję — oto czego nie wiemy, a czego powinniśmy się dowiedzieć i czego być może nie poznamy nigdy!...

A czy Wilhelma Storitza, mimo że jest niewidoczny, nie można schwytać? Wyobrażam sobie, że jeśli ukrywa się on przed wzrokiem, to nie przed dotykiem. Jego materialna powłoka nie traci żadnego z trzech wymiarów ciała: długości, szerokości i głębokości. Jest ciągle sobą, człowiekiem z krwi i kości. Niewidzialny, ale dotykalny! Nie można dotknąć duchów, a my nie chcemy mieć do czynienia z duchem!

Jedynie przypadek może pozwolić schwytać za ramiona, nogi lub głowę, gdy się go nie widzi, jednak zrobimy to! I mimo

zdziawiających właściwości, jakie posiada, nie uda mu się przeniknąć przez mury więzienia!

Takie rozumowanie, właściwie do przyjęcia, przeprowadzali prawdopodobnie wszyscy, ale dzięki temu sytuacja nie stawała się mniej niepokojąca, a bezpieczeństwo publiczne mniej zagrożone. Ludzie żyli w trwodze. Nie czuli się już bezpieczni ani na ulicy, ani w domu, w dzień, ni w nocy. Najmniejszy hałas w pokoju, skrzypienie podłogi, stukanie okiennicy poruszanej przez wiatr, skrzyp wiatrowskazu na dachu, brzęczenie owada, świst wiatru w drzwiach lub nie domkniętym oknie — wszystko wydawało się podejrzane. W trakcie codziennej domowej krzątania, przy stole podczas posiłków, w czasie wieczornej modlitwy, w nocnym śnie, zakładając, że sen jest w ogóle możliwy — nie wiedzano nigdy, czy jakiś intruz nie dostał się do domu, czy nie ma tu Wilhelma Storitza lub kogoś innego — szpiegującego wasze kroki, podsłuchującego wasze rozmowy, poznającego wasze najbardziej intymne tajemnice rodzinne.

Niewątpliwie, mogło tak być, że ten Niemiec opuścił już Ragz i powrócił do Sprembergu. Jednakże zastanawiając się głębiej, czy można całkiem rozsądnie przyjąć, że Wilhelm Storitz zakończył już swe nędzne ataki? Byłoby to ostrzeżenie dla doktora i kapitana Haralana, a także gubernatora i szefa policji. Jeśli postanowił wypełnić swe zuchwałe obietniczki, to znaczy, że nie mógł wrócić jeszcze do Sprembergu. A czy nie zechce powtórnie przeszkodzić w ślubie, którego ceremonię przerwał, w przypadku gdyby Myra odzyskała świadomość? Dlaczego miałaby wogłaszać nienawiść. iaka żywi do rodzin Roderichów

— przecież nie osiągnął jeszcze swego celu? Czy groźby, które zabrzmiały w Katedrze, nie dały wymownej odpowiedzi na te pytania?

Tak, ostatnie słowo w tym dramacie nie zostało jeszcze powiedziane i były wszelkie podstawy do obaw, zważywszy środki, jakimi dysponuje ten człowiek dla realizacji swych mściwych zamiarów.

Rzeczywiście, jeśli nawet Willi Roderichów strzec dzień i noc — czy nie będzie się tam mógł dostać? A jak znajdzie się wewnątrz, czy nie będzie mógł robić, co zechce?

Można domyślać się trwogi zarówno tych, którzy trzymali się zaistniałych faktów, jak i tych, którzy pograżyli się w zabobonnej wyobraźni — niewątpliwie przesadnej.

Lecz w końcu — czy istniało jakieś lekarstwo na tę sytuację? Wyznaję, że nie widziałem żadnego. Wyjazd Marka i Myry nic by nie zmienił. Czyż Wilhelm Storitz nie miał mocy, by podążyć bez przeszkód za nimi? Nie mówiąc już o tym, że stan, w jakim znajdowała się Myra, nie pozwalał jej opuścić Ragz.

A gdzie mógł być teraz nasz nieuchwytny wróg? Nikt nie byłby w stanie powiedzieć dokładnie, gdyby nie seria wydarzeń następujących raz za razem nie uwidoczniała nam, że uparł się on przebywać nadal pośród społeczności, której uragał i którą terroryzował bezkarnie.

Już pierwszy z tych wypadków przepelił miarę rozpaczy. Upłynęły dwa dni od strasznej sceny w kościele Świętego Michała bez żadnej poprawy zdrowia Myry, która ciągle była

nieprzytomna, przykuta do łózka, ciągle między życiem a śmiercią. Dzisiaj był czwarty czerwca. Cała rodzina Roderichów, w tym także mój brat i ja, zebrała się po obiedzie w galerii. Dyskutowaliśmy z ożywieniem, jak dalej postępować, gdy wybuch śmiechu, naprawdę satanicznego, wypełnił nasze uszy.

Zerwaliśmy się przerażeni. Marc i kapitan Haralan, z szalem w oczach, rzucili się natychmiast w stronę tej części galerii, skąd zdawał się dochodzić ten straszliwy śmiech. Ale już po kilku krokach zostali zatrzymani. Wszystko wydarzyło się w ciągu dwóch sekund. W ciągu tych dwóch sekund dostrzegłem jak błyskawicę — błyszczącą klingę zakreślającą zbrodniczy łuk, dostrzegłem chwiejącego się brata i kapitana Haralana chwytającego go w swe ramiona...

Pośpieszyłem im na pomoc, a w tym samym momencie jakiś głos — głos ten znaleźmy już wszyscy! — wykrzyknął z nieokiełznaną wolą:

— Nigdy Myra Roderich nie będzie żoną Marka Vidala!...
Nigdy!

Zaraz potem gwałtowny podmuch powietrza zakołysał żyrandolami, drzwi do ogrodu gwałtownie otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem, a my pojeliśmy, że nasz nieprzejednany wróg jeszcze raz nam umknął.

Z kapitanem Haralanem położyliśmy mego brata na tapczanie, a doktor Roderich zbadał jego ranę. Na szczęście nie była groźna. Ostrze szyletu ześliznęło się po lewej łopatce z góry na dół i wszystko skończyło się długą ciętą raną, która na pierwszy rzut oka wyglądała groźnie, ale być może zagoi się w

kilka dni. Tym razem morderca chybił celu. Czy tak będzie zawsze?

Marc został opatrzony i przewieziony do hotelu Temesvar, a ja zająłem miejsce u jego wezglowia. Czuwając tu rozważałem problem postawiony mej przenikliwości, a który należało rozwiązać za wszelką cenę wobec groźby śmierci istot tak mi drogich.

Muszę wyznać, że nie zrobiłem nawet pierwszego kroku na drodze do poszukiwanego rozwiązania, gdy przeżyliśmy inne zdarzenia, nie tak dramatyczne jak poprzednie, raczej dziwaczne i niedorzeczne, które jednak dały mi dużo do myślenia.

Wieczorem tego samego dnia, 4 czerwca, jakieś bardzo silne światło, widziane z placu Kurzta i rynku Colomana, ukazało się w najwyższym oknie wieży. Płomień to obniżał się, to podnosił, poruszał się — jakby ktoś chciał podpalić ratusz.

Szef policji wraz z obecnymi policjantami wypadli z posterunku i błyskawicznie znaleźli się na szczycie wieży. Światło zniknęło, i jak przypuszczał zresztą od początku pan Stepark, nie znaleziono nikogo. Na podłodze dogasało łuczywo, z którego rozchodził się swąd, a płonące krople żywicy toczyły się jeszcze po dachu — lecz podpalacz znikł. Albo osobnik — powiedzmy Wilhelm Storitz — *zdążył* uciec, albo zaczął się, niewidzialny, w jakimś zakątku wieży.

Tłum zebrany na placu wołał o pomstę do nieba, z czego śmiał się zapewne złoczyńca.

Nazajutrz rano nowa fanfaronada rzuciła strach na całe miasto.

Wybiła właśnie dziesiąta trzydzieści, gdy zabrzmiało złowieszcze bicie dzwonów żałobnych, coś w rodzaju alarmu na trwozę.

Jeden człowiek nie mógł wprawić w ruch mechanizmu dzwonnicy w Katedrze. Wilhelm Storitz musiał mieć współników, co najmniej jednego — swego służącego Hermanna.

Mieszkańcy zebrali się tłumnie na placu Świętego Michała, przybiegając nawet z odległych dzielnic, gdzie ten trwożliwy alarm wywołał przerażenie.

Pan Stepark i policjanci interweniowali ponownie. Znaleźli się niebawem na schodach wieży północnej, wbiegli szybko na górę, gdzie wisiały dzwony, światło dnia dostawało się obficie przez okapy...

Lecz na próżno sprawdzali podest wieży i galerię powyżej... Nikogo! Nikogo!... Gdy policjanci zbliżali się do coraz wolniej kołyszających się dzwonów, niewidzialni dzwonnicy już się rozplynęli w powietrzu.

XIV

Tak więc moje obawy sprawdziły się. Wilhelm Storitz nie opuścił miasta i dostał się bez przeszkód do domu Roderichów. Jedynie jego cios był chybiony. Nie ma jednak żadnej gwarancji na przyszłość. Co próbował zrobić bez powodzenia za

pierwszym razem, niewątpliwie uczyni ponownie, być może z lepszym skutkiem. A więc najważniejsze, teraz, to ustalić plan postępowania, który uchroniłby nas przed dalszymi atakami tego nikczemnika.

Opracowanie takiego planu nie było dla mnie niczym trudnym. Postanowiłem przede wszystkim zebrać wszelkie zagrożone w jakikolwiek sposób osoby i zorganizować taki system obrony, aby nikomu nie udało się do nich zbliżyć. Rozważałem sumiennie sposoby osiągnięcia takiego doskonałego stanu, a kiedy je znajdę, bez zwłoki wprowadzę w życie.

Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin po zamachu, rankiem 6 czerwca brat mój, którego całkiem powierzchowna rana zasklepiła się już, został przewieziony do domu Roderichów i położony w pokoju obok Myry. Po dokonaniu tego przedstawiłem mój plan doktorowi. Zaaprobował go całkowicie i dając mi *carte blanche* uznał mnie od tej chwili za kogoś w rodzaju komendanta oblężonej twierdzy.

Natychmiast zrobiłem użytek ze swej władzy. Zostawiwszy jednego tylko służącego na straży Marka i Myry — musiałem ponieść takie ryzyko! — rozpocząłem skrupulatną i metodyczną rewizję posiadłości. Pomagali mi w tym jej mieszkańcy — również kapitan Haralan i pani Roderich, która musiała na moje polecenie opuścić miejsce u węgłowa córki.

Rozpoczęliśmy od strychu. Trzymaliśmy się pod rękę i przeczesaliśmy go od wejścia aż po najdalszy kąt. Następnie w ten sam sposób, to znaczy nie pozostawiając żadnej przerwy

między nami, tak by żadna ludzka istota nie mogła się prześliznąć, przeszukaliśmy wszystkie pomieszczenia nie zapominając o najmniejszym zakamarku. Nie trzeba dodawać, że podnosiliśmy wszystkie firanki i zasłony, przesuwaliśmy fotele, zaglądaliśmy pod łóżka i do szaf — cały czas nie tracąc kontaktu między sobą. Po sprawdzeniu każdej izby drzwi jej były zamykane na klucz, który przekazywano mnie.

Praca ta trwała ponad dwie godziny, lecz wreszcie skończyliśmy ją i dotarliśmy do drzwi frontowych. Teraz byliśmy pewni, bezwzględnie pewni, fizycznie pewni, że nikt obcy nie mógł się ukryć w willi. Drzwi wejściowe zostały zaryglowane, a klucz schowałem do kieszeni. Odtąd nikt nie wejdzie bez mej zgody i poprzysiągłem sobie zrobić wszystko, ażeby żadnemu intruzowi, nawet po stokroć niewidzialnemu, nie udało się wśliznąć niepostrzeżenie wraz z gościem rozpoznanym przeze mnie i posiadającym moje zezwolenie.

Od tej chwili jedynie ja sam odpowiadałem na stukanie kołatki. Ażeby skutecznie wypełnić swą rolę portiera, za pomocnika wziąłem kapitana Haralana, a w czasie jego nieobecności — zaufanego służącego. Uchylałem ostrożnie drzwi, i podczas gdy mój wspólnik trzymał je od wewnątrz, przeciskałem się przez szparę i zamykałem drzwi od zewnątrz. Gdy gość został przyjęty, cała trójka, ściśnięta jedno obok drugiego, cofała się, a drzwi powoli się zamykały.

W ten sposób zapewniliśmy sobie pełne bezpieczeństwo w tym domu przemienionym w fortecę.

Już słysze watliwości. Iakie można mieć do tego. co

powiedziałem powyżej, uznaję je w pełni. Tak, nasza willa zasługiwała raczej na nazwę więzienia niż fortecy. To prawda, jak również i to, że uwięzienie jest do zniesienia, gdy nie ciągnie się w nieskończoność. Lecz jak długo będzie trwało nasze? Tego nie wiedziałem.

W rzeczy samej, ani na moment nie przestawałem rozmyślać o naszym osobliwym położeniu. Byłem przekonany, że bez rozwiązania niezwyklej tajemnicy Wilhelma Storitza nie uczynię żadnego postępu na tej drodze.

Wydaje mi się, że jest tu niezbędnych kilka słów wyjaśnienia, być może nieco nużących.

Jeśli rzucić wiązkę promieni słonecznych na pryzmat, rozkłada się ona, jak wiadomo, na siedem kolorów, które w sumie dają światło białe. Kolory te — fioletowy, indygo, niebieski, zielony, żółty, pomarańczowy, czerwony — stwarzają „widmo słoneczne”. Lecz może być, że ten zestaw kolorów widzialnych jest tylko częścią pełnego widma. Mogą istnieć inne kolory niedostępne naszym zmysłom, a dlategoż te promienie, obecnie jeszcze nie znane, nie mogłyby mieć własności całkowicie odmiennych od tych, które znamy? A więc gdy te potrafią przechodzić jedynie przez niektóre ciała stałe, na przykład szkło, dlaczego drugie nie potrafiłyby przechodzić przez wszystkie bez różnicy ciała materialne?*

Gdyby sprawy tak się przedstawiały rzeczywiście, nie byłibyśmy tego świadomi, gdyż nasze zmysły nie są wrażliwe na te promienie, zakładając, że takie istnieją. Mogło się tak zdarzyć, że Otto Storitz odkrył był

promienie posiadające taką moc. Oraz opracował wzór substancji, która wprowadzona do organizmu miałaby zdolność rozprzestrzeniania się po jego powierzchni, a jednocześnie powodowałaby zmiany właściwości różnych promieni zawartych w widmie słonecznym. Przy takim założeniu wszystko dałoby się wyjaśnić. Światło, które pada na powierzchnię nieprzezroczystego ciała nasyconego tą substancją, rozkłada się, a promienie składające się na widmo, zamieniają się wszystkie bez wyjątku na to nieznanne promieniowanie, którego istnienie podejrzewałem. Promieniowanie to przenika więc bez przeszkód przez ciało, a następnie w momencie opuszczenia go podlega przemianie w odwrotnym kierunku przyjmując pierwotne formy.

Od czasu napisania tego rękopisu odkrycie promieni podczerwonych i nadfioletowych potwierdziło częściowo tę hipotezę (przyp. autora).

W ten sposób sugeruje naszym oczom, jakoby ciało nieprzezroczyste nie istniało.

Bez wątpienia wiele punktów pozostaje niejasnych. Jak wytłumaczyć to, że nie widać również odzienia Wilhelma Storitza, a jednocześnie przedmioty, które trzyma on w ręku, pozostają widzialne?

Poza tym, co to za substancja, którą byłaby zdolna wytwarzać tak nieprawdopodobne efekty? Ja takiej nie znałem i doprawdy była to wielka szkoda, gdyż gdybym ją znał, mógłbym jej użyć jako tej samej broni, do walki z naszym wrogiem. Lecz mimo wszystko czy nie można go będzie pokonać bez tego awantażu? Zastanawiałem się również nad takim pytaniem: czy ta

substancja, jakakolwiek jest, działa przejściowo, czy stale? W pierwszym przypadku Wilhelm Storitz musiałby zażywać nowe dawki w krótszych lub dłuższych odstępach czasu. W drugim — byłby bezwzględnie zmuszony zniweczyć czasami działanie mikstury przez jakąś substancję przeciwstawną, rodzaj odtrutki, gdyż w pewnych okolicznościach niewidzialność może stanowić nie przewagę, lecz wyraźną przeszkodę. W obu przypadkach Wilhelm Storitz byłby zmuszony albo zażyć wcześniej na zapas odpowiednią ilość mikstury, lub posiadać ją przy sobie, a nie mógł przecież mieć jej w nieograniczonych ilościach.

Po ustaleniu takiego punktu wyjściowego zastanawiałem się, jaki sens miało bicie dzwonów oraz gwałtownie wzniesiony ogień. Nie miało to żadnego sensu. Było nielogiczne, co miałem okazję już stwierdzić. Można jedynie dojść do wniosku, że Wilhelm Storitz, odurzony mocą, którą sobie przypisywał, zaczął zachowywać się bezsensownie i staczał się ku szaleństwu. Byłaby to okoliczność sprzyjająca, a analiza faktów czyni ją prawdopodobną.

Pan Stepark przyznał rację takiemu rozumowaniu. Podzieliłem się z nim swymi przypuszczeniami i zdecydował, że dom na bulwarze Tékéli będzie strzeżony dzień i noc przez kordon policjantów lub żołnierzy — w taki sposób, aby jego właściciel nie miał żadnych możliwości dostania się tam. Tym samym będzie pozbawiony swego laboratorium i zapasu tajemniczej substancji, gdyby takowa została odnaleziona. Zostałby więc skazany siłą rzeczy na to, że prędzej czy później przybierze postać ludzką lub pozostanie wiecznie niewidzialny,

co mogłoby się stać dla niego dużą niedogodnością. Gdyby hipoteza rozwijającego się szaleństwa została potwierdzona, to bez wątpienia przez przeszkody stawiane obląkanemu szaleństwo to byłoby jeszcze zaostrzone. Wtedy mógłby być mniej ostrożny, co rozbroiłoby go wobec nas.

Pan Stepark nie czynił żadnych przeszkód w spełnieniu naszych żądań. Sam również już myślał, co prawda z innych powodów, o otoczeniu domu Wilhelma Storitza. Chciał w ten sposób uspokoić w pewnym stopniu miasto, zwykle tak spokojne i szczęśliwe, że wzbudzające zazdrość innych miast madziarskich, a obecnie wzburzone ponad wszelkie wyobrażenia. Najtrafniej mógłbym porównać je z miastem w oblężonym kraju, żyjącym w ciągłym lęku przed bombardowaniem, w którym każdy mieszkaniec zastanawia się, gdzie spadnie kula armatnia i czy jego dom nie zostanie zniszczony jako pierwszy.

Jakże nie obawiać się Wilhelma Storitza, skoro nie opuścił on miasta, a także postarał się o to, by dać się poznać wszystkim?

W siedzibie Roderichów sytuacja była jeszcze poważniejsza. Nieszczęsna Myra nie odzyskała do tej pory świadomości. Wymawiała jedynie słowa bez związku, błędne oczy nie zatrzymywały się na nikim. Nie słyszała nas. Nie rozpoznawała ani swej matki, ani Marka. Tenże mógł już wkrótce towarzyszyć pani Roderich u wezłowania chorej — w tym panińskim pokoju, tak radosnym poprzednio, a smutnym obecnie. Czy było to przejściowe szaleństwo, szok nad którym zatriumfują leki? Czy

przejściowe szaleństwo, szok, nad którym zamyśliła pani: Czy też obłąd nieuleczalny? Kto mógłby to orzec?

Była tak słaba, jakby opuściła ją wszelka chęć życia. Leżąc nieruchomo na swym łóżku czasami jedynie próbowała poruszyć ręką. Można się zastanawiać, czy w ten sposób nie próbuje rozerwać zasłony nieświadomości, która ją otaczała, czy nie chce czegoś przekazać. Marc wtedy pochylał się nad nią, mówił do niej, starał się odnaleźć odpowiedź na jej ustach, jakiś znak w oczach... Lecz oczy pozostawały zamknięte, a ręka, ledwie uniesiona, szybko opadała.

Pani Roderich trzymała się jedynie dzięki nadzwyczajnej sile ducha. Pozwalała sobie tylko na kilka godzin odpoczynku i to dlatego, że zmuszał ją do tego mąż. Sen jej, zakłócany przedziwnymi koszmarami, przerywał najmniejszy hałas. Wydawało się jej, że ktoś chodzi po pokoju. Mimo poczynionych zabezpieczeń wmawiała sobie, że on, ten nieuchwytny i niewidzialny wróg, jest tutaj, że dostał się do willi, że krąży wokół córki!... Zrywała się przestraszona i uspokajała się nieco dopiero widząc doktora lub Marka czuwających u wezłowia Myry. Gdyby sytuacja taka miała się przedłużyć, na pewno długo nie sprostałaby jej.

Każdego dnia wielu kolegów doktora przychodziło na konsultacje. Badając chorą długo i skrupulatnie nie mogli znaleźć przyczyny tego umysłowego bezładu. Brak jakiegokolwiek reakcji, brak oznak przesilenia. Tak, obojętność na cały zewnętrzny świat, całkowita nieświadomość, śmiertelny spokój, wobec których medycyna pozostaje bezsilna.

Mój brat, odkąd udało mu się stanąć, na nogi, co nastąpiło po trzech dniach, nie opuszczał pokoju Myry. Ja natomiast tylko wtedy byłem nieobecny w willi, gdy musiałem udać się do Ratusza. Pan Stepark przekazywał mi wszystko, o czym mówiono w Ragz. Od niego dowiedziałem się, że ludność, była w najwyższym stopniu zaniepokojona. W pobudzonej wyobraźni to już nie tylko Wilhelm Storitz, lecz cały zastęp niewidzialnych, utworzony przez niego, zagrażał piekielnymi machinacjami bezbronnemu miastu.

Kapitan Haralan odwrotnie, przebywał najczęściej poza naszą fortecą. Opętany zapewne jakąś *idée fixe* krążył nieustannie po ulicach. Nie prosił, abym mu towarzyszył. Czyżby nosił się z jakimś zamiarem i obawiał się, ażebym nie odwiódł go od tego? Czyżby liczył na jakiś nieprawdopodobny przypadek, że spotka Wilhelma Storitza? Czy może oczekiwał na sygnał, że pojawił się w Sprembergu lub w innej okolicy i chciał go tam dopaść? Na pewno więcej nie próbowałbym go powstrzymać. Przeciwnie, towarzyszyłbym mu i pomógł uwolnić nas od tego zbrodniarza.

Lecz czy można było liczyć się z takim przypadkiem? Na pewno nie, ani w Ragz, ani gdzie indziej.

Wieczorem 11 czerwca odbyłem długą rozmowę z moim bratem. Wydał mi się bardziej przygnębiony niż zwykle i zacząłem obawiać się, aby nie zapadł na jakąś poważną chorobę. Należałoby go wywieźć z tego miasta, zabrać do Francji, lecz za nic nie zgodziłby się odłączyć od Myry. Jednakże czy nie było możliwe, aby cała rodzina Roderichów opuściła

Ragz na jakiś czas? Czy nie warto zastanowić się nad takim rozwiązaniem? Postanowiłem porozmawiać o tym z doktorem.

Tegoż dnia, kończąc naszą rozmowę, powiedziałem do Marka:

— Mój biedny bracie, widzę, że tracisz wszelką nadzieję. Źle robisz. Życiu Myry nie zagraża niebezpieczeństwo, co do tego lekarze są zgodni. Jeśli straciła zmysły, to tylko przejściowo, wierz mi. Odzyska swój rozum, powróci do siebie, do ciebie, do swych bliskich...

— Chcesz, żebym nie rozpacział — odpowiedział mi Marc głosem przerywanym łkaniem. — Lecz gdy nawet moja biedna Myra odzyska przytomność, czy nie będzie ciągle na łasce tego potwora? Czy sądzisz, że jego nienawiść nasyciła się tym, co dotąd uczynił? A jeśli swą zemstę zechce posunąć dalej?... A jeśli zechce?... Zrozum mnie, Henryku... On może wszystko, a my jesteśmy bezbronni.

— Nie — krzyknąłem — nie, Marku! Trzeba go pokonać.

— Ale jak? ... W jaki sposób? — podjął Marc jakby się ożywiając. — Nie, Henryku, nie mówisz tego, co myślisz. Nie! Nie mamy możliwości obrony przed tym nędznikiem. Nie możemy się wymknąć z więzienia, w którym nas zamknął. I nikt nie może zaręczyć, że nie uda mu się wniknąć do willi.

Wzburzenie Marka nie pozwalało mi na odpowiedź. Słyszał tylko siebie. Ujmując mnie za rękę, dorzucił:

— Kto ci zapewni, że w tej chwili jesteśmy sami? Gdy przechodzę z pokoju do pokoju, do salonu, do galerii, mam wrażenie, że mi towarzyszył. Wydaje mi się, że ktoś ponosza

widzenie, że nie dowiedział się... Wygląda na to, że ktoś porusza się obok mnie... Ktoś mnie omija... cofa się, gdy ja idę do pokoju... i znika, gdy chcę go schwytać...

Mówiąc urywaniem głosem, Marc to cofał się, to posuwał naprzód, jak ściągany przez niewidzialną istotę. Nie wiedziałem, co zrobić, by go uspokoić. Najlepiej byłoby zabrać go stąd, zawieść daleko, bardzo daleko...

— Kto wie — podjął — czy nie podsłuchał wszystkiego, co przed chwilą mówiliśmy? Sądzimy, że jest daleko, ale być może jest właśnie tutaj. Spójrz!... Słyszę kroki za tymi drzwiami... On tam jest... Biegnijmy tam!... Uderzmy na niego!... Zabijmy!... Lecz czy to jest możliwe?... Czy śmierć ma władzę nad takim potworem?

Oto do czego doszedł mój brat! Czy nie można było obawiać się, że w czasie jednego z podobnych ataków umysł jego popadnie w obłąd, tak jak się to stało z Myrą?

Dlaczego Otto Storitz musiał dokonać tego przekłętego wynalazku? Dlaczego musiał dać do ręki taką broń człowiekowi i tak już pełnemu zła!

Sytuacja w mieście nie poprawiała się. Dobrze chociaż, że nie wydarzył się żaden nowy wypadek, odkąd Wilhelm Storitz, można rzec, krzyknął z wieży: „Jestem tutaj!” Strach opanował całą ludność. Nie było domu, w którym by nie wierzono, że jest nawiedzony przez niewidzialnego. Nawet kościoły po tym, co wydarzyło się w Katedrze, nie dawały bezpiecznego schronienia. Władze na próżno starały się temu zaradzić, nie udało się im to, gdyż nie ma sposobu przeciwko przerażeniu.

Oto jedno zdarzenie spośród stu innych, które pokazuje, do jakiego stopnia doszło wzburzenie umysłów.

Rankiem 12 czerwca opuściłem posiadłość, aby udać się do szefa policji. Wychodząc z ulicy Księcia Miłosza, dwieście kroków przed placem Świętego Michała dostrzegłem kapitana Haralana. Podszedłem do niego.

— Idę do pana Steparka — powiedziałem. — Czy będzie mi pan towarzyszył, kapitanie?

Nic mi nie odpowiadając, odruchowo, poszedł w tym samym kierunku co ja. Zbliżyliśmy się do placu Kurtza, gdy dały się słyszeć jakieś przeraźliwe krzyki.

Jakaś bryczka zaprzęzona w dwa konie pędziła ulicą z dużą szybkością. Przechodnie odskakiwali na prawo i lewo. Pewnie woźnica spadł na ziemię, a konie, pozostawione same sobie, poniosły.

I wyobraźcie sobie, co za pomysł przyszedł do głowy kilku przechodniom, nie mniej podnieconym niż zaprzęg — że pojazdem kieruje jakaś istota niewidzialna, że to Wilhelm Storitz trzyma lejce.

— To on... to on! — taki krzyk dotarł do nas.

Nie zdążyłem się nawet odwrócić do kapitana Haralana, gdy już nie było go przy mnie. Dostrzegłem go biegnącego naprzeciw bryczce, z widocznym zamiarem zatrzymania jej w chwili, gdy będzie go mijała.

O tej porze ulica była zatłoczona. Imię Wilhelma Storitz rozlegało się ze wszystkich stron. Na rozpędzony zaprzęg posypały się kamienie. Takie było ogólne podniecenie, że ze

sklepu położonego na rogu ulicy Księcia Miłosza rozległy się strzały.

Jeden z koni padł trafiony kulą w goleń. Pojazd, uderzając w ciało zwierzęcia, przewrócił się.

Natychmiast dopadł go tłum, chwycono za koła, skrzynię i dyszel. Setki rąk wyciągnęło się, by schwytać Wilhelma Storitzę... Ale pozostały puste.

Czyżby niewidzialnemu woźnicy udało się wyskoczyć z bryczki, zanim ta się przewróciła? Nikt nie wątpił, że chciał on jeszcze raz przestraszyć miasto.

Trzeba przyznać, że tym razem to nie był on. Wkrótce nadbiegł jakiś wieśniak z puszy, którego konie, pozostawione na rynku Colomana, poniosły w czasie jego nieobecności. W jakież wpadł gniew, gdy zobaczył jednego konia leżącego na ziemi! Ale nie chciano go słuchać i tłum bez wątpienia zmasakrowałby tego biednego człowieka, gdyby nie udało nam się, co prawda z trudem, obronić go przed tymi zaślepionymi szaleńcami.

Pociągnąłem kapitana Haralana, który bez słowa towarzyszył mi do Ratusza.

Pan Stepark wiedział już, co zaszło na ulicy Księcia Miłosza.

— Miasto jest przerażone — powiedział nam — i nie można przewidzieć, do czego to przerażenie doprowadzi.

Zapytałem go jak zwykle:

— Czy dowiedział się pan czegoś nowego?

— Tak — odrzekł pan Stepark — poinformowano mnie, że widziano Wilhelma Storitzę w Sreńberou.

— W Sprembergu!... wykrzyknął kapitana Haralan zwracając się ku mnie. — Jedziemy! Pan mi obiecał!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, gdyż byłem pewien daremności takiej podróży.

— Niech pan zaczeka, kapitanie — wtrącił pan Stepark. — Prosiłem w Sprembergu o potwierdzenie tej wiadomości i oczekuję w każdej chwili kuriera.

Nie upłynęło pół godziny, gdy ordynans doręczył szefowi policji list przywieziony przez pędzącego co koń wyskoczy gońca. Poprzednia wiadomość opierała się na nie sprawdzonych plotkach. Nie tylko nie stwierdzono obecności Wilhelma Storitza w Sprembergu, lecz były podstawy, aby sądzić, że wcale nie opuścił Ragz.

Znów upłynęły dwa dni, w czasie których nie zaszła żadna zmiana w stanie Myry Roderich. Natomiast mój brat wydawał mi się bardziej spokojny. Oczekiwałem rozmowy z doktorem na temat wyjazdu i miałem nadzieję, że przekonam go do tego projektu.

Dzień 14 czerwca był jeszcze bardziej niespokojny niż poprzednie. Władze tym razem poczuły się już niezdolne do uspokojenia tłumu doprowadzonego do takiego stopnia podniecenia.

Około godziny jedenastej, gdy spacerowałem właśnie po bulwarze Batthyani, takie okrzyki doszły moich uszu:

— On powrócił... on powrócił!...

Kim był „on”, nie trzeba było zgadywać. A oto co

powiedzieli mi najbliżsi przeciwnie:

— Przed chwilą widziano dym z komina domu! — rzekł jeden.

— Widziano jego postać za firankami belwederu! — dodał drugi.

Bez względu na wiarygodność tych słów, nie zastanawiając się, ruszyłem w stronę bulwaru Tékéli.

Czy może być jednak prawdopodobne, by Wilhelm Storitz pokazał się tak nieostrożnie? Nie mógł przecież nie wiedzieć, co go czeka, kiedy wpadnie w ręce tłumu.

I dlaczego zdecydował się na takie ryzyko, gdy nic go do tego nie zmuszało? I pozwolił się dostrzec w jednym z okien swej posiadłości?

Na efekty tej wiadomości, prawdziwej lub fałszywej, nie trzeba było długo czekać. Gdy dotarłem tam, kordon policji na próżno próbował powstrzymać wielotysięczny tłum otaczający dom od strony bulwaru i dookolnej drogi. Ze wszystkich stron nadbiegały grupy mężczyzn i kobiet, podnieconych w najwyższym stopniu i żądnych krwi.

Na cóż mogły się zdać argumenty wobec tego przekonania, może nierozumnego, ale tak mocno zakorzenionego, że on tam jest, „on” — i być może z całą bandą niewidzialnych współników? Co mogła policja przeciw niezliczonemu tłumowi, który otoczył przeklęty dom tak ciasno, że Storitzowi, gdyby tam był zamknięty, nie udało się uciec? Poza tym, jeśli widziano Wilhelma Storitza w oknach belwederu, to znaczy, że przybrał postać materialną. I zanim zdoła się uczynić

niewidzialnym, będzie ujęty i tym razem nie umknie zemście gawiedzi.

Mimo oporu policjantów, mimo wysiłków szefa policji, ogrodzenie zostało sforsowane, dom opanowany, drzwi wyważone, okna wyrwane, meble wyrzucone do ogrodu i na podwórze, aparaty z laboratorium potrzaskane w kawałki. A potem z parteru strzeliły płomienie, osiągnęły wyższe piętro, zawirowały ponad dachem i wkrótce belweder pograżył się w ogniu.

Tymczasem na próżno szukano Wilhelma Storitza w domu, na dziedzińcu, w ogrodzie. Nie było go nigdzie i, co więcej, było rzeczą niemożliwą odnalezienie go w tych warunkach.

Budynek, podpalony w wielu miejscach, wkrótce przestał istnieć. Po godzinie pozostały jedynie opalone mury.

Być może dobrze się stało, że został zniszczony. Kto wie, czy nie spowoduje to uspokojenia umysłów, gdy społeczność Ragz uwierzy, że Wilhelm Storitz, będąc w tym czasie niewidzialnym, zginął w płomieniach?

XV

Wydawało się, że po zniszczeniu domu Storitza wzburzenie w Ragz nieco się zmniejszyło. Miasto było spokojniejsze. Tak jak przypuszczałem, część mieszkańców była skłonna wierzyć, że „czarownik” znajdował się rzeczywiście w swej posiadłości, od tej została opanowana przez tłum i że zginął w płomieniach

gdy w czasie spalowania przez dym, tak zginęła w płomieniu.

Jednakże prawda jest taka, że kiedy usunięto gruzy i przetrząsnięto popioły, nie znaleziono nic, co mogłoby usprawiedliwić taką opinię. Jeśli Wilhelm Storitz był w czasie pożaru, to musiał być w takim miejscu, w którym płomień go nie dosięgły.

Tymczasem z nowych listów ze Spremberga wynikało, że nie pokazał się tam, że nie zauważono również jego służącego Hermanna oraz nikt nie wiedział, gdzie mogli się schronić.

Niestety, spokój, który zaczął powracać do miasta, nie dotarł do willi Roderichów. Stan umysłu naszej biednej Myry nie poprawił się w najmniejszym stopniu. Nieprzytomna, nie reagująca na żadne zabiegi lekarskie, których" jej nie szczędzono, nie rozpoznawała nikogo. Co gorsza, nawet lekarze nie ośmielili się dawać większej nadziei.

Jednakże mimo że ciągle była w bardzo ciężkim stanie, jej życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Pozostawała wyciągnięta na łóżku, prawie nieruchoma, śmiertelnie blada. Jeśli próbowano ją unieść — pierś wypełniał jej szloch, w oczach malował się strach, ramiona opadały, słowa bez związku wydostawały się z ust. Czyżby więc wracała jej pamięć? Czyżby w zmęczonym umyśle roily się sceny z katedry? Słyszała może ponownie groźby rzucone jej i Markowi? Byłoby to pożądane i znaczyłoby, że jej umysł zachował pamięć przeszłości.

Widać z tego, jaka była egzystencja tej nieszczęśliwej rodziny. Brat mój nie opuszczał willi. Przebywał ciągle obok Myry, razem z doktorem i panią Roderich, karmiąc po

odrobincie, usiłując bez przerwy odnaleźć w jej spojrzeniu jakieś światełko zrozumienia.

Po południu 16 czerwca wałęsałem się samotnie, bez celu, ulicami miasta. Wpadłem na pomysł, by przejść na prawy brzeg Dunaju. Była to wyprawa już dawno przewidywana, tylko okoliczności nie pozwoliły mi na jej realizację. Zresztą nie starałem się zbytnio o to. Skierowałem się więc w stronę mostu, przeszedłem wyspę Svendor i postawiłem stopę na ziemi serbskiej.

Mój spacer przedłużył się bardziej, niż zamierzałem. Zegary wybiły dwa kwadranse na ósmą, gdy po zjedzeniu kolacji w nadbrzeżnej serbskiej oberży znalazłem się ponownie na moście. Nie wiem, skąd mi przyszedł go głowy taki kaprys, że zamiast wrócić prosto do domu, przebyłem jedynie pierwszą część mostu i skierowałem się ku głównej alei Svendpr.

Ledwie uszedłem kilka kroków, gdy dostrzegłem pana Steparka. Był sam, podszedł do mnie i wdaliśmy się w rozmowę na temat nieustannie zajmujący nas obu.

Spacer nasz trwał chyba ze dwadzieścia minut, gdy dotarliśmy do północnego krańca wyspy. Zaczęła zapadać noc, gęstniał zmrok pod drzewami i w pustych alejach. Kioski były już pozamykane i nie spotkaliśmy żywej duszy.

Była już pora wracać do Ragz i tak też postanowiliśmy, gdy jakieś słowa dotarły do naszych uszu.

Natychmiast zatrzymałem się, powstrzymując również za rękę pana Steparka i nachylając się ku niemu wyszeptalem:

— Niech pan posłucha!... Tam ktoś rozmawia... a ten głos...

to głos Wilhelma Storitza!...

— Wilhelma Storitza! — powtórzył szef policji tym samym tonem.

— Tak.

— Chyba nas nie dostrzegł.

— Nie, noc wyrównuje szansę i nas również czyni niewidzialnymi.

Tymczasem nadal słyszeliśmy ten niewyraźny głos, a raczej głosy, gdyż było na pewno dwóch rozmówców.

— On nie jest sam — wyszeptał pan Stepark.

— Tak... Prawdopodobnie ze swym służącym. Schylając się nisko nad ziemią skryliśmy się w krzakach.

Być może, dzięki ciemności, która nas chroniła, uda nam się zbliżyć tak do rozmawiających, aby słyszeć nie będąc widzianym.

Wkrótce znaleźliśmy się ukryci o około dziesięć kroków od miejsca, gdzie powinien znajdować się Wilhelm Storitz. Naturalnie nie widzieliśmy nikogo, lecz słyszeliśmy rozmowę i nie stanowiło to dla nas żadnego zaskoczenia.

Nigdy dotąd nie nadarzyła się taka okazja, aby dowiedzieć się, gdzie zamieszkał nasz nieprzyjaciel po spaleniu jego domu, by poznać, co zamierza, i zawładnąć jego osobą.

Nie mógł podejrzewać, że jesteśmy tu, z nadstawionymi uszami, ukryci wśród gałęzi, ledwie ośmielając się oddychać. Słuchaliśmy z niesamowitą emocją wymiany zdań, bardziej lub mniej zrozumiałych, w zależności od tego, czy pan i służący oddalali się, czy przysbliżali przechadzając się wzdłuż zarośli.

A oto pierwsze zdanie, wypowiedziane przez Wilhelma Storitza, które dotarło do nas:

— Czy możemy się tam udać już jutro?...

— Tak, już jutro — odpowiedział jego niewidzialny rozmówca, służący Hermann według wszelkiego prawdopodobieństwa — i nikt nie będzie wiedział, kim jesteśmy.

— Kiedy wróciłeś do Ragz?

— Dzisiaj rano.

— Dobrze... A ten dom jest wynajęty?...

— Na fałszywe nazwisko.

— Jesteś pewien, że możemy tam zamieszkać na oczach wszystkich, że nie jesteśmy znani w...

Nazwy miasta, którą wymienił Wilhelm Storitz, ku naszemu ogromnemu żalowi nie mogliśmy dosłyszeć. Jednak ze słów, które dotarły do naszych uszu, wynikało, że nasz przeciwnik prędzej czy później ma zamiar przybrać ludzką postać. Dlaczego chciał popełnić taką nieostrożność? Przypuszczam, że jego niewidzialność nie mogła być utrzymana ponad określony czas bez szkody dla zdrowia. Przyjąłem takie wyjaśnienie, które wydawało mi się prawdopodobne, ale którego dotąd nie miałem możliwości sprawdzić.

Gdy głosy ponownie się zbliżyły, słyhać było Hermanna, kończącego rozpoczęte zdanie:

— Policja z Ragz nie odnajdzie nas tam pod tymi nazwiskami.

Policja z Ragz? Dłubki to więc i czarne miasto wędralic

roncja z kagz?... Byłoby to więc jeszcze miasto węgierskie, gdzie chcieli zamieszkać?

Następnie odgłos kroków ucichł, obaj oddalili się, co pozwoliło panu Steparkowi zauważyć:

— Co za miasto?... jaka nazwa?... Oto czego należy się dowiedzieć.

Zanim miałem czas, by mu odpowiedzieć, dwaj rozmówcy znów się przybliżyli i zatrzymali o kilka kroków od nas.

— Czy ta podróż do Sprembergu — zapytywał Hermann — jest absolutnie konieczna?

— Oczywiście, ponieważ tam mam ulokowany kapitał. Zresztą, tutaj nie mógłbym się pokazać bezkarnie. Tymczasem tam..

— Czy ma pan zamiar ukazać się we własnej osobie?

— A czy jest sposób, by tego uniknąć?... Sądzę, że nikt nie wypłaci nie widząc odbiorcy.

A więc stało się to, co przewidywałem. Storitz znalazł się w jednej z tych sytuacji, gdzie niewidzialność przestała być przewagą. Brakowało mu pieniędzy i aby zaopatrzyć się w nie, będzie musiał zrezygnować ze swej tajemnej mocy.

Tymczasem kontynuował:

— Najgorsze, że nie wiem, jak to zrobić. Ci idioci zniszczyli moje laboratorium i nie mam nawet jednego flakonu numer 2. Na szczęście nie udało im się odnaleźć skrytki w ogrodzie, lecz jest teraz pod gruzami i potrzebuję twojej pomocy, by ją wydostać.

— Jak pan rozkaże — powiedział Hermann.

— Przyjdź pojutrze o dziesiątej rano. Czy w dzień, czy w nocy, to dla nas nie ma różnicy, a w dzień będzie lepiej widać.

— Dlaczego nie jutro?

— Jutro mam coś innego do zrobienia. Obmyślam uderzenie w moim stylu, a ono na pewno nie spodoba się osobie, o której myślę.

Rozmówcy podjęli spacer. Gdy powrócili, usłyszeliśmy:

— Nie, ja nie opuszczę Ragz — mówił Wilhelm Storitz głosem brzmiącym gniewem — dopóki moja nienawiść do tej rodziny nie będzie zaspokojona, dopóki Myra i ten Francuz..

Nie dokończył. Jakiś tłumiony ryk wydostał się z jego piersi. W pewnej chwili przeszedł tuż obok nas. Wystarczyło pewnie wyciągnąć rękę, by go schwytać. Lecz naszą uwagę pochłonęły słowa Hermanna.

— Wiadomo już teraz w Ragz, że posiada pan zdolność stawania się niewidzialnym, ale nie wiadomo, jakim sposobem.

— I tego nie będą wiedzieć nigdy — odrzekł Wilhelm Storitz. — Ragz nie uwolnił się ode mnie. Ponieważ spalili moje tajemnice!... Szaleńcy!... Nie, Ragz nie uniknie mej zemsty, nie zostanie z niego kamień na kamieniu!...

Ledwie padły te słowa, tak groźne dla miasta, gdy nagle rozsunęły się gałęzie zarośli. Pan Stepark rzucił się w kierunku głosu i krzyknął:

— Trzymam jednego, panie Vidal. Drugi dla pana!

Nie ma wątpliwości, że jego ręce schwyciły jakieś ciało namacalne, chociaż niewidzialne. Jednak w tej samej chwili został odepchnięty tak gwałtownie, że byłby upadł, gdybym go

nie podtrzymał za ramiona.

Doszedłem do wniosku, że możemy być zaatakowani w warunkach bardzo niekorzystnych dla nas, gdyż nie moglibyśmy widzieć naszych agresorów. Ale tak się nie stało. Rozległ się tylko ironiczny śmiech i usłyszeliśmy oddalające się kroki.

— Nie udało się! — krzyknął pan Stepark. — Ale teraz jesteśmy pewni, że ta niewidzialność nie przeszkadza w schwytaniu ich ciała!

Na nieszczęście, udało się im uciec i nie znaleźmy miejsca ich pobytu. Mimo to pan Stepark wydawał się zadowolony.

— Będziemy ich mieć — mówił ściszym głosem, gdy doszliśmy do nabrzeża Batthyani. — Znamy teraz słaby punkt przeciwnika i wiemy, że Storitz musi dostać się pojutrze do ruin swojego domu. Daje to nam dwie możliwości pokonania go. Jeśli jedna zawiedzie, druga musi się udać.

Pożegnałem pana Steparka i wróciłem do willi. Madame Roderich i Marc czuwali u wezłowania Myry, a ja zamknąłem się z doktorem. Trzeba było powiadomić go natychmiast o tym, co zaszło na wyspie Svendor.

Opowiedziałem mu wszystko, nie zapominając o optymistycznej konkluzji pana Steparka, ale dorzucając, że ja czułem się o wiele mniej pewnie.

Doktor osądził, że wobec gróźb Wilhelma Storitza, wobec chęci kontynuowania dzieła zemsty w stosunku do rodziny Roderichów i całego miasta, konieczność opuszczenia Ragzu jest oczywista. Należy wyjechać, wyjechać w tajemnicy, i najlepiej bez zębki

— Jestem pańskiego zdania — powiedziałem — ale mam tylko jedno zastrzeżenie: czy Myra jest w stanie znieść trudy podróży?

— Zdrowie mej córki nie pogorszyło się — odpowiedział doktor. — Ona nie cierpi, tylko rozum został nadwerężony.

— Odzyska go z czasem — potwierdziłem stanowczo — a szczególnie za granicą, gdzie nie będzie musiała obawiać się niczego.

— Czy jednak — westchnął doktor — unikniemy niebezpieczeństwa dzięki wyjazdowi? Czy Wilhelm Storitz nie podaży za nami?

— Nie, jeśli zachowamy w sekrecie datę wyjazdu i cel podróży.

— W sekrecie!... — wyszeptał smutno doktor Roderich. Zastanawiał się, podobnie jak mój brat, czy jakkolwiek

sekret może być zachowany wobec Wilhelma Storitza, czy w tej właśnie chwili nie ma go w gabinecie słuchającego, co mówimy, knującego coś nowego.

Jednakże wyjazd został zdecydowany. Pani Roderich nie miała zastrzeżeń. Chciała jak najszybciej przewieźć Myrę w bezpieczniejsze miejsce.

Marc zgodził się również. Nie powiedziałem mu o naszej przygodzie na wyspie Svendor. Wydawało mi się to niepotrzebne. Natomiast opowiedziałem wszystko kapitanowi Haralanowi, który tym bardziej nie miał zastrzeżeń do naszego projektu podróży. Zapytał mnie tylko:

— Niewątpliwie będzie pan towarzyszył swemu bratu?

— A czy mogę uczynić coś innego i czy nie muszę być obok niego tak jak pan obok...

— Ja nie wyjadę — odrzekł tonem człowieka, którego postanowienie jest absolutnie nieodwołalne.

— Pan nie wyjedzie?...

— Nie chcę, ja muszę pozostać w Ragz, ponieważ on jest w Ragz, i czuję, że zrobię lepiej zostając tutaj.

Nie było sensu dyskutować, toteż nie dyskutowałem.

— Niech tak będzie, kapitanie.

— Liczę na pana, mój drogi Vidal, że zastąpi mnie pan w mojej rodzinie, która jest już i pańską.

— Może pan na mnie liczyć — odpowiedziałem. Zająłem się natychmiast przygotowaniem do wyjazdu.

W ciągu jednego dnia zdobyłem dwie bardzo wygodne berlinki do dalekich podróży. Następnie udałem się do pana Steparka, by powiadomić go o naszych zamiarach.

— Dobrze robicie — powiedział mi — tylko szkoda, że całe miasto nie może uczynić tego samego!

Szef policji był wyraźnie przejęty. Było to uzasadnione wobec tego, co usłyszeliśmy w przeddzień.

Okolo siódmej wróciłem do posiadłości Roderichów i upewniłem się, że wszystko jest gotowe.

O ósmej podjechały berlinki. W jednej z nich zajmą miejsce państwo Roderich ze swą córką. Marc ze mną wsiądzie do drugiej, która wyjedzie z miasta inną drogą, aby nie zwracać uwagi.

— A oto co się wydarzyło najbardziej nieprawdopodobnego, niestety! — najstraszniejszego z możliwych nieszczęść.

Pojazdy oczekiwały na nas. Pierwszy stał przed główną bramą, drugi przed furtką, w końcu ogrodu. Doktor z mym bratem weszli po Myrę, by przenieść ją do berlinki.

Przestraszeni, zatrzymali się na progu. Łóżko było puste. Myra zniknęła!

XVI

— Myra zniknęła!...

Gdy krzyk ten wypełnił willę, wydawało się, że z początku nie rozumiano jego znaczenia. Zniknęła!... Przecież nie było w tym sensu. To nieprawdopodobne!

Pani Roderich i Marc pół godziny wcześniej byli jeszcze w pokoju, gdzie Myra spoczywała na łóżku, ubrana już w podróżny kostium, spokojna, regularnie oddychająca, tak że można by sądzić, iż śpi. Nieco wcześniej przyjęła odrobinę pożywienia z ręki Marka, który następnie zszedł na kolację. Po skończeniu posiłku doktor z mym bratem weszli na górę, by przenieść ją do berlinki.

To wtedy rozegrał się dramat. Nie było jej na łóżku. Pokój był pusty!

— Myra! — krzyknął Marc kierując się ku oknu i chwytając za klamkę. Lecz okno stawiało opór. Było zamknięte.

Dozwolono jej tylko tyle, że w tym momencie nie dotarła do drzwi.

porwania, jeśli to było porwanie, nie dokonano tą drogą.

Przybiegła pani Roderich, potem kapitan Haralan i w domu rozległy się wołania:

— Myra!... Myra!...

Było oczywiste, że nie odpowiadała, i to nie odpowiedzi oczekiwano od niej. Lecz jak wyjaśnić, że nie było jej w pokoju? Czy było możliwe, że opuściła łóżko, przeszła przez pokój swej matki, zeszała po schodach i nikt jej nie dostrzegł?

Byłem zajęty przy rozmieszczaniu bagaży w berlinie, gdy nagle usłyszałem te krzyki. Wbiegłem na pierwsze piętro.

Doktor z moim bratem, który powtarzał zdławionym głosem imię swej żony, chodzili w tę i z powrotem jak ludzie pozbawieni zmysłów.

— Myra?... — zapytałem. — Co chcesz przez to powiedzieć, Marku?

Jedynie doktor zebrał resztki sił, by mi odpowiedzieć:

— Moja córka... zniknęła!

Panią Roderich, która straciła przytomność, trzeba było położyć do łóżka. Kapitan Haralan, z twarzą ściągniętą bólem, nieprzytomnymi oczyma, przybiegł do mnie i zawołał:

— To on... ciągle on!

Tymczasem próbowałem zebrać myśli. W przypuszczenia kapitana Haralana trudno było uwierzyć. Było niemożliwe, aby wobec powziętych zabezpieczeń Wilhelmowi Storitzowi udało się dostać do willi. Oczywiście, można sobie ostatecznie wyobrazić, że mógł skorzystać z zamieszania nieuniknionego przy wyjeździe. Aby to uczynić, musiałby się zacząć i czekać na

sprzyjający moment, a także działać z niezwykłą szybkością.

Poza tym, nawet przyjmując wszystkie te hipotezy, porwanie nie dawało się wytłumaczyć. Przecież ja nie spuszczałem oka z drzwi do galerii, przed którą oczekiwała berlinka. Jak mogła Myra przebyć te drzwi i dostać się do ogrodu nie będąc zauważoną przeze mnie? Wilhelm Storitz mógł być niewidzialnym! Lecz ona?...

Wyszedłem z galerii i zawołałem służącego. Drzwi od ogrodu wychodzące na bulwar Tékéli były zamknięte na dwa zamki, a ja miałem klucze. Następnie przebiegłem cały dom, od strychu po piwnice, od wieży aż do tarasu, nie zostawiając żadnego zakątka. Po domu uczyniłem to samo z ogrodem..

Nie znalazłem nikogo.

Wróciłem do Marka. Mój biedny brat płakał rzewnymi łzami, drżąc w szlochu.

Według mnie należało przede wszystkim zawiadomić szefa policji.

— Biegnę do Ratusza. Proszę iść ze mną — powiedziałem kapitanowi Haralanowi.

Berlinka nadal czekała. Zajęliśmy w niej miejsca. Główna brama otworzyła się i pojazd wyjechał galopem. Za kilka minut byliśmy na placu Kurtza.

Pan Stepark był jeszcze w swym gabinecie. Powiadomiłem go o tym, co zaszło. Człowiek ten, przyzwyczajony wszakże, by nie dziwić się niczemu, nie mógł ukryć zdumienia.

— Panna Roderich zniknęła?!... — wykrzyknął.

— Niestety — odpowiedziałem. — Wydaje się to

nieprawdopodobne, ale tak jest. Uciekła lub została porwana, nie ma jej w domu!

— W tym musiał maczać palce Storitz — wyszeptał pan Stepark.

A więc opinia szefa policji była taka sama jak Haralana. Po chwili dorzucił:

— Jest to zapewne to mistrzowskie posunięcie, o którym mówił ten potępieniec.

Pan Stepark miał rację. Tak, Wilhelm Storitz w pewnym sensie uprzedził nas o przygotowywanym ciosie. A my bezmyślnie nie poczyniliśmy żadnych kroków, by się przed tym obronić.

— Panowie — powiedział pan Stepark — czy zechcecie towarzyszyć mi do willi?

— Oczywiście — odrzekłem.

— Panowie, jestem do waszej dyspozycji... Pora wydać kilka rozkazów.

Pan Stepark wezwał brygadiera i polecił mu udać się na czele plutonu policji do willi Roderichów i chronić ją dzień i noc. Następnie miał długą poufną rozmowę ze swym zastępcą, a potem berlinka zawiozła naszą trójkę do doktora.

Willi została powtórnie przeszukana. Nadaremnie. Pan Stepark, wchodząc do pokoju Myry, zauważył jednak:

— Monsieur Vidal — zwrócił się do mnie — czy nie czuje pan szczególnego zapachu, który już kiedyś podrażnił nasze powonienie?

Przezawście w powietrzu unosił się jakiś zapach. Wróciła

naczuwając, w powietrzu unosił się jakiś zapach. Wtucha mi pamięć. Wykrzyknąłem:

— Panie Stepark, przecież jest to zapach płynu z potłuczonej fiołki w laboratorium Storitza!

— Tak jest, monsieur Vidal, i to potwierdza całkowicie nasze przypuszczenia. Jeśli jest to, jak przypuszczam, ten płyn, który powoduje niewidzialność, pewnie Wilhelm Storitz podał go panie Roderich i wyniósł ją tak samo niewidzialną jak on.

Byliśmy zdruzgotani. Sprawy mogły tak się przedstawiać. Teraz byłem przekonany, że Wilhelm Storitz był w swym laboratorium w czasie rewizji i to on potłukł fiołkę, z której płyn tak szybko wyparował. Wolał uczynić to, niż żeby wpadła ona w nasze ręce. Tak, to na pewno był ten specyficzny zapach, którego ślady wyczuliśmy tutaj. Tak! Wilhelm Storitz, korzystając z zamieszania przy odjeździe, wszedł do pokoju Myry i porwał ją.

Cóż za noc spędziliśmy — ja obok mego brata, doktor przy pani Roderich! Z jakąż niecierpliwością oczekiwaliśmy dnia!

Dnia?... A cóż nam może pomóc dzień?... Czy światło przeszkadza w czymś Wilhelmowi Storitzowi? Czy nie potrafi otoczyć się nieprzeniknioną nocą?

Pan Stepark dopiero o świcie opuścił nas i udał się do Ratusza. Przed odejściem wziął mnie na stronę i odezwał się do mnie niejasnymi, przynajmniej w tych okolicznościach, słowy:

— Mam do pana słówko, panie Vidal. Niech pan nie traci odwagi, gdyż albo bardzo się mylę, albo zbliża się kres waszych cierpień.

Nie odpowiedziałem nic na te słowa dodające otuchy, które jednak wydawały mi się pozbawione sensu. Spojrzałem jedynie zdziwiony na szefa policji. Czy się nie przesłyszałem?

Byłem całkowicie przygnębiony, u krańca sił i energii, i w tym momencie nic nie zdołałoby mnie poruszyć.

Okolo godziny ósmej gubernator pośpieszył zapewnić doktora, że zostanie uczynione wszystko, aby odnaleźć jego córkę. Pan Roderich i ja uśmiechnęliśmy się gorzko nie wierząc w to. Co mógł doprawdy poradzić gubernator?

Tymczasem od pierwszych godzin porannych wiadomość o porwaniu rozeszła się po mieście. Nie muszę opisywać, jaki był tego skutek.

Tuż przed dziewiątą zjawił się w willi porucznik Armgard i zaoferował swoją pomoc koledze. Ale co można zrobić, wielki Boże?

Jednakże kapitan Haralan nie uznał tej oferty przyjacielskiej pomocy za nieużyteczną, tak jak ja to uczyniłem. Zwięźle, lecz serdecznie podziękował koledze. Następnie założył kołpak i przypasując swą szablę rzucił jedno słowo:

— Chodź.

Kiedy dwaj oficerowie skierowali się ku drzwiom, doznałem nieodpartej potrzeby towarzyszenia im. Zaproponowałem Markowi, aby poszedł ze mną. Ale czy mnie zrozumiał? Nie wiem. W każdym razie nie odpowiedział nic.

Gdy wyszedłem, obaj oficerowie byli już na bulwarze. Nieliczni przechodnie spoglądali na willę z łąkiem pomieszany z trwogą. Czy to nie tu rozpoczęła się straszliwa burza, która

wstrząsnęła miastem?

Gdy dogoniłem porucznika Armgarda i kapitana Haralana, ten ostatni spojrzął na mnie, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby nie dostrzegł mej obecności.

— Czy pójdzie pan z nami, monsieur Vidal? — zapytał mnie porucznik Armgard.

— Tak. Ale gdzie idziecie?...

Porucznik odpowiedział wzruszeniem ramion. Gdzie iść? Tam, gdzie los lub przypadek poprowadzi. Lecz czy los nie był jedynym i najpewniejszym przewodnikiem, na jakiego mogliśmy liczyć?

Po kilku krokach kapitan Haralan zatrzymując się nagle, rzucił lakonicznie pytanie:

— Która godzina?

— Kwadrans po dziewiątej — odrzekł porucznik spoglądając na zegarek.

Ruszyliśmy ponownie w drogę.

Maszerowaliśmy niepewnym krokiem, nie zamieniając słowa. Po przejściu placu Madziarskiego i dotarciu do ulicy Księcia Miłosza, skręciliśmy na plac Świętego Michała, pod jego arkady. Czasami kapitan Haralan zatrzymywał się niespodziewanie, jak gdyby jego stopy były przykute do ziemi, i od nowa dopytywał się o godzinę. — „Dwadzieścia pięć po dziewiątej, wpół do dziesiątej, za dwadzieścia dziesiąta” — odpowiadał kolejno jego przyjaciel. Po otrzymaniu informacji kapitan podejmował swój niezdecydowany marsz.

Skręcając na lewo, przeszliśmy obok katedry. Po krótkim

wahaniu kapitan Haralan skierował się na ulicę Bihar.

Ta arystokratyczna dzielnica miasta była już wymarła. Zaledwie kilku przemykających chyłkiem przechodniów, większość domów z pozamykanymi oknami, jakby w dniu powszechnej żałoby.

Przy końcu ulicy ukazał się nam w całej okazałości bulwar Tékéli. Był pusty. Opuszczono go od czasu pożaru domu Storitza.

Jaki kierunek wybierze kapitan Haralan — ku górnemu miastu, do zamku, czy może nabrzeża Batthyani, nad Dunajem?

Po raz któryś zatrzymał się, jakby niepewny, co ma uczynić. Padło znowu pytanie:

— Która godzina, Armgard?

— Za dziesięć dziesiąta — odrzekł porucznik.

— Pora — powiedział kapitan Haralan, kierując się szybkim krokiem w stronę bulwaru.

Przeszliśmy obok ogrodzenia domu Storitza. Kapitan nie rzucił nawet spojrzenia w tę stronę. Okrążył posiadłość i zatrzymał się dopiero na drodze okalającej ogród, za murem wysokości około dwóch i pół metra.

— Pomóżcie mi — powiedział, pokazując ręką na wierzchołek muru.

Gest ten wystarczył za wszystkie wyjaśnienia. Zrozumiałem cel nieszczęsnego brata Myry.

Czy to nie dziesiątą godzinę wymienił Wilhelm Storitz w rozmowie, którą przedwczoraj podsłuchaliśmy z panem

Steparkiem? Czy nie powiadomiłem o tym kapitana Haralana? Tak, potwór był tam teraz, za tym murem, w trakcie odsłaniania kryjówki zawierającej rezerwę tych nieznanych substancji, z których robił tak zbrodniczy użytek. Czy uda się nam pochwycić go w czasie pracy? Doprawdy, było to mało

prawdopodobne. Lecz była to jedyna szansa, której nie wolno za nic zmarnować.

Pomagając sobie wzajemnie wdrapaliśmy się w kilka minut na mur i zeskoczyliśmy na drugą stronę, na wąską alejkę okoloną gęstymi krzewami. Ani Storitz, ani nikt inny nie mógł nas dostrzec.

— Pozostańcie tutaj — zakomenderował kapitan Haralan, który posuwając się wzdłuż muru ogrodzenia w kierunku domu, wkrótce zniknął nam z oczu.

Przez chwilę pozostawaliśmy nieruchomi, lecz poddając się nieodpartemu instynktowi ciekawości, podążyliśmy za nim. Schylając się pod niskimi gałęziami przedzieraliśmy się przez gąszcze. Listowie zakrywało nas przed niepożądanymi oczyma i tłumilo odgłosy kroków. Zbliżyliśmy się do domu.

Gdy osiągnęliśmy kraniec krzewów, ukazał się nam dom, a właściwie jego ruiny. Dzielila nas od niego odkryta przestrzeń, szeroka może na dwadzieścia metrów. Wyciągnęci na ziemi, wstrzymując oddech, rozglądaliśmy się chciwie.

Z całego domostwa zostały jedynie opalone płomieniami fragmenty murów, u stóp których leżały kamienie, kawałki zwęglonych belek, poskręcane żelastwo, kupy popiołu i szczątki wyposażenia.

Przypatrywaliśmy się temu stosowi zniszczonych rzeczy. Ach! czemuż nie spalono tego przekłętego Niemca razem z jego domem, a wraz z nim tajemnicy przerażającego wynalazku!

Porucznik i ja omietliśmy wzrokiem całą odkrytą przestrzeń i nagle zadrżeliśmy gwałtownie. W odległości mniejszej niż trzydzieści kroków od nas dostrzeżliśmy kapitana Haralana, czającego się tak jak my na skraju zagajnika. W miejscu, gdzie zatrzymał się nasz towarzysz, krzewy zbliżały się regularnym łukiem do rogu budynku. Jedyne alejka szerokości sześciu metrów oddzielała go od domu. Haralan miał oczy wbite w jeden punkt. Nie czynił najmniejszego ruchu. Skurczony, z napiętymi mięśniami, gotowy do skoku, przypominał drapieżnika w zasadzce.

Powędrowaliśmy wzrokiem za jego spojrzeniem i wkrótce zrozumieliśmy, co go tak przyciąga. Rzeczywiście, działa się tam coś osobliwego. Mimo że nie było widać nikogo, gruzy poruszały się w dziwny sposób. Powoli, ostrożnie, jak gdyby robotnicy nie chcieli zwracać na siebie uwagi, kamienie, żelastwo, tysiące kawałków gruzów były przenoszone, odnoszone, układane na stos.

Przyglądaliśmy się ogarnięci niesamowitym przerażeniem, z wytrzeszczonymi oczyma. Dozналиśmy olśnienia. Tam musiał być Wilhelm Storitz. Jeśli robotnicy byli niewidzialni, to ich dzieło takim nie było.

Nagle rozległ się krzyk, wydany wściekłym głosem.. Z naszego miejsca zobaczyliśmy Haralana, jak rzuca się i jednym skokiem przeskakuje aleie... Snada na skraiu ruin i wvdaie sie

zderzać z jakąś niewidzialną przeszkodą... Posuwa się do przodu, cofa się, otwiera ramiona i zaciska je jak zapaśnik walczący pierś w pierś...

— Do mnie! — krzyczy kapitan Haralan. — Trzymam go! Porucznik Armgard i ja przyskoczyliśmy do niego.

— Mam go, nędznika... Mam go... — powtarzał. — Do mnie, Vidal... Do mnie, Armgard!

Nagle zostałem popchnięty jakąś niewidzialną ręką i poczułem gorący i świszczący oddech na swej twarzy.

Tak, to była walka pierś w pierś. Ona tam była, ta niewidzialna istota... Wilhelm Storitz lub ktoś inny! Kimkolwiek był, mamy go w rękach, już go nie wypuścimy i potrafimy zmusić do wyjawienia, gdzie jest Myra.

A więc, jak to już stwierdził pan Stepark, Storitz posiada umiejętność unicestwiania swej widzialności, ale jego cielesność utrzymuje się. To nie duch, to ciało, którego ruchy usiłujemy powstrzymać — za cenę jakiegoż wysiłku!

W końcu udało się to nam. Ja trzymałem jedno ramię naszego niewidzialnego przeciwnika. Porucznik Armgard trzymał drugie.

— Gdzie jest Myra?... gdzie jest Myra? — pytał z podnieceniem w głosie kapitan Haralan.

Żadnej odpowiedzi. Nikczemnik rzucał się i próbował się uwolnić. Mieliliśmy do czynienia z osobnikiem bardzo silnym, który wyszarpywał się nam gwałtownie. Gdyby mu się to udało, rzuciłby się poprzez ogród lub ruiny, dopadł bulwaru i można by

się pożegnać z nadzieją ponownego spotkania.

— Czy powiesz, gdzie jest Myra?... — powtórzył kapitan Haralan, doprowadzony do szewskiej pasji.

W końcu usłyszeliśmy:

— Nigdy!... Nigdy!...

Wystarczyło nam to, by rozpoznać ten zadyszany teraz głos, głos Wilhelma Storitza!

Walka nie mogła trwać długo. Było nas trzech przeciwko jednemu i nawet tak krzepki mężczyzna nie mógł się długo opierać. Jednakże w pewnej chwili porucznik Armgard został odepchnięty i upadł na trawnik. Prawie równocześnie poczułem, że ktoś złapał mnie za nogę. Przewróciłem się i musiałem puścić ramię Storitza. Kapitan Haralan otrzymał cios prosto w twarz. Zachwiał się i wyciągniętymi rękoma młócił powietrze.

— Uciekł mi!... Uciekł mi!... — zawył raczej, niż krzyknął. Widocznie niespodziewanie na pomoc swemu panu pospieszył Hermann.

Podniosłem się, natomiast porucznik, na poły nieprzytomny, leżał rozciągnięty na ziemi. Ruszyłem na pomoc kapitanowi... Wszystko daremnie. Napotykałiśmy tylko próżnię, Wilhelm Storitz się ukrył!...

Ale oto na skraju krzewów ukazali się jacyś ludzie. Inni wchodzili przez bramę, jeszcze inni przeskakiwali mury, następni wychodzili u ruin domu. Wylaniali się ze wszystkich stron, zewsząd. Były ich setki. Trzymali się pod ramiona, w trzech szeregach, pierwszy szereg ubrany był w mundury policji z Ragz, dwa następne w mundury piechoty Pogranicza Wojskowego. W

jednej chwili uformowali rozległe koło, które stopniowo się zacieśniało...

Teraz zrozumiałem optymistyczne słowa pana Steparka. Poinformowany o zamiarach Storitza — przez samego Storitza — podjął odpowiednie kroki — z perfekcją, którą byłem zachwycony. Przechodząc przez ogród nie dostrzeżliśmy ani jednego funkcjonariusza — a były ich setki.

Koło, którego centrum stanowiliśmy my, zaciskało się, zaciskało... Nie, Storitz nie ucieknie! Zostanie schwytany!...

Zrozumiał to również ten nikczemnik, gdyż tuż obok nas dał się słyszeć wściekły okrzyk. Następnie w chwili, gdy porucznik Armgard, który zaczął wracać do siebie, próbował się podnieść, jego szabla została gwałtownie wyciągnięta z pochwy. Chwyciła ją niewidzialna ręka. Była to ręka Wilhelma Storitza. Poniósł go gniew. Nie może uciec, jednakże się zemści, zabije kapitana Haralana...

Za przykładem swego wroga, kapitan również obnażył szablę. Obaj znaleźli się naprzeciwko siebie jak w pojedynku, jednego można było obserwować, drugiego nie!... Dwie szable skrzyżowały się — jedna trzymana ręką widzialną, druga niewidzialną!

Ta dziwna walka była zbyt szybka, abyśmy mogli interweniować.

Było widoczne, że Wilhelm Storitz potrafi władać szablą. Tymczasem kapitan Haralan atakował nie zwracając uwagi na obronę. W pewnej chwili ripostując cios, zwany manszetą, został trafiony w ramię. Mimo to pchnął szablą do przodu... Rozległ się

krzyk bólu... Rośliny na trawniku pochyliły się...

Ale to nie wiatr je zgiął. Jak się wkrótce przekonaliśmy, był to ciężar ludzkiego ciała, ciężar ciała Wilhelma Storitza, z piersią przebitą na wylot... Trysnął strumień krwi i w tym samym czasie, gdy życie odpływało, niewidzialne ciało odzyskiwało powoli swą formę materialną. W ostatnich śmiertelnych konwulsjach ukazała się cała postać.

Kapitan Haralan rzucił się na Wilhelma Storitza. Krzyknął doń:

— Myra?... Gdzie jest Myra?...

Lecz był to już tylko trup. Ściągnięta twarz, otwarte oczy, spojrzenie jeszcze groźne, widzialny trup dziwnego osobnika, jakim był Wilhelm Storitz.

XVII

W taki oto tragiczny sposób zginął Wilhelm Storitz.

Niestety! — jego śmierć nadeszła za późno. Mimo że rodzina Roderichów nie będzie musiała się odtąd niczego obawiać, śmierć ta raczej pogorszyła sytuację, niż ją poprawiła, ponieważ odebrała nam nadzieję odnalezienia Myry.

Przytłoczony ciężką na nim odpowiedzialnością, kapitan Haralan przypatrywał się z ponurą miną pokonanemu wrogowi. W końcu pojmując aż nadto dobrze to nieodwracalne nieszczęście, bezradnie wzruszył ramionami i wolnym krokiem

oddalił się w kierunku willi Roderichow — by powiadomic resztę rodziny o tych żalosnych wypadkach.

Porucznik Armgard i ja — przeciwnie — zostaliśmy na miejscu, w towarzystwie pana Steparka, przybyłego jakimś cudem nie wiadomo skąd. Mimo setek ludzi cisza była zupełna. Ciekawość osiągnęła szczyt — gapie gromadzili się wokół nas, cisnęli się jedni przez drugich, starali się lepiej zobaczyć.

Wszystkie spojrzenia utkwione były w trupie. Odwrócony nieco na lewy bok, z odzieniem przesiąkniętym krwią, z woskową twarzą, z prawą ręką trzymającą jeszcze szablę porucznika, lewym ramieniem na pół zgiętym — Wilhelm Storitz nadawał się jedynie do grobu, skąd jego zbrodnicza moc nie zdoła go wydobyć.

— To na pewno on! — wyszeptał pan Stepark, po starannym obejrzeniu leżącego.

Zaczęli zbliżać się policjanci, nie bez pewnej obawy. Rozpoznali go również. Aby upewnić nie tylko wzrok, ale i dotyk, pan Stepark obmacał trupa od stóp do głowy.

— Martwy ... bezsprzecznie martwy! — stwierdził podnosząc się.

Szef policji wydał rozkaz i wkrótce kilkunastu ludzi zabrało się do gruzów, które — w tym samym miejscu przed śmiercią Storitza — zdawały się wykonywać tak dziwne ruchy.

— Sądząc po rozmowie, jaką podsłuchaliśmy — rzekł pan Stepark, odpowiadając na postawione przeze mnie pytanie — to tutaj musi się znajdować skrytka, w której ten nędznik ukrywał substancję pozwalającą mu wodzić nas za nos. Nie

odejdę stąd, dopóki nie odnajdziemy tej skrytki i nie zniszczymy tego, co zawiera. Storitz jest martwy. Niech mnie przeklnie nauka, ale chcę, aby jego sekret umarł razem z nim.

Jeśli o mnie chodzi, w pełni przyznałem rację panu Steparkowi. Mimo że odkrycie Ottona Storitza mogło rozpałać ciekawość inżyniera, nie umiałem odnaleźć w nim żadnego praktycznego pożytku. Pojąłem również, że sprzyja ono jedynie najgorszym żądom ludzkości.

Wkrótce odsłoniła się nieduża *żelazna* płyta. Podniesiono ją i ukazały się nam wąskie schody.

W tym momencie jakaś ręka dotknęła mojej i dał się słyszeć żalony głos:

— Litości!... Litości!...

Odwróciłem się, lecz nie dostrzegłem nikogo. Jednakże ktoś trzymał mnie za rękę i błagalny głos było nadal słychać.

Policjanci przerwali swą pracę. Wszyscy odwracali się w moją stronę. Ze zrozumiałym lękiem wolną dłonią próbowałem zbadać przestrzeń dookoła siebie.

Na wysokości swej talii napotkałem jakąś czuprynę, a nieco niżej dotknąłem twarzy zalanej łzami. Oczywiście, musiał tu być jakiś człowiek, którego nie mogłem zobaczyć, na kolanach i pogrążony w rozpacz.

— Kto tu jest? — wyjąkałem przerażony, z gardłem ściśniętym strachem.

— Hermann — padła odpowiedź.

— Czego chcesz?

Niewidzialny sługa Storitza odnowiedział nam w kilku

przerwywanych szlochem słowach. Gdy usłyszał od pana Steparka o zamiarach zniszczenia zawartości skrytki, zrozumiał, że musi pożegnać się z odzyskaniem ludzkiej postaci. Co się z nim stanie, jeśli będzie takim pośród innych ludzi? Błagał, aby szef policji przed zniszczeniem flakonów, które znajdzie w skrytce, pozwolił mu zażyć zawartość jednego z nich.

Pan Stepark obiecał mu to, jednakże podjął odpowiednie środki zabezpieczające, gdyż przecież Hermann musiał uregulować swe rachunki ze sprawiedliwością. Czterech silnych policjantów, na rozkaz swego szefa, chwyciło niewidzialnego osobnika. Można być pewnym, że nie pozwolą mu uciec.

Poprzedzani przez czterech policjantów przytrzymujących więźnia, pan Stepark i ja zeszliśmy na dół. Kilka stopni prowadziło do piwnicy, gdzie słabo docierało światło dzienne. Tu, na wąskiej półce, stały rzędem flakony oznaczone numerami 1 i 2.

Herman niecierpliwie poprosił o flakon numer dwa. Podał mu go szef policji. Wtedy zobaczyliśmy, z niesłychanym zdziwieniem — mimo że musieliśmy być przygotowani na podobny spektakl — jak flakon samorzutnie zakreśla łuk w powietrzu, następnie się przechyla, jakby ktoś podniósł go do ust i łąpczywie chleptał zawartość.

Natychmiast wydarzył się cud. W miarę ubywania płynu we flakonie Hermann wydawał się wracać z niebytu. Dostrzeżono najpierw w półmroku piwnicy lekką mgielkę, następnie zaczęły uwidaczniać się kontury i oto miałem przed sobą tego samego osobnika. Lubił śledzić mnie niewidzący widzący go w myśliwi

OSOBNIKA, który siedzi mnie pierwszego wieczoru po przybyciu do Ragz.

Na znak pana Steparka reszta flakonów została natychmiast zniszczona. Płyny w nich zawarte po zetknięciu z ziemią natychmiast wyparowały. Po dokonaniu tego zabiegu opuściliśmy piwnicę.

— A teraz co zrobimy, panie Stepark? — zapytał porucznik Armgard.

— Przenieśmy jego ciało do Ratusza.

— Publicznie? — zapytałem.

— Na oczach wszystkich — powiedział szef policji. — Całe Ragz powinno się przekonać, że Wilhelm Storitz nie żyje. Ludność uwierzy dopiero wówczas., gdy zobaczy jego trupa.

— I kiedy zostanie pochowany — dorzucił porucznik.

— Jeśli się go pochowa — powiedział pan Stepark.

— Jeśli się go pochowa? — powtórzyłem.

— Tak — przytaknął szef policji. — Będzie lepiej, według mnie, spalić trupa i rozrzucić popioły na wietrze, jak to robiono z czarownikami w średniowieczu.

Pan Stepark posłał po nosze i odszedł z większością policjantów, zabierając ze sobą więźnia, który wyglądał teraz jak zwykły, stary pocziwina. Ja i porucznik Armgard udaliśmy się do willi Roderichów.

Kapitan Haralan był już u swego ojca, któremu wszystko opowiedział. Wydawało się nam, że lepiej będzie nic nie mówić pani Roderich, ze względu na stan, w jakim się znajdowała. Śmierć Wilhelma Storitza nie zwróci jej przecież córki.

Mój brat również nic jeszcze nie wiedział. Trzeba było jednakże powiadomić go o tym, co zaszło. Dlatego też poprosiliśmy go do gabinetu doktora.

Wiadomość, jaką go uraczyliśmy, przyjął bez satysfakcji z zaspokojonej zemsty. Wybuchnął szlochem, a z jego ust wydostały się słowa pełne rozpacz:

— Storitz nie żyje!... Zabiliście go!... Zabiliście go, zanim powiedział!... Myra!... Moja biedna Myra!... już jej nie zobaczę!...

Czym mogłem ukoić ten wybuch bólu?...

Jednakże spróbowałem. Nie, nie należy tracić nadziei. Nie wiemy, gdzie znajduje się Myra, lecz wie to Hermann, służący Wilhelma Storitza. Zamknięto tego człowieka pod kluczem. Wybada się go, a nie ma przecież żadnego interesu by milczeć, więc będzie mówił... Skłoni się go do tego, za wszelką cenę... W razie potrzeby zmusi się, nawet gdyby trzeba poddać go torturom... Myra. wróci na łono rodziny, do swego męża, a świadomość wróci jej dzięki staraniom, czułości i miłości...

Marc nie słyszał nic. Nie chciał nic słyszeć. Dla niego człowiek, który mógł coś powiedzieć, był martwy. Nie wolno było go zabijać przed wydarciem mu sekretu.

Nie wiedziałem, jak uspokoić brata. Nagle naszą rozmowę przerwał jakiś tumult na zewnątrz domu. Zbliżyliśmy się do narożnego okna wychodzącego na bulwar i nabrzeże Batthyani.

Co mogło się jeszcze wydarzyć?... W tym stanie umysłów, w jakim się znajdowaliśmy, sądzę, że nic nie mogłoby nas zaskoczyć, nawet gdyby było to zmartwychwstanie Wilhelma

Storitz!

Był to jedynie orszak żałobny. Czterech policjantów w otoczeniu licznej eskorty taszczyło na noszach zwłoki. Tak więc Ragz mogło stwierdzić naocznie, że Wilhelm Storitz umarł i że czas terroru się skończył.

Pan Stepark chciał pokazać tego trupa całemu miastu. Po przejściu nabrzeżem Batthyani aż do ulicy Stefana I, orszak musiał przebyć rynek Colomana, potem najludniejszą dzielnicę i zatrzymał się przed Ratuszem.

Według mnie byłoby lepiej, gdyby nie przechodzono przed willą Roderichów.

Mój brat *znalazł* się przy oknie. Widząc to wykrwawione ciało, któremu chciałby wrócić życie, nawet za cenę własnego — wydał krzyk rozpaczny.

Zebrany tłum demonstrował coraz głośniejsze. Gdyby Wilhelm Storitz był żywy — rozszarpano by go na kawałki. Martwego — oszczędzono. Tak jak przewidywał pan Stepark, ludność nie chciała, aby był pochowany jak zwykli śmiertelnicy. Domagano się, aby został spalony publicznie na placu lub wrzucony do Dunaju, którego wody zanoszą go do odległych głębin Morza Czarnego.

Krzyki przed willą było słychać przez jakiś kwadrans, potem zaległa cisza.

Kapitan Haralan oznajmił nam wtedy, że udaje się do Ratusza. Spowoduje, aby do przesłuchania Hermanna przystąpiono bez zwłoki. Uznaliśmy to za słuszne, zatem opuściliśmy willę w towarzystwie porucznika Armarda

więc w towarzystwie porucznika Amigaua.

Ja tymczasem zostałem z bratem. Jakże bolesne godziny spędziłem z nim!... Nie mogłem go uspokoić; niepokoiło mnie jego wciąż narastające nadmierne podniecenie. Czułem, że wynika się mej woli. Spodziewałem się ataku nerwowego, którego pewnie by nie przetrzymał. Nie chciał rozmawiać ze mną. Nurtowała go tylko jedna myśl: pójść na poszukiwanie Myry.

— I będziesz mi towarzyszył, Henryku — powtarzał.

Udało mi się jedynie osiągnąć to, że przekonałem go, abyśmy poczekali na powrót kapitana Haralana. Powrócił ze swym towarzyszem dopiero koło czwartej. Wiadomości, jakie przynieśli, były najgorsze ze wszystkich możliwych. Oczywiście przesłuchanie Hermanna się odbyło, lecz nie dało żadnego rezultatu. Kapitan, pan Stepark, sam gubernator grozili, prosili, na próżno... Nadaremnie obiecywano fortunę służącemu Storitz, na próżno straszono najgorszymi karami, jeśli nie będzie chciał mówić. Nie osiągnięto nic. Hermann obstawał wciąż przy swoim. Nie wie, gdzie jest Myra. Nie wiedział nic o porwaniu, jego pan nie uznał za stosowne powiadomić go o swych planach.

Po trzech godzinach wysiłków i walki należało uznać te próby za bezużyteczne. Hermann zasługiwał na wiarę i mówił prawdę. Jego nieświadomość wydawała się szczerą. Musieliśmy porzucić wszelką nadzieję na zobaczenie kiedykolwiek nieszczęsnej Myry.

Jakże smutnego zakończenia dnia doczekaliśmy się! Zapadnięci w fotelach, przytłoczeni smutkiem, pozwalaliśmy

upływać czasowi nie mówiąc ani słowa. Bo i cóż mogliśmy powiedzieć, czego nie mówilibyśmy i nie powtarzali już setki razy?

Nieco przed ósmą służący przyniósł lampy. W salonie byli tylko dwaj oficerowie, mój brat i ja, gdyż doktor Roderich znajdował się u swej żony. Gdy służący wychodził po wykonaniu swych powinności, zegar zaczął wybijać godzinę ósmą.

Dokładnie w tym momencie otworzyły się dość gwałtownie drzwi od galerii. Pewno pchnął je jakiś przeciąg z ogrodu, gdyż nie dostrzegłem nikogo. Ale co było dziwniejsze, zamknęły się same...

I wtedy... Nie! Nie zapomnę nigdy tej sceny! — dał się słyszeć jakiś głos... Nie taki, jak w wieczór zaręczynowy, głos szorstki, który znieważał nas *Pieśnią nienawiści* — lecz głos świeży i radosny, głos kochany przez wszystkich, głos naszej drogiej Myry!...

— Marku — powiedziała — i pan, panie Henryku, i ty Haralanie, co tu robicie? Przecież to pora kolacji, a ja umieram z głodu.

To była Myra, Myra, która odzyskała przytomność, Myra uzdrowiona!... Można by rzec, że jak zwykle zeszła ze swego pokoju. Była to Myra, która widziała nas, ale której my nie widzieliśmy! Była to Myra niewidzialna!...

Nigdy chyba słowa równie banalne nie miały takiego efektu! Oslupiali, przykuci do foteli, nie ośmieliliśmy się ani poruszyć, ani odezwać, ani podejść do miejsca, skąd dobiegał jej głos. Jednakże Myra była tu, żywa i, co już wiedzieliśmy, dotykalna

mimo swej nie widzialności...

Skąd tu się wzięła?...Czy przysłała z domu, w którym umieścił ją porywacz?... W takim razie musiałaby się uwolnić, przejść przez miasto, wejść do willi... A przecież drzwi były zamknięte i nikt ich nie otwierał...

Wkrótce wyjaśniła się tajemnica jej obecności — Myra zeszła ze swego pokoju, gdzie Wilhelm Storitz uczynił ją i pozostawił niewidzialną. Podczas gdy my sądziliśmy, że jest ukryta poza domem, ona nie opuściła swego łóżka. Leżała tam nieruchoma, milcząca i nieprzytomna w ciągu całej tej doby. Nikomu nie przyszło do głowy, że może tu być, i doprawdy dlaczego taka myśl miała by nam zaświtać w umysłach?

Bez wątplenia Wilhelm Storitz nie mógł jej zabrać ze sobą natychmiast, lecz dokończyłby swej zbrodni, gdyby tego ranka cios szabli kapitana Haralana na zawsze mu w tym nie przeszkodził.

I oto Myra, z odzyskaną świadomością — być może pod wpływem substancji, którą napił ją Wilhelm Storitz — Myra, nieświadoma tego, co zdarzyło się od wypadku w Katedrze, była pośród nas, mówiła do nas, widziała nas, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, że ona sama jest niewidzialna. Marc podniósł się, otworzył ramiona, jakby chciał ją w nie porwać... Zapytała:

— Co z wami się dzieje? Mówię do was, a wy mi nie odpowiadacie. Wydajecie się zaskoczeni moim widokiem. Cóż więc się stało?... Dlaczego nie ma tu mamy? Czyżby była cierniaca?

Drzwi otworzyły się ponownie i wszedł doktor Roderich. Natychmiast Myra rzuciła się ku niemu — tak przynajmniej przypuszczaliśmy — gdyż krzyknęła:

— Ach! ojcze!... Co się stało?... Dlaczego mój brat i mój mąż mają takie dziwne miny?

Doktor, osłupiały, zatrzymał się na progu. Zrozumiał. Tymczasem Myra była już przy nim. Całowała go i powtarzała:

— Co się stało? ... Mama?... Gdzie jest mama?

— Twoja matka ma się dobrze, moje dziecko — wyjąkał doktor. — Zaraz zejdzie... Zostań, moje dziecko, zostań!

W tym momencie Marc odnalazł rękę swej żony i poprowadził ją ostrożnie, tak jakby prowadził niewidomą. A przecież nią nie była, to my nie mogliśmy jej widzieć. Mój brat posadził ją koło siebie.

Już nie mówiła, przerażona efektem, jaki wywołała jej obecność. Marc drżącym głosem szeptał słowa, których nie mogła przecież zrozumieć:

— Myra... moja droga Myra!... Tak!... to na pewno ty... Czuję cię tu... obok mnie!... Och! Błagam cię, moja kochana, nie opuszczaj mnie już więcej!...

— Mój drogi Marku... To wzruszenie... Wszystkich... Przerażacie mnie... Mój ojcze... Odpowiedz mi!... Czy zdarzyło się tu jakieś nieszczęście?...

Marc poczuł, że Myra wstaje. Delikatnie posadził ją z powrotem.

— Nie — powiedział — zapewniam cię. Nie wydarzyło się

żadne nieszczęście, ale mów, Myro, mów jeszcze!... Gdy słyszę twój głos... twój... mojej żony... mojej ukochanej Myry!... Tak, ta scena, my to widzieliśmy, te słowa, my je słyszeliśmy. I pozostawialiśmy nieruchomi, z oczyma utkwionymi w przestrzeń, wstrzymujący oddech, sparaliżowani myślą, że jedyny człowiek, który mógłby przywrócić Myrze jej widzialną postać — był martwy i zabrał swą tajemnicę do grobu!

XVIII

Czy wydarzenia, nad którymi już nie panowaliśmy, znajdują jakieś szczęśliwe rozwiązanie? Czy można w to wierzyć? Czy też Myra została na zawsze wykreślona ze świata widzialnego? Ogromne szczęście z odnalezienia jej mieszało się z równie wielkim bólem, gdyż nie mogliśmy ujrzeć jej w całym uroku i piękności.

Można sobie wyobrazić, jaka będzie w tych warunkach egzystencja rodziny Roderichów.

Nie trzeba było długo czekać, by Myra zdała sobie sprawę ze swego stanu. Przechodząc przed lustrem na kominku nie dostrzegła swego odbicia... Odwróciła się do nas, wydając okrzyk przerażenia. Nie dostrzegła również swego cienia...

Trzeba było więc wszystko opowiedzieć. Szloch wydobywał się z jej piersi, a Marc, na kolanach przy fotelu, gdzie spoczywała, na próżno próbował ukoić jej ból. Kochał ją widzialną, i będzie kochać niewidzialną. Scena ta rozdzierała

nam serca.

Pod koniec wieczoru doktor zaproponował, aby Myra poszła do pokoju matki. Będzie lepiej, gdy pani Roderich poczuje ją obok siebie, gdy będzie ją słyszeć.

Minęło kilka minut. Upływający czas dodał nam nieco otuchy — Myra pogodziła się ze swym losem. Wydawało się, że dzięki jej sile ducha wrócił normalny tryb życia. Myra uprzedzała o swej obecności, mówiąc do któregoś z nas. Słyszę ją jeszcze teraz:

— Moi przyjaciele, jestem tutaj... Czy potrzebujecie czegoś?... Zaraz wam przyniosę... Mój drogi Henryku, czegoś szukasz?... Czy książki, którą położyłeś na stole?... Oto ona!... Czy może gazety?... Leży obok ciebie... Mój ojciec, to pora, gdy zwykle cię całuję... Dlaczego Haralan patrzy na mnie, z takim smutkiem?... Zapewniam cię, że jestem uśmiechnięta. Dlaczego się zamartwiasz?... A ty, mój drogi Marku, oto moje ręce... Weź je!... Czy chcecie przejść do ogrodu?... Podaj mi ramię, Henryku, będziemy gawędzić o tysiącu spraw.

Czarująca i dobra istota nie chciała wprowadzać żadnych zmian w życiu rodzinnym. Spędzali z Markiem długie godziny razem. Nie przestawała dodawać mu otuchy czułymi słówkami. Próbowwała pocieszyć go twierdząc, że ma nadzieję na przyszłość, że ta niewidzialność skończy się któregoś dnia... Czy miała tę nadzieję rzeczywiście?

Jednakże dokonała się jedna zmiana, jedyna zresztą, w naszym życiu. Myra, rozumiejąc, jakie przykre wrażenie wywołała jej obecność, nie zajmowała już swego miejsca przy

wywołuje jej obecność, nie zajmowała już swego miejsca przy stole pośród nas. Dopiero po skończonym posiłku schodziła do salonu. Słyszeliśmy ją, jak otwiera i zamyka drzwi, mówiąc: „Otóż, moi przyjaciele, jestem z wami”. Potem nie opuszczała nas aż do czasu, gdy życzyła nam dobrej nocy i wchodziła na górę do swego pokoju.

Nie trzeba chyba mówić, że jeśli zniknięcie Myry Roderich wywołało taki efekt w mieście, to jej ponowne pojawienie się — nie znajduję innego określenia — wywołało jeszcze większy. Ze wszystkich stron napływały dowody najżywszej sympatii i tłumy gości.

Myra zrezygnowała z wszelkich pieszych spacerów ulicami miasta. Wyjeżdżała jedynie zamkniętym pojazdem, w towarzystwie kogoś z najbliższych. Jednak przede wszystkim lubiła siedzieć w ogrodzie, pośród tych, których kochała i którym, przynajmniej duchowo, była całkowicie oddana.

W tym czasie pan Stepark, gubernator i ja poddawaliśmy uporczywie przesłuchaniom starego Hermanna, równie częstym, co daremnym. Nie można było wydobyć z niego nic, czego nie wiedzieliśmy i nie przeżyliśmy sami.

Przebieg -dochodzeń dowiódł jego niewinności, jeśli chodzi o porwanie Myry, i to nie zajmowało już szefa policji.

Ale czy nie mogło tak być, że zmarły pan wprowadził go w swoje tajemnice? Że to on stał się dziedzicem formuły Ottona Storitza?

Jakież mieliśmy wyrzuty sumienia, ja i pan Stepark, że postąpiliśmy tak nierozważnie po odkryciu piwnicy! Bez tego

pośpiechu mogliśmy to samo uczynić dla Myry, co zrobiliśmy dla Hermanna. Jeden flakon tajemniczego płynu i wszystkie nasze trwogi pozostałyby tylko koszmarem sennym ustępującym radości przebudzenia.

Mimowolną zbrodnią, jaką popełnił pan Stepark i której ja się nie sprzeciwiłem, nie chwaliliśmy się — ani on, ani ja. Będzie ona przez nas na zawsze pogrzebana i za milczącą zgodą nie zamieniliśmy ani jednego słowa na ten temat.

Każdy ze swej strony nie przestawał torturować na tysiące sposobów nieszczęsnego Hermanna w chimerycznej nadziei wyrwania zeń sekretu, którego bez wątpienia nie posiadał. Jaka była szansa na to, że takiemu prostakowi istotnie zostały przekazane tajniki ponadmysłowej chemii, i jakie prawdopodobieństwo, że zrozumiałby cokolwiek z tych zawilóści?

Nadszedł wreszcie dzień, gdy zrozumieliśmy daremność naszych wysiłków. A ponieważ Hermannowi nie można było zarzucić jakiegoś występku mogącego postawić go przed Trybunałem, należało się zdać na siły wyższe i wypuścić go na wolność.

Los zdecydował, że nieborak nie skorzystał z tej pobłażliwości. Rankiem, gdy strażnik przybył go uwolnić, znalazł go martwego w celi, porażonego wylewem, co wykazała sekcja zwłok.

W ten sposób rozwiązała się nasza ostatnia nadzieja. Okazało się, że sekret Wilhelma Storitzta pozostanie na zawsze nie znany.

W papierach znalezionych podczas rewizji na bulwarze

Tékéli i zabezpieczonych w Ratuszu odkryto, mimo skrupulatnych badań, jedynie niejasne wzory, notatki z dziedziny fizyki i chemii, zupełnie niezrozumiałe.

Nie posunęło to nas ani o krok do przodu. Nie można było wywnioskować z tego stosu papierzysk niczego, co pozwoliłoby na odtworzenie diabelskiej substancji, z której Wilhelm Storitz zrobił tak zbrodniczy użytek.

Tak samo jak jej dręczyciel wyłonił się z niebytu, gdy padł ugodzony w serce szablą Haralana, również nieszczęsna Myra ukaże się naszym oczom dopiero na śmiertelnym łożu. .

Rankiem 24 czerwca odwiedził mnie brat. Wydawał mi się względnie spokojny.

— Mój drogi Henryku — rozpoczął — chciałbym cię powiadomić o podjętej przeze mnie decyzji. Myślę, że i ty przystaniesz na nią.

— Nie powinieneś w to wątpić — odpowiedziałem. — Mów z pełnym zaufaniem. Jestem pewien, że kieruje tobą głos rozsądku.

— Głos rozsądku i miłości, Henryku. Myra jest tylko na wpół moją żoną. Brakuje w naszym małżeństwie błogosławieństwa Boga, ponieważ ceremonia ślubna została przerwana, zanim wymówiliśmy słowa sakramentalnej przysięgi. Stworzyło to niezręczną sytuację, którą chcę przerwać dla dobra Myry, jej rodziny i nas wszystkich.

Uścisnąłem brata i rzekłem:

— Rozumiem cię dobrze, Marku, i nie wyobrażam sobie, żeby ktoś czynił przeszkodę spełnieniu twoich pragnień

zobacz, jak czyni przeszłość spełnieniem twych pragnień...

— To będzie przerażające — odpowiedział Marc. — Ksiądz nie będzie widział Myry, jednakże będzie słyszał, że zgadza się zostać moją żoną, tak jak ja jej mężem. Mam nadzieję, że władze kościelne nie zechcą nam robić trudności.

— Na pewno nie, drogi Marku, ja zajmę się wszelkimi koniecznymi formalnościami.

Zwróciłem się najpierw do proboszcza katedry, do prałata, który celebrował mszę ślubną, przerwana przez tę bezprzykładną profanację. Czcigodny starzec odpowiedział mi, że przypadek ten był już wcześniej rozpatrywany i że arcybiskup odniósł się do sprawy z życzliwym zrozumieniem. Mimo że niewidzialna, to nie ulega wątpliwości, że narzeczona jest żywą kobietą, i dlatego można jej udzielić sakramentu małżeństwa.

Zapowiedzi zostały ogłoszone już dawno, więc nie ma żadnych przeszkód, aby data ceremonii została ustalona na 2 lipca.

W przeddzień, tak jak to już raz uczyniła, Myra powiedziała mi:

— To będzie jutro, Henryku... Nie zapomnij!

Ten drugi ślub, tak jak i pierwszy, był celebrowany w katedrze Świętego Michała — i w takich samych warunkach. Ci sami świadkowie, ci sami przyjaciele i goście rodziny Roderichów, taki sam tłum miejscowej ludności.

Zgadzam się, że w tym nastroju było dużo ciekawości i że tę ciekawość należy zrozumieć i wybaczyć. Niewątpliwie wśród zebranych pokutowała jeszcze obawa, jaką pokonać może tylko

czas. Tak, Wilhelm Storitz był martwy, tak, martwy był również jego służący Hermann... Jednakże niejednen ze zgromadzonych zastanawiał się, czy ta druga msza ślubna nie zostanie przerwana podobnie jak pierwsza, czy niezwykle zjawiska nie zakłóca ponownie ceremonii zaślubin.

Oto mamy już dwoje małżonków przed ołtarzem katedry. Fotel Myry wydaje się wolny. Jednakże ona tam jest.

Marc stoi, zwrócony ku niej. Nie może jej widzieć, lecz czuje ją obok siebie. Trzyma ją za rękę, jakby chciał dowieść jej obecności przed ołtarzem.

Z tyłu znajdują się świadkowie: sędzia Neumann, kapitan Haralan, porucznik Armgard i ja, następnie państwo Roderichowie, biedna matka na kolanach, błagająca niebiosa o cud dla swej córki... Dookoła, wypełniając główną nawę, zgromadzili się przyjaciele, miejscowi notable. W bocznych nawach kłębi się tłum.

Zadźwięczały dzwony, organy zabrzmiały pełną mocą.

Wyszedł prałat w otoczeniu kleryków. Rozpoczęło się nabożeństwo, ceremoniom towarzyszył śpiew organisty. Podczas ofiarowania Marc poprowadził Myrę do pierwszych stopni ołtarza — jej datek padł na tacę diakona.

Msza się skończyła, stary ksiądz odwrócił się do zgromadzonych.

— Myro Roderich, czy jesteś tu? — zapytał.

— Jestem — odpowiedziała Myra. Następnie, zwracając się do Marka:

— Marku Vidal, czy zgadzasz się pojąć obecną tu Myrę

Roderich za żonę?

— Tak — odpowiedział mój brat.

— Myro Roderich, czy zgadzasz się wziąć obecnego tu Marka Vidala za męża?

— Tak — odpowiedziała Myra głosem słyszonym przez wszystkich.

— Marku Vidal i Myro Roderich — rzekł prałat — ogłaszam, że jesteście połączeni sakramentem małżeństwa.

Po ceremonii tłum pośpieszył na trasę, którą będą przechodzić nowożeńcy. Nie było zwykłego w takich okolicznościach gwaru zakłócającego porządek. Uciszone się i wyciągano szyje w nedorzecznej nadziei ujrzania czegoś dziwnego. Nikt nie chciał ustąpić swego miejsca, a jednocześnie nikt nie chciał znaleźć się w pierwszym rzędzie. Wszyscy byli równocześnie popychani przez ciekawość i wstrzymywani dziwnym strachem..

Tym podwójnym szpalerem z nieco wystraszonych ludzi małżonkowie, ich świadkowie, przyjaciele, udali się do zakrystii. Tu, w księgach kościelnych, do podpisu Marka Vidala dołączyło nazwisko Myry Roderich, podpis wykonany ręką, której nie można było zobaczyć, ręką, której już nigdy nie będzie można zobaczyć!

XIX

TAKIE BYŁO ZAKOŃCZENIE tegoż dnia z upa, tej uziwnej historii, którą przyszła mi fantazja opowiedzieć. Rozumiem, że może wydawać się niewiarygodna. W takim przypadku należy winić tylko nieudolność autora. Historia jest, niestety, aż nadto prawdziwa, mimo że stanowi wyjątek w annałach przeszłości, i mam niezłomną nadzieję, pozostanie jedyną w przyszłości.

Nie trzeba dodawać, że mój brat i Myra porzucili swe wcześniejsze projekty. Nie mogło być mowy o podróży do Francji. Przewidywałem, że i Marc z rzadka tylko będzie pokazywał się w Paryżu i że osiadzie na stałe w Ragz. Bardzo to smutne dla mnie, ale muszę się z tym pogodzić.

Będzie im oczywiście wygodniej mieszkać z państwem Roderich. Czas ułoży wszystko i Marc przyzwyczai się do takiej egzystencji. Poza tym Myra starała się usilnie dawać znać o swej obecności. Wiedzieliśmy zawsze, gdzie jest, co robi. Była duszą tego domu, niewidzialną jak dusza.

Co więcej, jej postać materialna nie zniknęła przecież całkowicie. Czyż nie było jej wspaniałego portretu wykonanego przez Marka? Myra lubiła siadywać przed tym obrazem i mówić swym pokrzkpiającym głosem:

— Jestem tutaj, stałam się znowu widzialna, i możecie mnie zobaczyć, tak jak ja siebie widzę.

Po ślubie pozostałem jeszcze przez kilka tygodni w Ragz, w domu Roderichów, w pełnej zażyłości z tą tak ciężko doświadczoną rodziną. Z żalem oczekiwałem zbliżającego się dnia, kiedy będę musiał wyjechać. Jednakże nie ma tak długich wakacji, które by się kiedyś nie skończyły, i w końcu wróciłem

do Paryża.

Pochłonał mnie mój zawód, bardziej absorbujący, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Jednakże zbyt niezwykle były wydarzenia, w które zostałem zamieszany, abym z powodu mych zajęć mógł o nich zapomnieć. Rozmyślałem więc o nich bez przerwy i nie było dnia, żeby moja myśl nie pobiegła do Ragz, do mego brata i jego żony, połączonych, obecnych i oddalonych.

Na początku stycznia wspominałem po raz nie wiadomo który tę straszną scenę, jakiej zakończeniem była śmierć Wilhelma Storitz, gdy nagle oślniła mnie pewna myśl, taka prosta, tak oczywista, że doprawdy byłem zdziwiony, iż pomysł ten przyszedł mi dopiero teraz do głowy. To zaślepienie musiało wystawić kiepską ocenę mym studiom z logiki, skoro aż dotąd nie udało mi się połączyć w całość różnych okoliczności tego dramatu. Tegoż dnia doszedłem wreszcie do następującego wniosku: jeśli ciało naszego zwyciężonego wroga straciło moc niewidzialności, którą posiadał jako żywy, to znaczy, że jedyną przyczyną tego było wykrwawienie się skutkiem ciosu Haralana. Było to oślnienie. Stało się dla mnie jasne, że tajemnicza substancja pozostawała w stanie zawiesiny w krwi i że wylała się razem z nią.

Jeśli przyjmiemy tę hipotezę, wnioski narzucają się same. To, co sprawiła szabla Haralana, może uczynić lancet chirurga. Jest to przecież jedna z najłżejszych operacji, którą łatwo wykonywać stopniowo, powtarzać tyle razy, ile będzie potrzeba. Krew, jaką straci Myra, zostanie zastąpiona nową krwią, i

pewnego dnia jej żyły nie będą posiadały ani śladu przeklętej substancji, która pozbawiła Marka szczęścia oglądania swej żony.

Natychmiast napisałem to memu bratu, ale w chwili, gdy miałem wysłać swój list, otrzymałem list od niego. Ocenilem, że będzie lepiej opóźnić wysłanie mojego. Brat przekazywał mi taką nowinę, która w rzeczy samej, przynajmniej na razie, czyniła moje cenne spostrzeżenia bezużytecznymi. Myra, pisała mi, uczyni go ojcem. Nie była to więc, trzeba przyznać, najlepsza pora na to, aby pozbawiać ją nawet najmniejszej kropli krwi. Nie miała przecież zbyt wiele sił, by podołać niebezpiecznym doświadczeniom macierzyństwa.

Narodziny mego bratanka — lub mej bratanicy — były przewidywane na ostatnie dni maja. Uczucia, jakie żywiłem do brata, są znane czytelnikowi, nie trzeba więc mówić, że byłem punktualny. Od 15 maja przebywałem w Ragz, gdzie oczekiwałem wydarzenia z niecierpliwością nie mniejszą niż należna ojcu.

Zdarzyło się to 27 maja i ta data nie umknie nigdy mej pamięci. Mówi się, że nie ma cudów, jednakże zdarzył się tego dnia cud, którego prawdziwość mogę poświadczyć osobiście. Był to cud, bo cóż innego być mogło? Sama natura przyszła nam z pomocą, której ja oczekiwałem od medycyny. Myra jak Łazarz wyszła żywa z grobu. Marc, olśniony, wstrząśnięty, oszołomiony, widział ją, jak powoli wynurza się z cienia. Podwójny ojciec, widział w tym samym czasie narodziny swego *dziecka* i swej żony, która wydała mu się jeszcze niekniejsza niż

uczciwa i swej żony, która wydała mi się jeszcze piękniejszą niż przed zniknięciem.

Odtąd życie mego brata i Myry potoczyło się już bez podobnych historii. W czasie, gdy ja trudziłem umysł doskonaleniem matematyki urojonej i nieprzeniknionej — gdyż matematyka, tak jak wszechświat, jest nieskończona! — Marc podążył za swą zaszczytną karierą sławnego malarza. Mieszka w Paryżu, o dwa kroki ode mnie, we wspaniałej willi, gdzie każdego roku spędzają dwa miesiące państwo Roderich z kapitanem, a obecnie pułkownikiem Haralanem. Każdego roku również małżonkowie Vidal rewizytują Ragz. Jest to jedyny okres, w czasie którego jestem pozbawiony szcziotu mego bratanka — bo oczywiście był to chłopiec! — którego ubóstwiam z uczuciem należnym jednocześnie stryjowi i dziadkowi. Marc i Myra są szczęśliwi.

Spraw, Boże, aby szczęście to trwało długie lata! Spraw, Boże, aby nikt nie zaznał podobnych cierpień jak oni! Spraw, Boże, i to będzie moja ostatnia prośba, aby nigdy nie został ponownie odkryty ohydny sekret Wilhelma Storitz!